

Prawo dzungli

Burroughs Edgar Rice

Książka III z Tarzan



calibre 0.9.43

EDGAR RICE BURROUGHS

PRAWO DŻUNGLI

PRZYGODY TARZANA CZŁOWIEKA LEŚNEGO TOM III
TŁUMACZYŁA J. COLONNA-WALEWSKA

ROZDZIAŁ I

PORWANIE

- Cała ta sprawa jest otoczona tajemnicą - powiedział d'Arnot. - Wiem z najlepszego źródła, że ani policja, ani żandarmeria nie mają wyobrażenia, w jaki sposób to się stało. Jedno tylko wiedzą, że Mikołaj Rokow zdołał się ulotnić.

Jan Clayton, lord Greystoke, znany nam pod imieniem Tarzan, siedział zamyślony w mieszkaniu swego przyjaciela, porucznika Pawła d'Arnota, w Paryżu.

Cała przeszłość stanęła mu w pamięci, na wieść o ucieczce jego zacieklego wroga z francuskiej fortecy wojskowej, gdzie został on osadzony, po wyroku skazującym go na dożywotnie więzienie, na podstawie świadectwa człowieka-małpy.

Myślał o przeróżnych sztuczkach Rokowa, mających na celu zgładzenie go z tego świata, uświadamiał sobie dobrze, iż teraz, odzyskawszy wolność, Rokow będzie się starał wymyślać coraz to nowe zasadzki na jego życie.

Tarzan, który znaczną część roku spędzał z rodziną w swoich rozległych dobrach w Uziri, w krainie dzikich wojowników Wazirów, których ziemią ongiś rządził, niedawno właśnie sprowadził żonę i synka do Londynu, chcąc im oszczędzić przykrego pobytu podczas dżdżystej pory w podzwrotnikowych strefach.

Zrobił wycieczkę do Paryża w celu odwiedzenia starego przyjaciela, skoro jednak posłyszał o zniknięciu Rokowa, natychmiast zaczął myśleć o powrocie.

- Nie lękam się o siebie, Pawle - odezwał się wreszcie. - Wiele już razy w życiu moim pokrzyżowałem plany Rokowa co do mnie, teraz jednak myśleć muszę o innych. O ile znam tego nędznika, będzie się on starał przede wszystkim zemścić się na mnie, wyrządzając krzywdę mojej żonie lub dziecku, rozumie on bowiem dobrze, iż to moja najcześniejsza struna.

Muszę powrócić do nich i to natychmiast, nie rozłączę się już z nimi, aż dopóki Rokow nie zostanie znowu schwytany lub dopóki nie umrze.

Podczas gdy dwaj przyjaciele wiedli tę rozmowę w Paryżu, na przedmieściu Londynu, w nędznym domku, dwaj mężczyźni o bardzo podejrzanym wyglądzie, naradzali się między sobą. Jeden z nich miał długą brodę, drugi, na którego bladej twarzy były ślady kilkuletniego pobytu w więziennej celi, miał zaledwie mały, ciemny zarost.

- Będziesz musiał zgolić tę brodę, mój Aleksy - rzekł on do towarzysza. - Poznaliby cię zaraz. Musimy się tutaj rozłączyć, a gdy spotkamy się znowu na pokładzie parowca „Kincaid”, miejmy nadzieję, że będą nam towarzyszyły dwie znakomite osobistości, które ani się spodziewają, jaka im obmyślamy przyjemną podróż.

- Za dwie godziny powinienem jechać już do Dowru z jednym z naszych gości, ty zaś, o ile

wypełnisz moje wskazówki, będziesz tam z drugim gościem jutro wieczorem, oczywiście o ile powróci on do Londynu tak szybko, jak to przypuszczam.

- Czekaj nas oprócz rozkoszy zemsty, jeszcze niemała korzyść, drogi Aleksy. Dzięki głupocie Francuzów nasza ucieczka była otoczona taką tajemnicą, iż mogłem spokojnie obmyślić wszystkie szczegóły wyprawy, w ten sposób wszystko jest przewidziane i nie ma obawy, aby cośkolwiek zawiodło. A teraz, bywaj bracie i powodzenia!

W trzy godziny później posłaniec dzwonił do mieszkania porucznika Pawła d'Arnota.

- Depesza dla lorda Greystoke - oznajmił służącemu - czy mieszka tutaj?

Służący odpowiedział twierdząco i podpisawszy pokwitowanie, zaniósł depeszę Tarzanowi, który pakował już rzeczy do podróży. Tarzan rozdarł kopertę; czytając jej zawartość zbladł nagle.

- Zobacz no - przemówił, podając Pawłowi depeszę - już się stało!

Francuz odczytał złowrogą wiadomość:

Jack porwany z ogrodu przy pomocy nowo przyjętego lokaja, przyjeżdżaj natychmiast - Janina.

Gdy Tarzan wyskoczył z dorożki, którą przyjechał z dworca, na spotkanie jego wyszła żona, skamieniała z rozpaczy.

Janina Porter-Clayton, Lady Greystoke, w kilku słowach opowiedziała mężowi okoliczności, związane z porwaniem dziecka.

Niańka małego Jacka wozila go w wózku po skwerze przed domem, kiedy zajechała dorożka samochodowa, zatrzymując się opodal na rogu. Piastunka, nie podejrzewając nic złego, nie zwróciła uwagi na wehikuł, z którego nikt nie wysiadł i którego motor był ciągle w ruchu, tak jakby oczekując na jakiegoś pasażera. Prawie zaraz potem, niedawno przyjęty, służący Karl przybiegł pędem z willi Greystoke mówiąc, że pani potrzebuje niani na chwilę, dziecko zaś ma zostać pod jego opieką.

Piastunka, niewiele myśląc, skierowała się ku domowi, na schodach jednakże odwróciła się, chcąc przestrzec służącego, by dziecko woził po słonecznej alei, nie wjeżdżając w cień, spostrzegłszy zaś, że podchodzi on z wózkiem szybkim krokiem do rogu ulicy, przeraziła się o bezpieczeństwo dziecka i puściła się pędem ku niemu, w tej samej chwili z zamkniętego samochodu wychyliła się jakaś podejrzana postać, której Karl podawał dziecko, właśnie wówczas, gdy zadyszana niańka dobiegła do ruszającego już wehikułu.

Karl zasiadł w samochodzie obok nieznanego, zatraskując za sobą drzwiczki, szofer puścił maszynę w ruch, coś się jednakże zacięło w motorze, gdyż nie od razu mógł ruszyć z miejsca. Przez ten czas niańka, wskoczywszy na stopień, zdołała wyrwać dziecko z rąk złoczyńców, nie udało się jej jednakże zeskoczyć wraz z nim, gdyż samochód ruszył. Karl wyrwał jej chłopczyka z rąk i, silnym uderzeniem w twarz, powalił ją na ziemię.

Krzyki dzielnej dziewczyny zwabiły służbę i lokatorów z sąsiednich domów, nadbiegła i lady Greystoke, która daremnie próbowała dogonić oddalający się szybko samochód.

Oto wszystko, co żona miała do opowiedzenia Tarzanowi, nie domyślała się jednak bynajmniej, kto uplanował całe porwanie, aż dopóki mąż nie objaśnił jej o zniknięciu z więzienia ich śmiertelnego wroga, Mikołaja Rokowa.

Podczas gdy oboje naradzali się jak postąpić, dzwonek telefonu rozległ się w bibliotece.

Tarzan odpowiedział nań osobiście.

- Czy to lord Greystoke? - zapytał jakiś męski, ochrypły głos.

- Przy telefonie.

- Syn pański został porwany - mówił dalej głos - tylko ja jestem w stanie dopomóc panu w

odnalezieniu go. Jestem w porozumieniu z bandą, która obmyśliła tę zasadzkę. Co prawda należałem do spisku i miałem się z nimi podzielić zyskiem, ale teraz widzę, że mnie chcą oszukać, więc pomogę panu odnaleźć dziecko, o ile pan mi obieca, że mnie nie będzie prześladował za początkowy udział w całej tej awanturze. Co pan mówi na to?

- Jeżeli mnie pan doprowadzi do kryjówki mego syna - odpowiedział człowiek-mała - nie potrzebujesz się niczego lękać.

- Dobrze - odparł tamten. - Musisz pan jednak przyjść sam na oznaczone miejsce, dosyć dla mnie, że panu się oddam w ręce, nie chcę być poznanym przez innych.

- Gdzie i kiedy możemy się spotkać? - zapytał Tarzan.

Nieznajomy wymienił adres pewnej gospody w Dowrze tuż naprzeciwko portu, gdzie zbierali się zwykle marynarze.

- Niech pan przyjdzie - dodał - około dziesiątej wieczorem. Na nic by się zdało przychodzić wcześniej. Syn pański będzie w bezpiecznym miejscu przez ten czas, ja zaś doprowadzę tam pana cichaczem. Niech jednak pamięta pan przyjść sam, proszę nie uciekać się do pomocy agentów, ja pana znam dobrze i będę pilnował przyjścia pana. Gdyby ktokolwiek towarzyszył panu, lub gdybym zauważył podejrzanych szpiegów blisko pana, nie podejść i ostatnia sposobność odzyskania dziecka przepadnie.

Nie mówiąc nic już więcej, człowiek ów położył słuchawkę telefonu.

Tarzan powtórzył treść rozmowy żonie. Chciała mu towarzyszyć, on jednak twierdził, że jej obecność mogłaby dać nieznajomemu powód do niedotrzymania obietnicy, rozłączyli się więc. Tarzan pojechał do Dowru, lady Greystoke zaś miała pozostać w domu, wyczekując na rezultat przedsięwzięcia męża.

Nie przewidywali oboje co ich czeka, zanim się znowu spotkają!

Po odejściu Tarzana Janina Clayton przez parę minut chodziła podniecona po pokoju, rozmyślając nad tym, co zaszło. Serce macierzyńskie miało się w trwodze o los pierworodnego, nadzieja i rozpacz napełniały je kolejno.

Chociaż rozsądek kazał jej przypuszczać, że Tarzan postąpił dobrze, pośpieszając na wezwanie tajemniczego człowieka, wewnętrzne przecucie mówiło jej, że mógł to być nowy podstęp ze strony wrogów, mający na celu uspienie ich czujności i wstrzymanie poszukiwań dziecka lub też pochwycenie męża w sidła okrutnego Rokowa.

Myśl ta napełniła ją panicznym lękiem. Spojrzała na zegar ścienny, wiszący w bibliotece.

Było już za późno, aby trafić na pociąg, którym Tarzan odjeżdżał do Dowru. Był jednak drugi pociąg, odchodzący nieco później, wsiadając do tego stania jeszcze na czas w porcie, aby zdążyć na oznaczoną godzinę, o której Tarzan miał się spotkać.

Przywoławszy garderobianą i szofera, wydała szybko stosowne rozporządzenia. W dziesięć minut później pędziła samochodem na dworzec.

Było około dziesiątej, gdy Tarzan wszedł do zadymionego budynku w Dowrze. Gdy stanął na progu cuchnącej brudem izby, podszedł do niego zakapturzony mężczyzna.

- Tędy mój lordzie! - szepnął nieznajomy.

Wyszli razem na źle oświetloną ulicę, człowiek podprowadził go do przystani zawałonej pakami, skrzyniami i beczkami, od których padał ponury cień.

- Gdzie jest dziecko? - zagadnął Greystoke.

- Tam na tym małym parowcu, którego światła widnieją w oddali! - odparł jego towarzysz.

Tarzan próbował w tych ciemnościach rozpoznać rysy nieznanego, nie mógł sobie jednak przypomnieć, aby go kiedy widział w swoim życiu. Nie domyślał się, że przewodnikiem jego był Aleksy Paulwier, nie mógł więc wyczytać zdrady z jego oblicza i odgadnąć niebezpieczeństwa, jakie na każdym kroku czyhało na niego.

- W tej chwili nikt go nie pilnuje - mówił dalej Rosjanin. - Ci, którzy go porwali, czują się bezpieczni od wszelkich poszukiwań. Nikogo nie ma na pokładzie „Kincaida”, za wyjątkiem paru ludzi z załogi, których milczenie okupiłem odpowiednią sumą. Możemy tedy pójść śmiało tam, wziąć dziecko i wrócić, nie spotkawszy najmniejszego oporu.

Tarzan kiwnął głową przyzwalająco.

- Bierzmy się zatem czym prędzej do tego - rzekł, kierując się za nieznanym.

Przewodnik zaprowadził go do łodzi, stojącej u brzegu przystani. Obydwaj zasiedli w niej.

Paulwier wziął się do wiosł, kierując się do wskazanego przez siebie parowca. Kłęby dymu, wydobywającego się z wysokiego komina statku, nie zastanowiły Tarzana, przejętego jedynie myślą o odzyskaniu ukochanego synka.

Wysiadłszy z łodzi, weszli na drabinkę sznurową, zwieszającą się z parowca, i stąpając ostrożnie i cicho, dostali się na pokład. Tu Rosjanin wskazał Tarzanowi otwartą lukę, ziejącą ciemnością.

- Chłopczyk jest tam ukryty - rzekł - lepiej, aby pan zszedł tam sam i wziął go na ręce, mógłby się bowiem przestraszyć, widząc obcą twarz, i narobić nam gwałtu. Ja tu będę stał na straży.

Tarzanowi tak było pilno wybawić dziecko, że ani na chwilę nie zastanowił się nad swoim dziwnym położeniem na tym opustoszałym statku, gotowym do wyruszenia w drogę, jak o tym świadczył dym, wydobywający się z komina. Przejęty szczęściem na myśl, że wkrótce przytuli do piersi ukochaną istotkę, zszedł po schodkach do lochu. W tej samej chwili pokrywa zatrzaskała się nad nim i zrozumiał, że padł po prostu ofiarą zasadzki i że zamiast wybawić syna z rąk wrogów, sam wpadł w umiejętnie zastawione sidła. Chociaż starał się podnieść pokrywę luku, wysiłki jego spełzły na niczym.

Zapaliwszy zapałkę, rozejrzał się wokoło siebie, przekonując się, że celka, najwidoczniej dla niego przygotowana, nie miała innego otworu, prócz właśnie owego luku, obecnie szczelnie zamkniętego.

Nikogo innego nie było w owej celce. Jeżeli dziecko znajdowało się rzeczywiście na pokładzie „Kincaidu”, było ono ukryte gdzie indziej.

Przez lat dwadzieścia z górą, od niemowlęctwa aż do wieku dojrzałego, człowiek-małpa przebywał w dzikich zakątkach dżungli, nie znając towarzystwa żadnej innej ludzkiej istoty.

Nauczył się swoje smutki i radości przyjmować tak, jak je przyjmują zwierzęta.

I tym razem nie tracił czasu na okazywanie rozpaczyny lub gniewu, ale czekał cierpliwie na to, co miało go jeszcze spotkać, pomimo to jednak obejrzał dokładnie swoje więzienie, obmacał ściany i wymierzył odległość dzielącą go od zamkniętego ponad jego głową luku.

Gdy był tym zajęty, usłyszał warczenie kotłów i zgrzyt śrub, świadczące o wyruszeniu w drogę parowca.

Gdzie go unosił statek i jakie go czekają losy?

Strapiony tymi myślami, nagle pochwycił, pomimo szumu i świstu maszyn, odgłos, który go przejął dreszczem trwogi.

Tuż nad jego głową, na pokładzie, rozległ się przeraźliwy, donośny krzyk wylęknionej kobiety.

ROZDZIAŁ II

NA BEZLUDNEJ WYSPIE

Podczas gdy Tarzan wraz z przewodnikiem zniknęli w ciemnej przystani, zawołowana kobieta weszła do szynku, w którym Tarzan przed chwilą spotkał się z nieznanym.

Stała na progu, rozglądając się wokoło, kilku pijanych marynarzy i robotników portowych obrzuciło ciekawym spojrzeniem jej wykwintną postać. Szybko podeszła ona do brudnej szynkarki, zapytując uprzejmie:

- Czy nie zauważyliście przypadkiem wysokiego, elegancko ubranego mężczyzny, który spotkał się tu z pewnym człowiekiem, wyszedł z nim razem z szynku?

Dziewczyna odpowiedziała twierdząco, nie umiała jednak objaśnić dokąd poszli. Jeden z marynarzy, przysłuchujący się rozmowie oświadczył, że przed chwilą, wchodząc do szynku, zauważył dwóch mężczyzn, wychodzących stamtąd i udających się w stronę przystani.

- Pokażcie mi, w którą stronę poszli - zawołała kobieta, dając marynarzowi złoty pieniądz.

Człowiek ów wyprowadził ją na ulicę i szybkim krokiem zdążyli do przystani, ujrzeni niebawem łódź z dwoma ludźmi, płynącą pośpiesznie do stojącego w pobliżu parowca.

- To pewno oni - szepnął marynarz.

- Dziesięć funtów, jeżeli mnie dowieziecie do nich! - zawołała zawołowana dama.

- Trza machać ostro - odpowiedział - jeśli chcemy zdążyć, zanim „Kincaid” odpłynie.

Gadałem przed chwilą z jednym z załogi, powiedział mi, że czekają tylko na jednego pasażera, ażeby wyruszyć; już od dobrych trzech godzin puszczają parę spod kotłów.

Mówiąc to, odczepił łódkę przywiązaną do żelaznego słupka i usadowiwszy w niej damę, odbił od brzegu.

Dopłynąwszy do parowca, poprosił o zapłatę, dama rzuciła mu, nie licząc wcale, garść banknotów. Ogarnąwszy je spojrzeniem, przekonał się, że zapłata była sowita. Pomógł jej wejść po drabince na pokład, zatrzymując łódkę pod parowcem w nadziei, że może hojna pasażerka zechce jeszcze powrócić na ląd.

W tej chwili jednak gwizd przeraźliwy rozległ się w powietrzu, zaturkotały maszyny, „Kincaid” ruszył powoli z miejsca.

Zakręcając z powrotem do portu, posłyszał krzyk kobiety na pokładzie.

- A to ci dopiero szczęście - powiedział sam do siebie - udało mi się tym razem.

Skoro Janina Clayton stała na pokładzie parowca „Kincaid”, zastała tam pozorne pustki.

Na pomoście nie było nikogo, udała się więc na poszukiwanie męża i dziecka, łudząc się wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, że ich odnajdzie.

Zeszła do kajut, weszła do głównego korytarza, po obydwóch stronach którego znajdowały się

kabiny przeznaczone dla oficerów. Nie zauważyła, jak pewne drzwi zatrzasnęły się nagle poza nią. Przeszła przez cały korytarz, zatrzymując się przed każdymi drzwiami, nadsłuchując uważnie i próbując każdej klamki.

Wszędzie milczenie, głuche milczenie, w którym rozróżniała bicie własnego serca.

Otwierała drzwi po kolei, tylko puste wnętrza kabin ukazywały się jej oczom.

Tak była przejęta poszukiwaniem, że nie zauważyła, jak nagle ruch zawrzał na statku, nie usłyszała szumu i świstu maszyny parowej. Otworzywszy ostatnie drzwi z prawej strony, została nagle wciągnięta do zadymionej kajuty przez barczystego, brodatego mężczyznę.

Niespodziewana napaść wywołała ów krzyk przerażenia, który rozległ się na statku, po czym mężczyzna zatkał jej usta ręką.

- Nie wolno krzyczeć, aż znajdziemy się dalej od lądu, moja duszko - rzekł - później będziesz mogła wypróbować do woli wytrzymałości swego gardziołka!

Lady Greystoke spojrzała na drwiące, brodate oblicze, pochylone nad nią. Mężczyzna odjął rękę od jej ust i młoda kobieta, z przytłumionym jękiem trwogi, cofnęła się przerażona.

- Mikołaj Rokow! Pan Turan! - zawołała.

- Gorący wielbiciel pani - odparł Rosjanin, składając ukłon.

- Mój synek - rzekła, nie zwracając uwagi na komplement - gdzie się on znajduje?

Proszę mi go oddać. Jak pan mógł być tak okrutnym. Nawet pan, Mikołaj Rokow, nie może być chyba zupełnie pozbawiony ludzkich uczuć. Powiedz mi pan, gdzie go ukryłeś? Czy on jest tutaj na statku? Ach, jeśli serce bije w twojej piersi, zaprowadź mnie pan do mego dziecka!

- Jeśli pani będzie się stosowała do moich rozkazów, dziecku nic złego się nie stanie - odparł Rokow. - Proszę jednak pamiętać, że znalazła się tu pani dobrowolnie, musi zatem pani przyjąć na siebie skutki swego czynu. Nie myślałem nigdy - mruknął sam do siebie - że takie mnie szczęście spotka.

Wyszedł na pokład, zamykając na klucz w kajucie swoją ofiarę. Przez parę dni nie pokazywał jej się wcale, skoro bowiem „Kincaid” znalazł się na pełnym Atlantyku, Mikołaja Rokowa nawiedziła choroba morska i przez parę dni nie podnosił się z łóżka.

Przez ten cały czas, jedyną istotą, pokazującą się w kajucie lady Greystoke, był nieokrzesany Szwed, brudny kucharz załogi „Kincaidu”. Nazwisko jego brzmiało Sven Anderssen, szczyił się tym podwójnym, arystokratycznym „S”.

Był to wysoki, kościsty mężczyzna, z długimi, żółtymi wąsami, paznokcie miał zarośnięte i brudne. Sam widok jego, skoro wnosił wodnistą zupe, w której zwykle zanurzał swój wielki palec, wystarczał, by odebrać młodej kobiecie wszelką chęć do jedzenia.

Jego małe, niebieskie, głęboko osadzone oczy, nie spoglądały nigdy wprost na nią. W ruchach jego był pewien niepokój, stąpał cicho, ukradkiem, niby kot, do tego niesamowitego wyglądu przyczyniał się niemało wielki nóż kuchenny, zwieszający mu się u pasa na długim sznurku. Lady Greystoke przychodziło nieraz na myśl, iż w razie potrzeby nóż ten mógł służyć do innego użytku, niekoniecznie przy kuchni.

Zachowanie się jego względem uwięzionej było aroganckie, ona jednakże odnosiła się do niego uprzejmie, nie zapominając nigdy podziękować mu z miłym uśmiechem za przyniesienie jej posiłku, który najczęściej zostawiała nietknięty.

W ciągu tych dni, beznadziejnej rozpacz, dwa pytania zajmowały najwięcej Janinę Clayton: Co się dzieje z jej mężem? Gdzie się znajduje jej dziecko?

Wierzyła, iż dziecko znajduje się na pokładzie „Kincaidu”, czy jednak Tarzan pozostał przy życiu, będąc sprowadzonym w zasadzkę, na to nie mogła znaleźć odpowiedzi.

Znając nienawiść Rosjanina do Tarzana, mogła przypuszczać, że ten ostatni został zwabiony na pokład, gdzie go miano zamordować. Rokow w ten sposób zapewne chciał wyrzucić na nim swoją zemstę za zniweczenie swych planów oraz za lata odsiedziane we francuskim więzieniu, dzięki zdemaskowaniu go przez Tarzana.

Tarzan ze swej strony, leżał w ciemnościach swej celi, nieświadomy obecności żony na statku, choć zamieszkiwała kajutę, znajdującą się nieomal nad jego więzieniem.

Ten sam Szwed, który usługiwał Janinie, przynosił posiłek i jemu, ale chociaż Tarzan parę razy próbował nawiązać z nim rozmowę, wysiłki jego okazywały się bezskuteczne.

Miał nadzieję dowiedzieć się od niego, czy dziecko znajduje się na statku, za każdym jednak razem, gdy stawiał takie lub temu podobne pytanie, Anderssen odpowiadał niezmiennie:

- Widzi mi się, co będzie burza niedługo.

Po kilku bezskutecznych próbach, Tarzan zaniechał wysiłków.

Przez kilka tygodni, które dla więźniów wlokły się jak miesiące, lord i lady Greystoke gubili się w domysłach nad tym, co ich mogło czekać. Raz tylko „Kincaid” zarzucił kotwicę na parę godzin, aby nabrać węgla, po czym dalej puścił się w podróż bez końca.

Rokow odwiedził raz jeden Janinę Clayton, od czasu zamknięcia jej w kajucie. Był on wychudzony i zżółkły po tylko co przebytej chorobie. Celem tych odwiedzin było wyłudzenie od uwięzionej czeku, na znaczną sumę pieniędzy, w zamian za zabezpieczenie jej swobodnego powrotu do Anglii.

- Jeżeli mnie pan wysadzisz wraz z mężem i dzieckiem, w jakimkolwiek porcie, wypłacę panu dwa razy tyle w złocie, przedtem jednak nie otrzymasz pan ani grosza i nie myślę panu nic obiecywać.

- Otrzymam czek, którego żądam - odparł Rokow z szyderczym uśmiechem - inaczej bowiem ani pani, ani jej mąż wraz z synem nie wydostaną się na wolność.

- Nie mogę panu zaufać - zawołała lady Greystoke. - Jakąż mam pewność, że otrzymawszy pieniądze, dotrzyma pan swej obietnicy?

- Zdaje mi się jednak, że posłucha pani mego rozkazu - rzekł, zwracając się w stronę drzwi. - Proszę pamiętać, że syn pani jest w mojej mocy - jeżeli więc usłyszysz pani rozpaczliwe jęki dziecka, możesz pocieszyć się myślą, że synek pani cierpi z powodu jej uporu.

- Nie uczyniłby pan tego! - zawołała zrozpaczona matka. - Nie mógłbyś chyba posunąć do tego stopnia swoje okrucieństwo!

- To nie ja jestem okrutny, ale pani - odrzucił Rokow - zezwala pani bowiem na to, aby marna suma pieniędzy stała się przyczyną cierpień jej dziecka.

Całe to zajście zakończyło się podpisaniem przez Janinę Clayton czeku, na bardzo znaczną sumę. Rosjanin zaś schowawszy czek do kieszeni, oddalił się, pełen złośliwego zadowolenia.

Następnego dnia kłapa nad więzieniem Tarzana została nagle podniesiona, ujrzał on wówczas twarz Paulwiera, który zaglądał przez otwór luku.

- Wejdz na górę! - rozkazał Rosjanin. - Pamiętaj jednak, że zostaniesz rozstrzelany za najmniejszą próbę napaści na mnie lub kogokolwiek z załogi.

Człowiek-małpa wciągnął się z łatwością na górę, po spuszczonej drabince. Na pokładzie stało sześciu marynarzy, uzbrojonych w rewolwery i karabiny, naprzeciw niego stał Paulwier.

Tarzan rozglądał się, szukając wzrokiem Rokowa, był pewien, że łotr ów znajdował się na statku, nie było go jednak widać.

- Lordzie Greystoke - przemówił Rosjanin - przez pańskie ciągle wchodzenie w drogę panu Rokowowi i krzyżowanie jego zamiarów, doprowadził pan siebie i rodzinę do tej ostateczności. Może pan za to podziękować tylko sobie. Jak pan to dobrze rozumie, pan Rokow poniósł niemałe koszta, łożąc na tę wyprawę, ponieważ zaś pan tylko dał do niej powód, przeto oczywiście należy do pana całkowicie te koszta zwrócić.

- Mogę jeszcze dodać, że tylko zadość czyniąc słusznym żądaniom pana Rokowa, możesz pan uniknąć bardzo przykrych przejść dla żony i dziecka, a zarazem zachować życie i odzyskać wolność.

- Jakaż wam suma potrzebna? - zapytał Tarzan. - I jakaż będę miał pewność, że dotrzymacie danej obietnicy? Nie mam chyba powodu do zaufania dwom takim łajdakom jak pan i Rokow.

Rosjanin zaczerwienił się zirytowany.

- Pańskie obelgi nie są bynajmniej na miejscu - rzekł. Nie masz pan innej pewności, że dotrzymamy danego przyrzeczenia, prócz mego słowa, możesz jednak być pewny, że nie będziemy robili z tobą wiele ceregieli, aby cię zgładzić ze świata, o ile nie zechcesz podpisać nam czeku. Pojmujesz pan chyba dobrze, iż nic nie sprawiłoby nam większej rozkoszy, jak zakomenderować: ognia! Ale chcemy cię ukarać w inny sposób.

- Proszę odpowiedzieć mi na jedno pytanie - rzekł Tarzan - czy syn mój znajduje się na pokładzie?

- Nie - odparł Aleksy Paulwier. - Syn pana jest bezpieczny, ale zupełnie gdzie indziej, nie będzie on zamordowany, o ile pan uwzględni nasze słuszne żądania, jeżeliby na skutek uporu pańskiego wypadło nam pana zabić, nie będzie powodu oszczędzać jego życia, gdyż w razie śmierci pana, nie będziemy mogli ukarać pana za pomocą dziecka i wówczas chłopiec ten stać się dla nas może źródłem kłopotów i nieprzyjemności. Widzi więc pan, że jedynie zachowując się przy życiu, może pan ocalić syna, siebie zaś zdoła pan ocalić, o ile podpisze nam czek, którego żądamy.

- Zgoda zatem - rzekł Tarzan, wierzył bowiem, znając ich, że gotowi byli wypełnić pogroźki, wymienione przez Paulwiera, zaś zadawałając ich myślał, że było prawdopodobieństwo wyratowania synka.

Nie przypuszczał ani na chwilę, aby go mieli pozostawić przy życiu, otrzymawszy od niego czek, był jednak zdecydowany dać im się dobrze we znaki, tak aby dotkliwie poznali jego siłę, a jeśli to będzie możliwe uśmiercić Paulwiera. Żałował tylko, że to nie Rokow stał naprzeciw niego.

Wyjął z kieszeni książeczkę czekową i pióro stylograficzne.

- O jaką sumę wam idzie? - zagadnął.

Paulwier wymienił nieprawdopodobnie wielką cyfrę, Tarzan z trudem powstrzymał się od uśmiechu na myśl, iż wpadną oni w sidła swej własnej chciwości, której jawnym dowodem będzie owa wygórowana suma wykupu. Umyślnie więc udawał, że się namyśla i waha, Paulwier zaś okazał się nieustępliwy. Wreszcie człowiek-małpa podpisał czek, suma którego przewyższała znacznie jego fundusze, złożone w banku.

Podawszy Rosjaninowi ów świstek papieru, nie przedstawiający żadnej wartości, zauważył nagle, że „Kincaid” znajdował się w niewielkiej odległości od lądu. Nieomal nad samym wybrzeżem rozciągała się gęsta, podzwrotnikowa dżungla, dalej zaś widać było pokryte lasami wzgórza.

Paulwier zauważył jego spojrzenie w tym kierunku.

- Zostaniesz tam wypuszczony na wolność - objaśnił. Plan Tarzana, ukarania Rosjanina na

miejscu, uległ zmianie.

Sądził, że było to wybrzeże Afryki i że, o ile go tam wysadzą, będzie dość łatwo trafić w cywilizowane strony. Paulwier schował czek.

- Zdejm pan ubranie - rozkazał. - Nie będziesz go tu potrzebował.

Tarzan się zawahał, Paulwier zaś wskazał mu na ludzi, trzymających w pogotowiu karabiny, i Anglik z wolna rozebrał się cały. Wówczas pod silną strażą został spuszczonej do łódki i wysadzony na ląd. Skoro w pół godziny później marynarze wrócili z łodzią do statku „Kincaid”, ruszył z wolna w drogę.

Tarzan zajęty odczytywaniem kartki, którą jeden z majtków wręczył mu w łodzi, nagle spojrział w stronę parowca, skąd go doleciało wołanie. Ujrzał tam brodatego mężczyznę, trzymającego na ręku niemowlę.

Tarzan rzucił się, jak gdyby chcąc dogonić statek, zatrzymał się jednak, uświadomiwszy sobie bezowocność tego zamiaru.

Stał tak, wzrok mając utkwiony w ten jeden punkt, aż dopóki parowiec nie zniknął mu sprzed oczu.

Z dżungli, poza jego plecami, dzikie, krwią zachodzące źrenice przyglądały mu się bacznie spod krzaczastych brwi.

Małe małpki na wierzchołkach drzew gwarzyły wesoło i klóciły się między sobą, z dala zaś dochodził ryk lamparta.

A John Clayton, lord Greystoke, stał nieświadomy niczego, odczuwając głuchy żal, iż zamiast się porachować z wrogiem jak należało, uwierzył bodaj na chwilę jego obietnicom.

- Mam przynajmniej tę jedną pociechę - pomyślał - że Janka jest bezpieczna w Londynie. Dzięki Bogu, że chociaż ona nie wpadła w ręce łotrów!

Za jego plecami kosmata istota, której złe spojrzenie ogarniało go z ciekawością, skradała się cichaczem ku niemu.

Gdzież się podziały wysubtelnione zmysły dzikiego człowieka-małpy?

Gdzież był jego słuch przenikliwy?

Gdzie zniknęło owo niesamowicie rozwinięte powonienie?

ROZDZIAŁ III

NAPAŚĆ DRAPIEŻNIKÓW

Tarzan z wolna rozwinął zwitek papieru, podany mu przez marynarza i przeczytał go uważnie. Z początku, przygnieciony bólem, nie zrozumiał, o co chodzi, w końcu jednak uświadczył sobie doniosłość subtelnego planu zemsty przedstawionego w liście.

Niniejszym chcę panu wyjaśnić - brzmiały słowa listu - moje zamiary względem pana i jego syna. Przyszedłeś na świat jako małpa. Chodziłeś nagi po dżungli, ułatwiamy ci tedy powrót do rodzinnych stron; syn pański jednak postąpi krok naprzód, stosownie do niezmiennego prawa postępu.

Ojciec jego był zwierzęciem, syn będzie człowiekiem, stanie na drugim szczeblu drabiny postępu. Nie będzie on nagim zwierzem dżungli, będzie opasany szmatą i u rąk zwieszać mu się będą miedziane naramienniki, być może, iż w przekłutym nosie widnieć będzie kolczyk, oddamy go bowiem na wychowanie dzikiemu plemieniu ludożerców.

Mógłbym zabić Pana, to jednak uniemożliwiłoby mi wymierzenie Panu kary, na jaką sobie u mnie zasłużyłeś.

Umierając nie byłbyś mógł cierpieć z powodu losu twego syna, żyjąc w miejscowości, z której nie zdołasz uciec, aby odszukać dziecko i wybawić je od straszliwej doli, będziesz znosił straszne męki przez resztę swoich dni, rozmyślając nad tym, co spotkało Twego syna.

Oto kara za zuchwałe stawanie na mojej drodze.

M.R.

P.S. Zostawiam pańskiej wyobraźni los, który niebawem spotka jego małżonkę.

Skończywszy czytanie, posłyszał skradający się za nim krok, na odgłos ten powrócił do rzeczywistości i oto lord Greystoke w tej chwili ustąpił miejsca Tarzanowi, człowiekowi-małpie, który stanął w postawie obronnej naprzeciwko olbrzymiego goryla, gotowego do ataku.

Upłynęły dwa lata od czasu, gdy Tarzan opuścił ostępy w dżungli wraz ze swą małżonką.

Przez ten czas, który w znacznej części spędził w swoich rozległych dobrach w Uziri, miał co prawda pole do zużywania zasobów swej nadludzkiej siły, w każdym jednak razie, tryb życia jego w cywilizowanym środowisku, różnił się zgoła od warunków jego pierwszej młodości, toteż w obecnej chwili, będąc bezbronnym i nagim, nie byłby zapewne przyjął dobrowolnie próby walki z wielką małpą, spoglądającą nań groźnie.

Nie było jednak innego wyjścia, należało więc stawić opór rozjuszony bestii, posługując się li tylko zębami i rękami, bronią daną mu przez naturę.

Spojrząwszy poprzez ramię samca, Tarzan spostrzegł głowy i ramiona innych małp, stojących za nim, wiedział jednakże, znając ich zwyczaje, że nie napadną nań gromadnie, wielkie antropoidy bowiem nie zdają sobie sprawy ze skuteczności zbiorowego ataku, gdyby tak było, stałyby się one

niebawem panującymi istotami w dżungli, taką siłą są obdarzone ich mięśnie oraz ich potężne, groźne kły.

Z głuchym pomrukiem zwierzę rzuciło się do skoku na Tarzana, człowiek-małpa jednakże, przebywając w cywilizowanym świecie, znacznie wydoskonalił się w sztuce walki, przyswajając sobie sposoby, nie znane mieszkańcom dżungli.

Podczas gdy kilka lat temu byłby się rzucił całą siłą na zwierzę, teraz usunął się w bok, w chwili gdy małpa doskakiwała do niego, i uderzył ją pięścią w brzuch.

Z rykiem, pełnym wściekłości i bólu, wielki antropoid zgiął się w pół i upadł na ziemię, wkrótce jednak zaczął gramolić się, aby stanąć znów na nogi.

Zanim jednakże zdołał to uczynić, jego białoskóry wróg wpadł na niego. Wówczas to opadły z lorda Greystoke ostatnie ślady cywilizacji ludzkiej.

Jego białe, mocne zęby, wpiły się w gardło nieprzyjaciela, odezwał się w nim znowu Tarzan, wzrosły wśród małp, syn mleczny Kali samicy.

Potężną ręką wymierzał srogie razy w głowę i w twarz przeciwnika, pokrytą pianą.

Wokoło nich gromada małp przypatrywała się z uciechą walce, wydając pomruki zadowolenia, wkrótce jednak kosmate plemię zamilkło zdumione, widząc jak biała małpa, potężnym wysiłkiem swych stalowych mięśni, zgięła gruby kark małpiego króla, który z jękiem rozpaczliwym padł na ziemię, miotając się w bezsilnej agonii.

Gruchot połamanych kości mieszał się z wyciem konającej małpy, wreszcie wielka głowa pochyliła się na kosmatą pierś, jęki i ryki ustały.

Jak ongiś pokonał potężnego antropoida Terkoza, tak dzisiaj Tarzan, używając tego samego sposobu, uśmiercił, zachodzącego mu drogę, przodownika małpiej gromady.

Małe, świńskie oczka widzów spoglądały to na trupa swego wodza, to na białą małpę, która stanęła dumnie obok swej ofiary.

Wreszcie przybysz, postawiwszy nogę na karku zwyciężonego i odrzucając głowę w tył, rzucił w świat dziki, niesamowity okrzyk, wyzwanie małpiego samca, oznajmiające zwycięstwo. Wówczas małpy uświadomiły sobie, że król ich przestał żyć.

Poprzez dżunglę rozbrzmiały złowrogie dźwięki, okrzyk zwycięstwa. Małe małpki, skaczące po drzewach, zaniechały swej gwarnej paplaniny, ucichły ptaki o różnokolorowym upierzeniu, w oddali dało się słyszeć jękliwe wycie lamparta i potężny, głęboki ryk lwa.

Dawny Tarzan spoglądał teraz pytającym wzrokiem na otaczającą go małpią gromadkę.

Właściwym sobie ruchem odrzucił głowę w tył, tak jak ongiś, gdy grzywa włosów, spadając mu na oczy, przeszkadzała mu w wykryciu niebezpieczeństwa.

Człowiek-małpa wiedział, że mógł się teraz spodziewać napaści od jednego z samców, poczuwających się na siłach, do objęcia królewskiej godności. Pamiętał, opierając się na tym, co słyszał w swym rodzinnym plemienu małp, że nieraz zupełnie obcy przybysz po zabiciu króla danego szczepu, zagarniał sobie jego władzę.

Wiedział, iż mógłby, gdyby tylko zechciał, stać się teraz ich władcą, nie widział w tym jednakże żadnej dla siebie korzyści.

Jedna z młodszych małp, wysoki, barczysty samiec, spoglądał groźnie na białego rywala, wydając gniewny pomruk z paszczy, w której widniały żółte, gotowe do ataku kły.

Tarzan śledził ruchy samca, stojąc sam sztywny jak posąg. Cofnięcie się o krok w tył, byłoby narażeniem się na atak z miejsca, rzucając się naprzód mógł się narazić na walkę lub też

spowodować ucieczkę wroga.

Wybrał więc drogę pośrednią, postanowił wyczekać spokojnie na dalszy obrót wypadków.

Małpa tymczasem jęła z daleka okrążyć Tarzana, zacieśniając coraz więcej krąg i pomrukując złośliwie.

Tarzan, podczas tych manewrów, odwrócił się twarzą do samca, spoglądając mu w oczy.

Był to samiec olbrzymiego wzrostu. Kadłub, liczący około siedmiu stóp wysokości, wznosił się na krótkich, łukowatych nogach. Jego długie, kosmate ręce sięgały do ziemi, nawet, gdy stał wyprostowany, kły były wyjątkowo długie i ostre. Tak jak i jego współtowarzysze, różnił się on, pewnymi szczegółami w budowie, od małp rodzinnego plemienia Tarzana.

Z początku człowiek-małpa, na widok antropoidów, doznał pewnej radości na myśl, że może dziwnym zrzędzeniem losu odnalazł on dawnych współplemieńców, przypatrując im się jednak bliżej, przekonał się, iż należą oni do nieco odmiennego gatunku. Gdy groźny samiec dalej okrążał człowieka-małpę, w ten sam sposób jak psy, obwąchujące nowego przybłędę, Tarzanowi przyszło na myśl zwrócić się do niego w języku używanym przez plemię Kerczaka.

- Ktoś jest - zagadnął - który śmiesz napadać na Tarzana z małp?

Włochaty samiec spojrział na niego zdumiony.

- Jam jest Akut - powtórzył. - Molak nie żyje. Jam teraz królem. Idź precz stąd, bo inaczej zamorduję ciebie!

- Widziałeś, że zabiłem Molaka - odparł Tarzan. - Mógłbym tak samo zamordować ciebie, gdybym chciał godności królewskiej. Ale małpi Tarzan nie chce być królem plemienia Akuta. Bądźmy przyjaciółmi. Tarzan będzie pomagał w potrzebie, a i ty możesz nieraz pomóc Tarzanowi.

- Ty nie zdołasz zabić Akuta - odparł tamten. - Nikt nie dorówna Akutowi. Gdybyś nie zabił Molaka, Akut byłby to uczynił, gdyż Akut chciał być królem.

W odpowiedzi człowiek-małpa rzucił się na zwierzę, które - zajęte rozmową - zapomniało o czujności.

W mgnieniu oka Tarzan schwycił obie ręce małpy i wskoczył jej na plecy.

Małpa upadła na kolana ze swoim ciężarem, przez ten czas jednak Tarzan zdołał pochwycić ją za kark, naciskając Akuta, w taki sam sposób, w jaki naciskał Molaka.

Zamierzał on jednak przed uśmierceniem go spróbować, czy nie dałby się nakłonić do zgody, gdyż rozumiał dobrze, jak pożytecznego zyskałby w nim sprzymierzeńca.

- Ka-goda? - szepnął Tarzan Akutowi.

To samo pytanie zadał ongiś Kerczakowi, zwyciężywszy go, w języku małpim znaczyło to: „czy się poddajesz?”

Akut przypomniał sobie chrzest potężnego karku Molaka i zadrzał ze strachu. Ciężko mu było jednakże wyrzec się godności królewskiej, próbował uwolnić się tedy z żelaznego uścisku, nagle jednak, silniejsze naciśnięcie jego kości pacierzowej przez białego wroga, wyrwało mu z ust „ka-goda!”

Tarzan zwolnił nieco swoją ofiarę.

- Możesz sobie być królem, Akucie - rzekł. - Tarzan mówił ci, że nie zamierza zostać waszym królem. Jeżeli ktoś chciałby ci zaprzeczyć prawa do władzy, małpi Tarzan przybędzie ci na pomoc.

Człowiek-małpa zeskoczył z karku Akuta, który z wolna zaczął się gramolić na nogi.

Potrząsając wielkim łbem i mruczac gniewnie, podszedł do swoich towarzyszy, spoglądając wyzywająco, czy który z dorodniejszych samców nie zechce mu zaprzeczyć godności królewskiej.

Nie znalazł się jednak żaden oporny, wobec tego cała czereda ruszyła w stronę dżungli i Tarzan został znowu sam na wybrzeżu.

Człowiek-małpa odniósł bolesne rany w swej walce z Molakiem, był jednak przyzwyczajony do bólu i znosił go z tym spokojem i męstwem dzikich zwierząt, od których nauczył się prawideł życia w dżungli.

Pierwszą jego potrzebą było wystaranie się o broń, gdyż ze spotkania swego z małpami oraz z odległych ryków lwa Numy i pantery Szity wywnioskował, że nie będzie mu dane pędzić życia w beczynności i w bezpieczeństwie.

Pomyślał tedy o sporządzeniu sobie broni. Na wybrzeżu zauważył wystającą, krzemienistą skałę, z trudem odłupał kawałek krzemienia, mającego dwanaście cali długości i około ćwierć cala grubości, którego koniec był cienki i nieco wydłużony. W ten sposób otrzymał rodzaj pierwotnego noża.

Zapуścił się następnie w dżunglę, przyglądając się uważnie drzewom, aż dopóki nie zauważył powalonego przez burzę drzewa, gatunek którego znany mu był z dawnych czasów.

Odłamawszy z niego gałązkę, wyostrzył jej koniec i wywiercił mały, okrągły otwór w powalonym pniu. Do otworu tego wrzucił kilka kulek żywicy, starannie rozgniecionych, zanurzył tam koniec patyka, obracając go szybko w rękach. Wkrótce potem leciuchny obłok dymu zaczął się dobywać z hubki i niebawem wybuchnął płomień. Nagromadziwszy trochę gałęzi i chrustu, Tarzan rozpałił ognisko w wydrążeniu spróchniałego pnia.

W płomień ów zanurzył ostrze swego noża, rozpaliwszy je zaś do czerwoności, wyciągnął nóż i zwilżał go u końca, hartując swoją broń myśliwską w ten pierwotny sposób. Nie myślał jednakże wykończyć swej roboty za jednym zamachem, na ten dzień zadowolił się tylko wyostrzeniem kawałka noża i strzał, i rączki do oprawienia noża, schował je w pniu wysokiego drzewa, wśród gałęzi którego urządził sobie rodzaj szałas.

Szaro już było, kiedy Tarzan ukończył swoją pracę i głód dał mu się dotkliwie we znaki.

Błądząc po lesie, zauważył, iż niedaleko od tego właśnie drzewa znajdował się zbiornik mętnej wody, liczne ślady łap i kopyt zwierzęcych świadczyły, że tłumnie gaszą tu pragnienie liczni mieszkańcy dżungli. Zgłodniały człowiek-małpa cichaczem skierował się w tę stronę, przeskakując pośród gałęzi drzew z chłopcą swobodą; gdyby nie głęboka troska, przygniatająca mu serce, radowałby się z tego powrotu do dawnej swobody.

Pomimo jednak tej troski z wielką łatwością powracał do nawyknień życia w dżungli, które stanowiły niejako rdzeń jego natury, przysłonięta tylko powierzchownym pokostem cywilizacji.

Gdyby szlachetni panowie z Izby Lordów mogli go byli ujrzeć w obecnej chwili, załamałby zapewne arystokratyczne ręce na znak świętego oburzenia.

W milczeniu warował, rozciągnięty na gałęzi olbrzymiego drzewa, wyteżając słuch i wysyłając przenikliwy wzrok w daleką głąb dżungli, skąd winna lada chwila wyłonić się zwierzyna, mogąca służyć za pokarm.

Nie potrzebował długo czekać, zaledwie bowiem rozsiadł się wygodnie na gałęzi, gotując do nagłego skoku swoje muskularne, smukłe nogi, gdy Bara, piękny jeleń, ukazał się na ścieżce, zdążając w stronę wody.

Oprócz Bary nadchodził ktoś jeszcze, skradając się nieznacznie, jeleń nie był świadomy tego pościgu. Tarzan jednakże, ze swej wysoko położonej zasadzki, zauważył, ruszające się w oddali wysokie trawy.

Nie wiedział jednak, kto ściga jelenia, czy Numa, czy też Szita, w każdym razie był to któryś z wielkich drapieżników dżungli.

Wobec tego Tarzan zaczynał tracić nadzieję zdobycia zwierzyny, którą sprzed nosa mógł mu sprzątnąć ukryty napastnik i tylko życzył sobie, aby smukły Bara przyśpieszył kroku.

Gdy tak rozmyślał nad tym, niewczesny jakiś szmer od strony ścigającego zwierza, stropić musiał jelenia, nagle bowiem puścił się on pędem w stronę Tarzana. O jakie dwieście kroków za nim stąpał Numa.

Tarzan widział go już zupełnie dokładnie. Barze wypadła droga tuż pod jego drzewem.

Czy miał się odważyć na skok? Zadając sobie to pytanie, zgłodniały człowiek-małpa ześlizgnął się z gałęzi, spadając niespodziewanie na kark wystraszonego jelenia.

Za chwilę Numa napadnie na obojwóch, jeśli więc miał się pożywić, należało działać bez straty czasu.

Zwierzę przyklekło pod jego ciężarem, schwyciwszy je więc za rogi, wykręcił mu szyję z taką mocą, że posłyszał chrzęst pękających kręgów.

Lew, widząc co się dzieje, ryknął z gniewu, podczas gdy Tarzan, przewiesiwszy sobie jelenia przez ramię, wskoczył na najbliższą gałąź drzewa i wspiął się wyżej, w chwili, gdy lew podbiegał do drzewa. Numa, próbując skoku, opadł bezsilnie na ziemię, Tarzan zaś, podciągając w górę swoją zdobycz, z szyderyczym uśmiechem spoglądał w świecące, żółte ślepie lwa i - miotając szeregi obelg - rzucił mu szkielet, odarty z mięsa zwierzyny, którą mu sprzątnął przed chwilą.

Wykroił swoim kamiennym nożem smaczny kawał pulchnego mięsa; podczas gdy lew przechadzał się pod drzewem, mrużąc groźnie, lord Greystoke napełniał swój zgłodniały żołądek zdobytym łupem, ucza owa zaś smakowała mu więcej niż najwykwintniejsze obiady w pierwszorzędnym restauracjach Londynu.

Czerwona krew ofiary zawałowała mu twarz i ręce, napełniając nozdrza jego wonią, ulubioną przez dzikich mieszkańców dżungli.

Skoro najadł się do woli, zawiesił resztę szkieletu na dolnych gałęziach drzewa, sam zaś wdrapał się na wierzchołek swego schroniska, gdzie przespał się smacznie aż do następnego ranka.

ROZDZIAŁ IV

SZITA

Przez następnych kilka dni Tarzan zajmował się udoskonaleniem swojego rynsztunku, sporządził sobie pochwę i rękojeść do noża, kołczan na strzały, cięciwę do łuku ze ścięгна jelenia, którego upolował pierwszego wieczora, wreszcie ze skóry tegoż jelenia pas i rodzaj spódniczki na biodra, jaką noszą zwykle dzikie, wojownicze szczepy.

Wyplótnął również z trawy długi sznur, takiego samego rodzaju jak ten, którym to swego czasu tak się dał we znaki Tublatowi i który stał się skuteczną bronią w jego chłopięcych rękach.

Wreszcie wybrał się na zwiedzanie nieznaney krainy, w której się obecnie znajdował.

Wiedział dobrze, iż nie był to dobrze mu znany ląd zachodniego wybrzeża Afryki, gdyż wschodzące słońce stawało naprzeciw dżungli każdego ranka. Nie było to jednakże wschodnie wybrzeże, pamiętał bowiem, że „Kincaid” nie przepływał ani Śródziemnego Morza, ani Kanału Sueskiego, ani też nie opłynął Przylądka Dobrej Nadziei, nie mógł zatem zrozumieć, na jaką ziemię został wysadzony.

Zastanawiał się teraz, czy statek nie przebył szerokiego Atlantyku i nie zostawił go na dzikim, nadbrzeżnym lądzie Południowej Ameryki; tu znowu obecność lwa - Numy, zbijała go z tropu w tym względzie.

Gdy Tarzan tak odbywał samotną drogę przez dżunglę, posuwając się równolegle do wybrzeża, ogarniała go tęsknota za towarzystwem innych istot i nawet zaczął żałować, że nie przystał do małp. Nie spotkał się z nimi od owego pierwszego dnia, kiedy to wpływy cywilizacji miały jeszcze nad nim przewagę.

Obecnie już przypominał znowu, prawie zupełnie, dawnego Tarzana i chociaż uświadamiał sobie swoją wyższość nad antropoidami, byłby się jednakże, z braku lepszego, zgodził na ich towarzystwo.

Krażył swobodnie po dżungli, przeskakując z drzewa na drzewo i zrywając po drodze owoce lub też schodził na ziemię w poszukiwaniu jagód leśnych, uszedł tak już około mili, gdy uwaga jego została zwrócona przez woń Szity, dolatującą go z oddali.

Spotkanie z panterą - Szitą było bardzo na rękę Tarzanowi, nie tylko bowiem zamierzał sporządzić z jelita jej nową cięciwę do swojego łuku, ale jeszcze chciał użyć jej skóry na inne odzienie dla siebie oraz na nowy kołczan na strzały. Teraz więc człowiek-małpa przycisnął się i jał skradać się z cicha, oglądając się ostrożnie na wszystkie strony, idąc wciąż za śladem drapieżnego kota. Pomimo błękitnej krwi, płynącej w jego żyłach, lord Greystoke był w owej chwili nie mniej dzikim od zwierza, na którego polował.

Podszedłszy bliżej do Szity, spostrzegł, że ze swej strony pantera śledzi za jakimś łupem, w tej samej chwili nozdrza jego zaleciała woń znamionująca obecność wielkich małp w pobliżu.

Pantera wskoczyła na rozłożyste drzewo, pod tym drzewem zaś, nieco niżej, na niewielkiej polance spoczywało plemię Akuta. Niektóre spomiędzy małp drzemały, inne zajęte były wykopywaniem robaczków spod kory drzew, spożywając je potem ze smakiem.

Akut znajdował się najbliżej Szity.

Dziki kot leżał na grubym konarze, ukryty w gęstych liściach drzewa, czekając cierpliwie, aż wielka małpa znajdzie się od niego w odległości, stosownej do wykonania skoku.

Tarzan z wielką ostrożnością wdrapał się na drzewo, na którym pantera miała swój posterunek, i usiadł na wyższej gałęzi, tuż nad kotem.

W lewej ręce ścisnął swój kamienny nóż, byłby wolał użyć pętlicy, jednakże gęste liście, zasłaniające panterę, przeszkadzały w użyciu sznura.

Akut zbliżył się teraz jeszcze więcej do drzewa, na którym czyhała na niego przyczajona śmierć. Szita z wolna rozciągnęła zadnie łapy do skoku i z przeraźliwym okrzykiem rzuciła się na wielką małpę. Na sekundę przed tym skokiem inne drapieżne zwierzę dało potężnego susa, spadając na panterę i z jej rykiem mieszając swój dziki okrzyk.

Skoro zaskoczony Akut spojrział w górę, ujrzał panterę, dosięgającą go już prawie, na karku pantery zaś wielką białą małpę, która to pokonała go przy wielkiej wodzie owego pamiętnego dnia.

Zęby człowieka-małpy zatopiły się w karku Szity, prawą ręką ścisnął ją za gardło, podczas gdy lewa ręka zatapiała raz po raz kamienny nóż w grzbiet pantery.

Akut ledwie zdążył odskoczyć w bok, aby nie wpaść w wir walki, toczonyj pomiędzy dwoma zwierzęmi dżungli.

Zapaśnicy powalili się na ziemię, Szita ryczała, mruzczała i wyła przeraźliwie, biała małpa jednakże z milczącym uporem zatapiała nóż w świecąca sierść kota, który wreszcie - wydając ostatni rozpaczliwy jęk - wyprężył się, wstrząsany przedśmiertnymi podrygami, i opadł bezwładnie już martwy na ziemię.

Wówczas człowiek-małpa podniósł dumnie głowę, stanawszy na trupie swej ofiary, i rzucił w głąb dżungli swój dziki okrzyk zwycięstwa.

Akut wraz z towarzyszami spoglądali zdumieni z podziwem na trupa Szity i na wysoką postać, która uśmierciła drapieżnika.

Tarzan przemówił pierwszy.

Ocalił on życie Akutowi, mając pewien cel na myśli, znając zaś ograniczenie małpiego intelektu, chciał to dobrze wyjaśnić wielkiemu antropoidowi, mając nadzieję, iż będzie mógł sobie przez to zjednać jego usługi.

- Jam jest Tarzan z rodu małp - rzekł. - Wielki łowca, potężny siłacz. Koło wielkiej wody darowałem Akutowi życie, chociaż mogłem go uśmiercić i stać się zamiast niego królem plemienia. Teraz Tarzan wybawił Akuta od śmierci, która byłaby go schwyciła pazurami Szity. Gdy Akut lub plemię Akuta będzie w niebezpieczeństwie, niech zawołają Tarzana, tak - tu wydał przeraźliwy okrzyk, którym małpy z plemienia Kerczaka wzywały towarzyszy na pomoc. Jeżeli zaś - ciągnął dalej - Akut lub jego bracia posłyszają wezwanie Tarzana, niech przypomną sobie to, co Tarzan uczynił dla Akuta i niech dążą ku niemu wielkim pędem. Czy stanie się wedle słów Tarzana?

- Huu! - przytwierdził Akut, za nim zaś powtórzyły inne małpy: - Huu!

Po czym całe towarzystwo, nie wyłączając i Jana Claytona, lorda Greystoke'a, zabrało się do biesiadowania nad ciałem pantery.

Tarzan zauważył, że Akut trzymał się ciągle blisko niego i spoglądał nań od czasu do czasu z

wyrazem podziwu w swoich małych, zaczerwienionych oczach, przy czym zdobył się na czyn, z którym człowiek-małpa nie spotkał się dotychczas przez długie lata obcowania swego z kosmatymi towarzyszami: wybrał smaczny kąsek, przypadający mu w udziale i podał go Tarzanowi.

Odtąd człowiek-małpa polował po lesie wraz z całym kosmatym plemieniem, które przyzwyczało się do jego obecności, uważając go za jednego ze swoich.

Gdy podchodził zbyt blisko do samicy z małym małpiątkiem, wyszczerzała ona swe groźne zęby, pomrukując złowrogo, czasami samiec, zajęty jedzeniem, warknął na niego, gdy zbliżył się doń niebacznie. Wszystkie małpy traktowały jednak Tarzana, jak gdyby był on ich współplemieńcem.

Tarzan czuł się z nimi bardzo zadowolony, umiał zręcznie odskoczyć w porę przed uderzeniem rozniewanej samicy, gdyż jest to zwykły sposób postępowania małp, o ile nie wpadną w atak złości, odwarkiwał również młodym samcom, pokazując im wzajem swoje wielkie, białe zęby. I tak z łatwością powrócił do trybu swego pierwotnego życia, zdawać by się mogło, iż nie zaznał on obcowania z ludzkimi istotami.

Przez większą część tygodnia włóczył się po dżungli z nowymi przyjaciółmi, po części z potrzeby towarzystwa, po części zaś dla wykonania pewnego planu. Chodziło mu mianowicie, żeby małpy zapamiętały go dobrze, wiedział zaś, że nie odznaczają się szczególnymi zdolnościami w tym kierunku, przy tym doświadczenie lat ubiegłych nauczyło go, jak potężnymi sprzymierzeńcami mogą się okazać w potrzebie owe straszliwe i groźne zwierzęta.

Skoro przekonał się, iż udało mu się wrazić swoją osobę w ich pamięć, postanowił prowadzić nadal swoje badanie dżungli. Ruszył więc ku północy pewnego ranka i - postępując ciągle wzdłuż wybrzeża - szedł bez przerwy wprost przed siebie, aż do zachodu słońca.

Skoro nazajutrz wstało słońce, Tarzan zauważył, stojąc na wybrzeżu, że znajduje się ono nie po jego prawej ręce, lecz naprzeciw niego, nad morzem - wynioskował stąd, że linia wybrzeża zmieniła swój kierunek, pochylając się ku zachodowi. Przez cały następny dzień wędrował dalej, gdy zaś o zachodzie zauważył słońce, chowające się na widnokręgu w morzu, zrozumiał, że jego przypuszczenia sprawdziły się.

Rokow pozostawił go na bezludnej wyspie.

Plan zemsty był tedy przebiegle i chytrze obmyślony, pozostawiwszy go bezbronny na tym pustkowiu, Rokow wylądował zapewne na wybrzeżu Afryki, gdzie łatwo mu będzie postarać się o umieszczenie małego Jacka u okrutnych ludożerców, którzy mieli mu zastąpić tkliwą opiekę rodzicielską.

Tarzan zadrżał na myśl o cierpieniach, czekających dziecko, nawet gdyby się dostało do względnie poczciwych ludzi. Miał on dosyć doświadczenia, że swego obcowania z dzikimi plemionami w Afryce, ażeby wiedzieć, że choć można między nimi znaleźć lepsze istoty, to jednak życie ich jest jednym pasmem niewygód, niebezpieczeństw i udręki.

Przy tym myśl o przeznaczeniu syna, czekającym go, gdy dorośnie, przejmowała Tarzana grozą.

Synek jego ludożercą? Było to nie do zniesienia! Tarzan jęknął złowrogo. Ach, gdyby mógł w tej chwili mieć w swej mocy Rokowa! A Janina!

Co za męki zwątpienia i niepewności przechodzić musi! Czuł, że jednak jego położenie było lepsze, gdyż przynajmniej wiedział, iż jedna z drogich mu istot znajduje się w bezpieczeństwie, w domu, podczas gdy ona nie wie nic o mężu ani o dziecku. Dobrze, iż Tarzan był nieświadomy istotnego stanu rzeczy, cierpienia jego bowiem potroiliłyby się z pewnością.

Gdy szedł dalej przez dżunglę, pogrążony w ponurych myślach, jakieś dziwne odgłosy szamotania

zwróciły jego uwagę.

Ostrożnie zaczął iść w kierunku, skąd dochodziły i natknął się wreszcie na olbrzymią panterę, przygniecioną ciężarem drzewa, które się na nią powaliło.

Skoro się Tarzan zbliżył, zwierzę porwało się ku niemu, mrużąc i próbując daremnie wydobyć się z uwięzi, gdyż jeden z konarów drzewa, który zwieszał się przez plecy pantery i kilka mniejszych gałęzi, w które się zaplątały jej łapy, uniemożliwiały jej ruszenie się z miejsca.

Tarzan stanął naprzeciwko bezradnego kota, nastawiając już strzałę na cięciwę, aby skrócić męki zwierzęcia, które niechybnie czekała śmierć głodowa, gdy nagle cofnął rękę, gotową do wypuszczenia strzały.

Dlaczegoż pozbawiać życia i wolności biedne stworzenie, kiedy byłoby tak łatwo wrócić mu to życie i wolność! Był on pewien, wobec gwałtowności ruchów pantery, że żaden z jej członków nie uległ złamaniu i że kość pacierzowa pozostała nietknięta. Zawiesił tedy łuk na ramieniu i zbliżył się do usidlonego zwierzęcia, starając się naśladować przyjazny mruk wielkich kotów, który wydają w chwili radości i zadowolenia.

Pantera zaprzestała mrużyć i jęła się przyglądać uważnie człowiekowi-małpie. Ażeby dźwignąć wielki ciężar drzewa należało stanąć tuż przy panterze, skoro zaś drzewo zostałoby podniesione, Tarzan byłby się musiał zdać na łaskę dzikiego kota, myśli te szybko przemknęły przez głowę człowieka-małpy, nie wzbudzając w nim jednakże lęku.

Powziąwszy raz postanowienie, zebrał się do wprowadzenia go w czyn.

Bez wahania wszedł w gąszcz gałęzi, stając tuż koło pantery i ciągle naśladowując głosem owo przyjazne, pojednawcze mrużenie. Kot wykręcił łeb ku niemu, przypatrując mu się badawczo, pytająco. Długie kły były wyszczerzone, ale raczej w samoobronie niż w celu zaczepki.

Tarzan szerokim ramieniem podważył pień drzewa, jego obnażona noga ocierała się o jedwabistą sierść pantery, wreszcie z wolna wyprężył swoje żelazne mięśnie.

Wielkie drzewo ze splotem powikłanych gałęzi podniosło się powoli, pantera zaś nie czując się skrępowaną, wypęzła szybko spod niego. Tarzan puścił drzewo, które znowu opadło z trzaskiem, i dziwna para jęła się sobie przyglądać wzajemnie.

Szyderczy uśmiech wykrzywił twarz Tarzana, wiedział, iż zaryzykował on własne życie, aby oswobodzić dzikiego mieszkańca dżungli, nie byłby się zatem zdziwił, gdyby zwierzę skoczyło na niego z chwilą odzyskania swobody.

Pantera jednak nie uczyniła żadnego ruchu w tym kierunku, stała w odległości kilku kroków od drzewa, śledząc za człowiekiem-małpą, wydobywającym się spośród poplątanych gałęzi.

Tarzan mógłby wskoczyć na sąsiednie drzewo, gdzie pantera nie byłaby go dosięgła, dzikie koty bowiem nie umieją wspinać się po wysokościach, do których przywykły małpy, jednakże pewnego rodzaju zuchwalstwo popchnęło go do przybliżenia się do pantery, może by sprawdzić, czy uczucie wdzięczności przewycięży jej wrodzone krwiożercze instynkty.

Gdy zbliżył się do olbrzymiego kota, ten ostrożnie usunął się na bok, gdy zaś zapuścił się w głąb lasu, pantera szła za nim, niby wierny pies za swym panem.

Przez długi czas Tarzan nie mógł zrozumieć, czy zwierzę idzie za nim pod wpływem przyjaznych uczuć, czy też ma zamiar pożreć go w stosownej chwili, w końcu jednak przekonał się, że to przyjaźń powodowała panterę.

Tego samego dnia nad wieczorem Tarzanowi udało się złapać jelenia na łąsku, zacieśnwszy mu pętlę na karku, zawołał Szitę, wydając ten sam przyjazny pomruk, ale nieco donośniej, słyszał

dawniej jeszcze, jak polujące parami pantery nawoływały się w ten sam sposób, dla podzielenia się zdobyczą.

Prawie że w tej samej chwili zaszeleściły krzaki tuż obok niego i długie, smukłe ciało pantery ukazało się przy nim.

Na widok powalonego Bary, odczuwając zapach krwi, Szita wydała krótki, donośny pisk i chwilę później człowiek-małpa i pantera raczyli się smacznym mięsem jelenia.

Osobliwa ta para wędrowała po dżungli przez szereg dni. Gdy jedno z nich upolowało zwierzę, przywoływało natychmiast drugie, ucztę ich tedy bywały częste i obfite.

Pewnego razu, gdy obiadowali, racząc się mięsem dzika, upolowanego przez Szitę, lew - Numa, straszny i ponury skoczył na nich z groźnym mrukiem, chcąc im odebrać łup. Szita schroniła się w gąszczu, Tarzan zaś wskoczył na drzewo.

Tu człowiek-małpa zarzucił Numie pętlicę, przywiązawszy zaś do drzewa, miotającego się bezsilnie króla zwierząt, zawołał na Szitę, która przybiegła natychmiast.

Wówczas Tarzan, zeskoczywszy na ziemię, zanurzył ostrze noża w serce Numy, podczas gdy Szita z uciechą dobijała pazurami obezwładnionego lwa.

Gdy zaś ciało Numy zwisło nieruchomo na sznurze, w głąb dżungli uleciał dziki, niesamowity okrzyk zwycięstwa, rozbrzmiewający złowrogo, rzucony w dal przez człowieka-małpę i pijaną krwią Szitę.

Ostatnie jego dźwięki, zamierające w przedłużonym, jęklwym echu, zostały pochwycone przez gromadę umalowanych wojowników, którzy przepływając wzdłuż wybrzeża w swym długim czółnie wojennym, zatrzymali się chwilę, spoglądając w stronę dżungli i nasłuchując uważnie.

ROZDZIAŁ V

MUGAMBI

Tarzan, zwiedziwszy wzdłuż i wszerz całą wyspę, doszedł do wniosku, iż był on jedyną ludzką istotą, zamieszkującą tam obecnie.

Nazajutrz po zabiciu Numy, Tarzan i Szita spotkali plemię Akuta. Wielkie małpy na widok pantery, rzuciły się do ucieczki. Tarzanowi jednakże udało się po chwili zwołać je znowu.

Przyszło mu na myśl, iż byłaby to sztuka nie lada, pogodzić między sobą tych odwiecznych nieprzyjaciół. W ogóle witał on z radością każdy pomysł, który, zajmując mu czas, odrywał go od ponurych trosk, nachodzących go w godzinach bezczynności.

Nie było zbyt trudną rzeczą wytłumaczyć małpom, o co szło mianowicie, wyperswadować jednakże złośliwej Szicie, że wielkie małpy miały z nią wspólnie polować na zwierzynę, zamiast być, jak dotychczas, smacznym dla niej kąskiem, było to przedsięwzięcie ponad siły człowieka-małpy.

Tarzan, oprócz innej broni, posiadał gruby, sękaty kij, przywiązawszy Szitę sznurem do drzewa, obił ją dotkliwie tym narzędziem, tłumacząc jej w ten sposób, że nie wolno jej napadać na wielkie, kosmate stworzenia, które teraz widząc, w jakim celu Szita została przywiązana do drzewa, podeszły do niej nieco śmielej.

Był to cud prawdziwy, że kot nie rzucił się na Tarzana, być może, iż powstrzymało go od tego, uderzenie go kijem po nader wrażliwym nosie, ból ten wzbudził w nim poszanowanie dla sękatej pałki oraz lęk przed kosmatymi istotami, pośrednimi sprawcami bolesnej kary.

Tak to potęga umysłu ludzkiego umiała poskromić pierwotne instynkty dzikich zwierząt i przez szereg dni pantera i wielkie małpy polowały razem, dzieląc się wspólnie łupem, zaś barczysty biały człowiek, niedawno temu bywalec arystokratycznych salonów w Londynie, nie ustępował im w niczym pod względem odwagi i okrucieństwa.

Niekiedy cała gromada rozchodziła się w różne strony na kilka godzin lub na cały dzień, aby polować każdy na swoją rękę, wówczas człowiek-małpa, przeskakując po wierzchołkach drzew, wydostawał się na wybrzeże, gdzie leżał długie chwile, wygrzewając się na palącym słońcu, pograżony w głębokiej zadumie.

Właśnie, gdy tak spoczywał, pewnego dnia wyszedł go ciekawe spojrzenie pary oczu, należących do dzikiego wojownika, siedzącego na szczycie skały.

Wojownik ów ze zdumieniem przypatrywał się białemu człowiekowi, wygrzewającemu się na słońcu, wreszcie - odwróciwszy się - dał znak i natychmiast inna głowa, a potem mnóstwo innych, jęło śledzić ciekawie białą istotę.

Wkrótce, jedna za drugą, wysokie postacie wojowników, o tatuowanych twarzach, uzbrojonych w

maczugi i łuki, jęły posuwać się ukradkiem w stronę Tarzana.

Smutne myśli, w których był pogrążony Tarzan, przytępiły nieco czujność jego zmysłów tak, że dopiero, gdy niewielka odległość dzieliła go od chytrych napastników, uświadomił sobie, że nie znajdował się sam na wybrzeżu.

Skoro jednak odczuł czyjąś obecność poza swoimi plecami, z błyskawiczną szybkością zerwał się na nogi, gotów do obrony. Wówczas dzicy wojownicy rzucili się ku niemu z dzikim wyciem, potrząsając maczugami, ci jednak, którzy podeszli pierwsi, padli martwi na ziemię pod potężnymi ciosami jego sękatej pałki. Smukła, muskularna postać białego człowieka stanęła między nimi, waląc pałką na prawo i na lewo, a trafiając tak celnie, że za każdym uderzeniem czarny wojownik padał ogluszony, niezdolny do dalszej napaści.

Wówczas pozostała garstka dzikich cofnęła się nieco w tył, dla wspólnej narady widocznie, przez ten czas człowiek-małpa stał przed nimi z założonymi na piersiach rękami, na jego pięknej twarzy igrał lekceważący półuśmiech. Wreszcie wojownicy zbliżyli się znowu, tym razem potrząsając groźnie ostrymi włóczniami. Otaczali Tarzana małym półkolem, zacieśniającym się coraz bardziej, w miarę jak podchodzili do niego.

Człowiek-małpa ujrzał się w położeniu bez wyjścia, chcąc uciec, należało przebić się przez włóczniami najeżone półkole lub też rzucić się w morze, znajdujące się poza nim.

Wtem nagle zaświtała mu myśl, przemieniająca uśmiech na jego twarzy w złośliwe wykrzywienie. Wojownicy znajdowali się jeszcze w pewnej odległości od niego i stąpali, wydając dzikie okrzyki oraz podskakując gwałtownie, niby w strasznym wojennym tańcu.

Wówczas człowiek-małpa rzucił w głąb dżungli przeraźliwe wezwanie, na którego odgłos czarni stanęli zafrasowani. Spoglądali pytająco jeden na drugiego, dźwięki te bowiem były tak niesamowite i straszne, że nawet ich wrzaski traciły przy nich znaczenie. Nigdy ludzkie gardło nie byłoby w stanie wydobyć odgłosów tak zwierzęcych, jednak widzieli wszakże na własne oczy, jak właśnie biały człowiek rzucał w przestrzeń te okrzyki.

Zawahali się jednak tylko przez krótką chwilę i znowu podjęli przerwany posuwisty taniec wojenny, aż nagle trzask gałęzi od strony dżungli zatrzymał ich znowu, a gdy spojrzeli w stronę, skąd nadchodziły te szmery, ujrzeni widok, który zmroziłby krew zuchów dzielniejszych od wojowników, należących do plemienia Wagambi.

Wychylając się z zarośli dżungli, pędziła ku nim wielka pantera, o błyszczących ślepiach i wyszczerzonych kłach, za nią gromada olbrzymich małp, dążących spieszno po nową zdobycz na swych krótkich, łukowatych nogach, z długimi rękami, zwieszającymi się ku ziemi.

Zwierzęta Tarzana odpowiedziały na jego wołanie.

Zanim plemię Wagambówr zdołało ocknąć się z przerażonego zdumienia, cała horda napadła na nich, a na czele jej Tarzan, łamiąc włócznie i roztrzaskując pałki. Poległo kilka małp, ale nie pozostał żaden z czarnych, za wyjątkiem jednego, który jął uciekać w stronę wybrzeża. Szita rozszarpywała dzikich, Tarzan dobijał ich swoim nożem, zostawiwszy wreszcie swoją czeredę, która chciwie rzuciła się teraz na trupy Murzynów. Tarzan, który do ludzkiego mięsa czuł wstręt nieprzewyciężony, puścił się w pogoń za jedynym, ocalałym ze straszego pogromu. Był nim Mugambi, wódz całego plemienia. Tarzan ujrzał, jak biegł on w stronę morza, zmierzając wprost do wielkiego czołna, które stało wciągnięte na piasek wybrzeża, przywiązane do skały.

Cichutko, niby cień jego własny, człowiek-małpa gonił przerażonego dzikiego. W głowie jego powstał nowy zamiar, na widok wojennego czołna. Skoro ci ludzie przybyli w te strony z innych

wysp - lub też z afrykańskiego lądu - dlaczegóż by nie miał on użyć tego czółna dla dostania się do krainy, z której przybyli dzicy?

Ciężka ręka opadła na ramię uciekającego Mugambiego, zanim się spostrzegł, że jest ścigany, gdy zaś odwrócił się, by się bronić, potężne palce ścisnęły jego ręce jak w kleszczach i powalił się na ziemię wraz z trzymającym go w objęciach olbrzymem.

Tarzan odezwał się do niego językiem plemion zachodnio-afrykańskich:

- Ktoś ty jest? - zapytał.

- Mugambi, wódz plemienia Wagambów - odpowiedział czarny.

- Daruję ci życie - rzekł Tarzan - jeśli obiecasz pomóc mi wydobyć się z tej wyspy.

Cóż odpowiesz na to?

- Pomogę ci - rzekł Mugambi. - Teraz jednak, skoro zabiłeś moich wszystkich wojowników, nie wiem, czy będę stąd mógł wyruszyć, gdyż nie będzie komu wiosłować, bez wiosła zaś nie podobna przepłynąć morza.

Tarzan pozwolił swemu jeńcowi wstać na nogi. Był to mężczyzna o wspaniałej budowie, dorównujący wzrostem białemu człowiekowi.

- Chodź! - przemówił doń człowiek-małpa i zawrócił w stronę poboju, skąd dochodziły ich głucho pomruki i głośne mlaskanie biesiadników. Mugambi cofnął się z przerażeniem.

- Zamordują nas - powiedział.

- Nie - odparł Tarzan. - To przecież moje zwierzęta. Jednakowoż czarny wahał się jeszcze, lękając się przybliżyć do strasznych stworzeń, które biesiadowały na trupach jego wojowników, ale Tarzan przymusił go i wkrótce ujrzeli ową straszną ucztę. Na widok ludzi, zwierzęta obejrzały się, wydając złowrogie pomruki. Tarzan jednakże stanął pomiędzy nimi, pociągając za sobą drżącego ze strachu Mugambiego.

Z łatwością nakłonił małpy, aby przyjęły do ich grona czarnego wodza, tak, jak przyjęły do siebie Szitę; inaczej jednak rzecz się miała z panterą, która nie mogła pojąć, dlaczego wolno jej było pozjadać wszystkich wojowników Mugambiego, a teraz zabraniano jej postąpić tak z samym Mugambim. Będąc teraz najedzoną do syta, pantera zadawała się krążeniem naokoło wystraszonego czarnego, wydając przy tym przytłumione pomruki i łyskając na niego swoimi płomiennymi ślepiami.

Mugambi ze swej strony trzymał się boku Tarzana, tak iż człowiek-małpa z trudnością powstrzymywał się od śmiechu na widok litości godnego położenia Murzyna; w końcu jednak, chwyciwszy Szitę za skórę na karku, pociągnął ją tuż do Wagamba, uderzając zwierzę boleśnie po wrażliwym nosie, za każdym razem, kiedy mruknęło na obcego przybysza.

Mugambiemu oczy rozszerzyły się z podziwu na widok człowieka, który gołymi rękami potrafił ujarzmić jednego z najstraszniejszych drapieżników dżungli; wkrótce też niechętny szacunek, jaki okazywał białemu olbrzymowi, ustąpił miejsca pełnemu grozy uwielbieniu.

Wyszkolenie Szity szło tak dobrze, iż w krótkim czasie Mugambi przestał być dla niej celem łakomej uwagi i zaczął czuć się cokolwiek bezpieczniejszy w tym dziwnym gronie.

Twierdzenie, że Mugambi czuł się zupełnie szczęśliwy lub swobodny w swoim nowym otoczeniu, byłoby niezgodne z prawdą. Jego oczy biegały ciągle niespokojnie od jednego do drugiego z drapieżnych towarzyszy, idących koło niego, wywracając je ze strachem tak, że najczęściej nie było w nich widać źrenic, a same białka.

Tarzan i Mugambi, wraz z Akutem i Szitą, leżeli obok siebie w brodzie, czatując na jelenia, na znak dany przez człowieka-małpę, rzucili się wszyscy razem na wystraszone zwierzę, Mugambi zaś

był przekonany, że przestało ono żyć z samego przerażenia, zanim zostało osiągnięte przez któregoś z napastników.

Mugambi rozniecił ogień i upiekł przypadającą na niego część łupu, Tarzan zaś, Szita i Akut, rozrywali swoje kęski zębami, zajadając je na surowo i pomrukując wzajem na siebie, gdy jedno z nich ruszyło część, należną drugiemu.

Nie było w tym nic dziwnego, że sposób postępowania w tym wypadku białego człowieka był więcej zbliżony do zwyczajów zwierząt, niż zachowanie się Murzyna. Wszyscy podlegamy sile przyzwyczajenia, gdy zaś znika potrzeba przestrzegania nowych dla nas zwyczajów, powracamy z wielką łatwością do nawyków, w których wzrosliśmy od dzieciństwa.

Mugambi od dzieciństwa swego jadał tylko pieczone mięso, podczas gdy Tarzan nie skosztował innego mięsa jak surowe, do niedawnego czasu, i tylko przez cztery ostatnie lata oswoił się nieco z mięsem gotowanym i pieczonym. Przedkładał jednakże zawsze soczyste i ciepłe jeszcze mięso zabitego zwierzęcia, nad mięso przyrządzone przez kucharza, które mu się zawsze wydawało zmarnowane.

Że mógł on spożywać z apetytem surowe mięso, zakopane przez siebie w ziemi przed paroma tygodniami, lub żywić się jaszczurkami i wstrętnymi robakami, wygrzebanymi z ziemi, wydaje się nam „cywilizowanym” rzeczą wstrętną; gdybyśmy jednak byli zwykli karmić się tym od dzieciństwa i gdyby wokoło nas wszyscy się tym raczyli, nie wzbudzałoby to w nas uczucia obrzydzenia, owszem, uważalibyśmy te potrawy za równie smaczne jak nasze delikatesy, na które niejeden dziki Afrykanin kręciłby nosem.

W okolicach jeziora Rudolfa znajduje się na przykład plemię, które nie jada owiec ani bydła, a ich najbliżsi sąsiedzi jedzą to mięso chętnie. Inne znowu plemię żywi się mięsem oślim, który to zwyczaj wzbudza obrzydzenie u innych, sąsiadujących z nimi, szczepów.

Czyż podobna więc twierdzić, że smaczne są im ślimaki, nóżki żabie i ostrygi, ale wstrętne glisty i chrabąszcze, lub że surowa ostryga jest mniej; obrzydliwa od słodkiego, czystego mięsa świeżo zabitego jelenia?

Wyplatanie żagla z łyka zajęło Tarzanowi parę dni, zwątpił bowiem o możliwości nauczania małą wiosłowania, chociaż udało mu się skłonić niektóre z nich, aby weszły do czółna.

Z początku robili próby przy samym brzegu. Tarzan próbował wkładać małpom do rąk wiosła, przekonał się jednak niebawem, że małpy nie były w stanie skupić na dłuższą chwilę swej uwagi na jednym punkcie, że przeto nie warto było mozolić się nad wyszkoleniem ich na wiosłarzy.

Jeden Akut stanowił wyjątek w tym względzie, okazując wyjątkowy zasób inteligencji, zdawał się rozumieć znaczenie wiosła. Tarzan zaś, widząc to, nauczył go najważniejszych ruchów wiosłarskich.

Mugambi objaśnił Tarzanowi, iż wyspa, na której byli, znajdowała się niedaleko od lądu Afryki. Wągambowie wypłynęli zbyt śmiało naprzód na swoim wątlym czółnie, silniejszy prąd i mocny wiatr uniosły ich za daleko. Przewiosłowawszy całą noc, w nadziei, że zbliżają się do rodzinnego brzegu, ujrzeni o wschodzie słońca wyspę, biorąc ją zaś za wybrzeże Afryki, z radością tam wylądowali. Mugambi zaś nie wiedział, że była to wyspa, dopóki Tarzan nie objaśnił go w tym względzie.

Wódz Wągambów powątpiewał co do skuteczności żagla, nigdy bowiem nic podobnego nie widział. Rodzinny kraj jego leżał nad szeroką rzeką Ugambi, pierwszy raz w swoim życiu zapuścił się na wody oceanu.

Tarzan jednakże ufał, że przy pomyślnym wietrze zachodnim zdołają dobić do lądu Afryki.

W każdym razie uważał, że lepiej będzie zginąć w drodze, niż tkwić wiecznie na tej bezludnej wyspie, nie znanej w geografii, gdzie nie można się było spodziewać żadnych statków.

Skoro więc tylko powstał przyjazny wiatr, wsiadł na swój wojenny stateczek, biorąc ze sobą dziwną, osobliwą i postrach budzącą załogę, która była godną przewodnictwa tak dzikiego - jak on - kapitana. Skład jej stanowił Mugambi, Akut, Szita, pantera i dwanaście wielkich małych samców.

ROZDZIAŁ VI

NIESAMOWITA ZAŁOGA

Czółno z dzikimi pasażerami płynęło z wolna ku wyłomowi w skałach, z którego należało się wydobyć, chcąc się dostać na pełne morze. Tarzan, Mugambi i Akut wiosłowali, gdyż skalne ściany zatoki nie dawały dostępu zachodniemu wiatrowi, nie można było tedy rozwinąć żagla.

Szita leżała u nóg człowieka-małpy, który dla bezpieczeństwa towarzyszy, wolał mieć dzikie zwierzę pod swoją bezpośrednią opieką, u steru znajdował się Mugambi, naprzeciwko niego Akut, a między Tarzanem i Akutem dwanaście kosmatych małp siedziało w kucki, łypiąc oczami na wszystkie strony i od czasu do czasu żałośnie spoglądając na oddalającą się wyspę.

Wszystko szło gładko, dopóki czółno nie wypłynęło z zatoki. Tu wiatr, dmąc w żagiel, rzucał barkę na pastwę bałwanom, które podnosiły się coraz wyżej, w miarę jak czółno oddalało się od brzegu.

Gdy barka zaczęła się kołysać, paniczny strach ogarnął małpy. Z początku kręciły się niespokojnie, wreszcie sypały się ich narzekania i jęki. Akut z trudnością powstrzymywał je od dalszych wybryków, gdy jednak wielki bałwan gwałtowniej zakołysał czółnem, wszczął się pisk i lament nie do opisania i cała czereda o mało co nie wywróciła barki, z trudem Tarzan i Akut zdołali przywrócić porządek; jednak powoli kosmaci pasażerowie przyzwyczaili się do ciągłego kołysania się czółna i podróż odbywała się spokojnie.

Wiatr był pomyślny; po dziesięciu godzinach podróży ujrzeni wreszcie o zmierzchu, zarysowujące się w cieniu kontury lądu.

Było zbyt ciemno, aby móc rozeznąć, czy znajdowali się blisko ujścia rzeki Ugambi.

Tarzan tedy wyładował w najodpowiedniejszym miejscu na wybrzeżu, aby tam doczekać się dnia.

Z trudem wygramolili się z łodzi, małpy siedziały przytulone do siebie, aby się zabezpieczyć przed chłodem nocy. Mugambi rozpałił ognisko, Tarzan zaś i Szita, zapuścili się w czarną głębię dżungli, chcąc zaspokoić głód, upolowaną po nocy zwierzyną.

Szli to gęsiego, to obok siebie, wreszcie Tarzan pierwszy poczuł zapach świeżego łupu.

Był nim ogromny bawół, śpiący pośród gęstych trzciny nad brzegiem rzeki.

Bliżej i bliżej podchodzili do nieświadomego niebezpieczeństwa zwierza, wreszcie ułożyli się tuż obok niego: Szita z prawej, a Tarzan z lewej strony. Przywykli do wspólnych myśliwskich wycieczek, porozumiewali się teraz, mrucząc z cicha.

Przez chwilę Tarzan i Szita leżeli w milczeniu, aż wreszcie na znak, dany przez człowieka-małpę, pantera rzuciła się na śpiącego bawoła, wpijając swoje ostre zęby w jego kark. Zwierzę zerwało się z rykiem na nogi, w tej samej chwili zaś Tarzan wpakował mu nóż w lewą łopatkę, zadając mu

kilkakrotnie ostre ciosy.

Jedną ręką człowiek-małpa trzymał za grzywę rozjuszonego byka, który rzucił się do ucieczki, pociągając za sobą dwóch napastników, w końcu jednak trafiony ostrzem noża w serce, padł bezsilny na ziemię. Wówczas Tarzan i Szita zabrali się do uczyty.

Zaspokoiwszy głód, dwaj myśliwi legli w gąszczach na spoczynek. Tarzan przytulił swą głowę do nakrapianego w cętki, lśniącego grzbietu pantery. Zaledwie nastał świt posilili się znowu i udali się w stronę wybrzeża, Tarzan bowiem chciał przyprowadzić resztę gromady do miejsca gdzie leżał bawół.

Po skończonej biesiadzie zwierzęta ułożyły się do snu, Tarzan więc wraz z Mugambim wyruszyli na poszukiwanie rzeki Ugambi. Zaledwie uszli pół wiorsty drogi, gdy natrafili na szeroką wodę. Murzyn oświadczył, iż z tego właśnie miejsca on i jego wojownicy wyruszyli na ową nieszczęsną wyprawę.

Idąc ciągle z biegiem wody, doszli do ujścia rzeki, wpadającej do oceanu w zatoce, położonej nie dalej jak o milę* drogi od miejsca wylądowania.

Tarzan był bardzo pocieszony tym odkryciem, był pewny bowiem, że w pobliżu rzeki zamieszkują tubylcy, od których będzie mógł zasięgnąć wiadomości o Rokowie i o dziecku, wewnętrzne jego przekonanie mówiło mu, że Rokow, załatwiwszy sprawę z Tarzanem, będzie dążył do pozbycia się czym prędzej jego dziecka.

Teraz zabrał się wraz z Mugambim do wypchnięcia czółna na morze, co było zadaniem nie lada, wobec gwałtownych fal zalewających wybrzeże, dopłynęli wreszcie do ujścia rzeki. Tu napotkali na - pewne trudności, chcąc wtoczyć czółno na rzekę, z powodu dwóch przeciwnych, walczących ze sobą prądów, w końcu jednak, skorzystawszy z wiru, który pchnął czółno na nurty rzeki, popłynęli bez dalszych przeszkód i o zmierzchu znaleźli się prawie naprzeciwko miejsca, na którym wylądowali dnia poprzedniego.

Przywiązawszy czółno do nadbrzeżnego krzaka, obydwaj zapuścili się w dżunglę, około trzciny, w których został zabity bawół, napotkali kilka małp, zajadających owoce. Szita nie pokazywała się wcale i nie powróciła tej nocy. Tarzan sądził, że znalazła stosowne dla siebie towarzystwo i że zapomniała o nim.

Nazajutrz o świcie człowiek-małpa zaprowadził swoją czeredę nad brzeg rzeki, po drodze zaś rzucał w przestrzeń przenikliwe okrzyki. Nagle z oddali, w odpowiedzi, rozległ się podobny okrzyk i w pół godziny później ukazała się smukła Szita, w chwili gdy małpy niezgrabnie sadowiły się w czółnie.

Wielkie zwierzę, pusząc się i mrużąc jak zadowolony kot, ocierało się pieszczotliwie o Tarzana i na jego rozkaz wskoczyło zwinnie na swoje dawne miejsce w głębi łódki.

Skoro wszyscy usadowili się w łodzi, sprawdzono, że brak jest dwóch małp, pomimo nawoływań ze strony Tarzana i Akuta nie ukazały się wcale, że zaś one właśnie okazywały najwięcej niechęci do wzięcia udziału w wyprawie, Tarzan był pewien, że zbiegły umyślnie, aby nie pojechać dalej z całą gromadą.

Gdy około południa cała czereda wysiadła na ląd w poszukiwaniu pożywienia, smukły, nagi Murzyn, ukryty w gąszczu krzaków, okalających rzekę, ujrzawszy z dala dziwnych przybyszów, puścił się pędem, zanim go zdołali zauważyć, w stronę swej rodzinnej wioski, leżącej o kilka mil od miejsca ich wylądowania.

Jak spłoszony jeleń pędził wąskim szlakiem, cały przejęty wieścią, którą przynosił.

- Nowy biały człowiek nadchodzi! - oznajmił z krzykiem wodzowi, siedzącemu u progu swojej lepianki. - Nowy biały, a z nim wielu wojowników. Płyną ku nam w wielkim czółnie, aby mordować i rabować co się da, tak jak to uczynił tamten z czarną brodą, który nas co tylko opuścił.

Kawiri zerwał się na równe nogi. Tylko co zakosztował przyjemności obcowania z białymi i jego dzikie serce przepełnione było nienawiścią i goryczą.

Chwilę później dźwięk bębnow wojennych rozległ się w małej wiosce, zwołując myśliwych z lasów i oraczy z pola.

Siedem czółen wojennych, kierowanych przez tatuowanych wojowników w pióropuszcach, stanęło w pogotowiu. Długie włócznie błyszczały ostrzami w łodziach, posuwających się cicho i spieszenie po rzece, pod wpływem energicznych uderzeń wiosłami.

Nie rozbrzmiewały już bębny, ucichł dźwięk rogu, trąbiącego pobudkę. Kawiri bowiem chciał podejść zniecka wroga, zawładnąwszy nim, zanim zdoła rozpocząć strzelanie.

Czólno, w którym znajdował się Kawiri, wyprzedziło innych i - porwane przez prąd na zakręcie - znalazło się naprzeciw nieprzyjacielskiego czółna. Stało się to tak szybko, że napastujący wódz zdołał zaledwie zauważyć białą twarz wroga, a już jego ludzie z dzikimi okrzykami i podniesionymi włóczniami, rzucili się na oślep do walki.

W następnej chwili jednakże, skoro Kawiri przyjrzał się załodze swojego przeciwnika, byłby zapewne chętnie oddał wszystkie swoje paciorki i miedziane bransolety, aby móc się znaleźć w swojej rodzinnej wiosce z dala od takich przeciwników. Zaledwie bowiem czółna zbliżyły się do siebie, straszne małpy Akuta powstały warcząc i mrucząc. Długimi, obrośniętymi rękami wrywały włócznie wiosłarzom Kawiriego.

Czarni zostali obezwładnieni strachem, nie pozostawało im jednak nic innego, jak walczyć z tą niesamowitą czeredą. Teraz inne czółna podpłynęły do miejsca walki, lecz gdy siedzący w nich wojownicy spostrzegli, z kim mają do czynienia, jeśli czym prędzej zawracać, oddalając się z wielkim pośpiechem. Jedno tylko nie zdążyło zemknąć, Tarzan szepnął słów parę Akutowi i Sziecie i zanim wojownicy zdołali się opamiętać, wielka pantera rzuciła się na nich z przerażającym rykiem, z drugiej zaś strony wskoczyła do ich czółna olbrzymia małpa.

W jednym końcu łodzi pantera siała straszliwe spustoszenie swymi potężnymi pazurami i długimi, ostrymi kłami, podczas gdy w drugim końcu Akut zatapiał swoje długie, żółte siekacze w karki Murzynów, przewracając ich bez ceremonii silnymi uderzeniami swej kosmatej ręki.

Kawiri tak był zajęty walką z demonami, które wtargnęły do jego łodzi, że nie mógł dać żadnej pomocy swoim wojownikom z sąsiedniego czółna. Jakiś olbrzymi, biały diabeł wytrącił mu włócznię z ręki tak, jak gdyby on, wódz plemienia, był tylko nowo narodzonego dzieckiem. Kosmate potwory siały spustoszenie wśród jego ludzi, a czarny wojownik z pokrewnego mu szczepu walczył wspólnie z nimi.

Kawiri walczył mężnie ze swoim przeciwnikiem, czuł bowiem, że zbliża się dla niego śmierć, chciał zatem drogo sprzedać swoje życie, wszystkie wysiłki jednakże okazały się daremne, wkrótce też został rzucony na dno czółna przez białego olbrzymia. Zakręciło mu się w głowie, w oczach mu się zaćmiło, wielki ból rozpierał mu piersi, wreszcie przytomność opuściła go zupełnie.

Gdy otworzył znowu oczy, przekonał się ku swemu zdziwieniu, że nie umarł jeszcze.

Leżał, mocno skrępowany, na dnie swego własnego czółna, wielka pantera, przykucnięta u steru, przyglądała mu się bacznie.

Kawiri zadrżał i przymknął oczy, oczekując, czy drapieżne zwierzę rzuci się na niego, kładąc kres

jego życiu.

Po chwili, nie czując kłów, zatopionych w swoim ciele, ani dotknięcia drapieżnych pazurów, spróbował znowu otworzyć oczy. Około pantery klęczał biały olbrzym, który to pokonał go w walce.

Człowiek ów trzymał w ręku wiosło, za nim zaś Kawiri ujrzał kilku swoich wojowników, zawzięcie wiosłujących. Za nimi siedziało kilka kosmatych małp.

Tarzan - widząc - że wódz odzyskał przytomność, zwrócił się do niego:

- Tvoi ludzie mówią mi, żeś jest wodzem liczego plemienia i że zwiesz się Kawiri - rzekł.

- Tak - odparł czarny.

- Dlaczegoś mnie napadł? Przynosiłem ci pokój.

- Inny biały człowiek również „przynosił pokój” trzy księżycy* temu - odpowiedział Kawiri - gdyśmy zaś przynieśli mu w darze kozę, kosz owoców i mleko, kazał celować do nas ze swoich strzelb, wielu z moich ludzi zostało zabitych, on zaś poszedł dalej w swoją drogę, uprowadzając ze sobą wielu z naszych młodzieńców i wiele dziewcząt.

- Ja nie jestem podobny do tamtego białego - odparł Tarzan. - Nie byłbym wam wyrządził nic złego, gdybyście się na mnie nie rzucili. Powiedzcie mi, jak wyglądał ten niedobry biały? Ja właśnie szukam pewnego człowieka, który mnie skrzywdził. Może być, iż będzie to on właśnie.

- Człowiek ów miał złą obrośniętą twarz, długą, czarną brodą i był bardzo, ale to bardzo niedobry.

- Czy było z nim małe białoskóre dziecko? - zagadnął Tarzan, powstrzymując bicie własnego serca.

- Nie, bwano - objaśnił Kawiri - nie było w orszaku tego człowieka białego dziecka - było podobno z drugą bandą.

- Z inną karawaną?! - zawołał Tarzan. - Z jaką bandą?

- Z bandą, za którą właśnie ów niedobry biały puścił się w pogoń. Był tam podobno biały człowiek, biała niewiasta i dziecko z sześcioma Murzynami z Mosuli. Przeszli oni przez rzekę na trzy dni przed niedobrym białym. Zdaje się, że uciekli oni od niego.

- Biały człowiek, kobieta i dziecko! - Tarzan był zbity z tropu. Dziecko, to nikt inny, jak jego mały Jack; kimże jednak mogła być owa kobieta, kim ów biały mężczyzna? Czyż było to możliwym, aby jeden z współników Rokowa spiskował przeciw niemu z kobietą, która towarzyszyła Rokowowi, aby wykraść od niego malca?

Jeżeli tak było, postanowili oni z pewnością wrócić z dzieckiem w cywilizowane kraje i tam zażądają nagrody lub będą trzymali małego więźnia, spodziewając się zań wykupu.

Teraz jednak, skoro Rokow wpędził ich swą pogonią w głąb Afryki, dogoni ich z pewnością albo - co jeszcze prawdopodobniejsze - wpadną oni w ręce ludożerców znad brzegów Ugambi, w ręce których Rokow zamierzał wydać dziecko.

Podczas gdy rozmawiał z Kawirim, czołno zbliżało się do rodzinnej wioski dzikiego wodza. Reszta wojowników Kawiriego, w trzech pozostałych czołnach, płynących obok siebie, rzuciła pełne grozy spojrzenia na strasznych pasażerów. Trzy spośród małp Akuta zostały zabite w porażce, pozostało jednakże jeszcze osiem wraz z Akutem, oprócz nich była jeszcze Szita - pantera, Mugambi i Tarzan.

Wojownicy Kawiriego nie widzieli dotychczas tak okropnej załogi. Spodziewali się, że lada chwila zostaną napadnięci i zamordowani przez owe drapieżne zwierzęta, w samej rzeczy trzeba było wielkich wysiłków ze strony Tarzana, Akuta i Mugambiego, aby powstrzymać kosmatych

towarzyszy i Szitę od spożycia jako smaczných kasków lśniących ciał Murzynów.

W obozie Kawiriego Tarzan zatrzymał się, aby spożyć posiłek, przygotowany przez czarnych, i wyjednać od wodza dwunastu ludzi do wiosłowania czółnem.

Kawiri skwapliwie zabrał się do wykonywania rozkazów białego, chcąc przyśpieszyć jego wyjazd, było jednakże łatwiej obiecać, niż dostarczyć ludzi, skoro bowiem wojownicy dowiedzieli się, o co idzie, zemknęli do dżungli, tak że w wiosce pozostał sam Kawiri.

Tarzan z trudnością powstrzymał śmiech.

- Nie palą się do towarzyszenia nam widocznie - powiedział. - Poczekaj tu jedną chwilkę, Kawiri, zobaczysz, jak się tu zaraz zbiorą wszyscy twoi ludzie.

Człowiek-małpa powstał i - zwołując swoją czeredę - rozkazał, by Mugambi pozostał przy Kawirim, po czym zniknął w dżungli, a za nim Szita i wszystkie małpy.

Przez pół godziny cisza wielkich lasów przerywana była tylko zwykłymi odgłosami życia w dżungli. Kawiri i Mugambi siedzieli w ogrodzonej wiosce, czekając cierpliwie.

Wtem z wielkiej dali nadleciał okropny odgłos. Mugambi rozpoznał straszliwe hasło człowieka-małpy. W tej chwili z kilku punktów rozbrzmiały podobne okrzyki i nawoływania, zaznaczone od czasu do czasu tryumfalnymi wyzwaniem krwiożerczej pantery.

ROZDZIAŁ VII

ZDRADZONY

Dwaj dzicy, Kawiri i Mugambi, zamienili niespokojne spojrzenia.

- Co to jest? - zapytał towarzysza Kawiri z trwogą w głosie.

- To bwana Tarzan i jego drużyna - objaśnił Mugambi. - Nie wiem, co tam się dzieje, przypuszczam, że może pożerają oni twoich ludzi, którzy uciekli.

Kawiri wstrząsnął się cały i wybałuszył oczy w stronę dżungli, łyskając białkami.

Coraz wyraźniej słychać było ryk i wycie, zmieszane z krzykami kobiet, dzieci i mężczyzn. Wreszcie straszliwy ów gwar zdawał się już rozlegać w obrębie wioski. Kawiri powstał, chcąc uciekać, lecz Mugambi schwycił go i przytrzymał, gdyż taki był rozkaz Tarzana.

Chwilę później gromada wystraszonych czarnych wybiegła z dżungli, szukając schronienia w swoich lepiankach. Pędzili, niby spłoszone owce, a za nimi ukazał się Tarzan z Szitą i straszliwe małpy Akuta.

Tarzan, stanąwszy przed Kawirim, zwrócił się do niego z tym samym spokojnym uśmiechem na ustach.

- Twoi ludzie powrócili, mój bracie - rzekł - teraz możesz wybrać tych, którzy mi będą towarzyszyć i kierować moim czółnem.

Kawiri szybko wybrał dwunastu wojowników dla towarzyszenia Tarzanowi.

Nieszczęśnicy nieomalże zbieleli ze strachu na myśl o tak bliskim obcowaniu z panterą i z małpami w ciasnym obrębie czółna, lecz skoro Kawiri przedłożył im, iż nie było na to rady, gdyż inaczej bwana Tarzan i jego groźna drużyna będą ich ścigać i zamordują ich niemiłosiernie, udali się przygnębieni nad brzeg rzeki i zasiedli w czółnie.

Wódz ich, Kawiri, doznał uczucia ulgi, skoro cała gromada zniknęła mu z oczu na zakręcie rzeki.

Przez trzy dni to osobliwe towarzystwo zagłębiało się coraz dalej w dzikie krainy, leżące po obu stronach rzeki Ugambi, dotychczas jeszcze nie zbadanej. Trzech spośród dwunastu wojowników, zemknęło z łodzi, lecz ponieważ do tego czasu małpy nauczyły się wiosłowania, Tarzan nie odczuł wcale tej straty.

Idąc pieszo wzdłuż wybrzeża byłby odbył drogę o wiele prędzej, uważał jednak, że łatwiej mu będzie utrzymać porządek wśród swej dzikiej załogi, trzymając ją w czółnie.

Dwa razy na dobę lądowali, aby upolować dla siebie pożywienie, nocowali zaś zwykle na wybrzeżu lub na jednej z licznych wysepek, którymi była zasiana rzeka.

Dzicy uciekali przed nimi spłoszeni, tak że zastawali tylko opustoszałe wioski na swojej drodze. Tarzan pragnął wejść w porozumienie z czarnymi, zamieszkującymi wybrzeże rzeki, nie udawało mu się to jednak wcale.

Wreszcie postanowił sam puścić się na wędrówkę lądem, zostawiając całą gromadę w czółnie. Poleciał im płynąć wciąż naprzód, miał bowiem zamiar spotkać się z nimi znowu.

Mugambiego naznaczył wodzem załogi, przekazując Akutowi słuchać we wszystkim czarnego sprzymierzeńca.

- Spotkam się z wami za dni kilka - zapewnił ich. - Teraz wyprzedzę was trochę, aby zasięgnąć wiadomości o złym białym człowieku, którego szukam.

Na następnym postoju Tarzan zagłębił się w dżunglę i wkrótce zniknął sprzed oczu załozde.

Pierwsze kilka wiosok, przez które przechodził, było pustych, widocznie doszła tu już wieść o nim i jego straszliwej czeredzie i mieszkańcy woleli się schronić zawczasu w bezpieczne miejsce, nad wieczorem jednakże doszedł do niewielkiej osady, złożonej z kilkunastu lepianek i ogrodzonej drewnianym ostrokołem.

Kobiety przygotowywały wieczerzę w chwili, gdy Tarzan zawisł na wielkim drzewie, tuż nad palisadą, śledząc uważnie, co się działo w jej obrębie.

Człowiek-małpa nie wiedział sam, w jaki sposób zawrzeć znajomość z tymi ludźmi, nie trwożąc ich, a zarazem nie pobudzając ich gwałtownej skłonności do walki. Nie miał obecnie ochoty do żadnych utarczek, był bowiem jedynie przejęty ważnością swego przedsięwzięcia.

Wreszcie obmyślił plan działania i, widząc, że gęste liście drzewa zasłaniają go zupełnie przed okiem ludzkim, wydał kilka pomruków, naśladując do złudzenia panterę. Wszystkie oczy natychmiast spojrzwały w stronę, skąd dochodziły ryki.

Ściemniło się, dzicy więc nie mogli przebić wzrokiem liściastej zasłony, spoza której rozlegały się niepokojące odgłosy. Skoro człowiek-małpa przekonał się, że zwrócił ich uwagę, raz jeszcze wydał głośny ryk, podobny do ryku pantery, tropiącej zwierzynę, i zeskoczywszy z drzewa, pomknął z szybkością jelenia w stronę bramy wioski.

Tu zaczął walić we wrota, wołając do mieszkańców w ich rodzimym narzeczu, że przybywa jako przyjaciel, żądny pożywienia i noclegu.

Tarzan znał dobrze charakter czarnych ludzi. Wiedział, że mruczenie i ryki Szity wprawiają ich w niepokój i że zjawienie się jego u wrót ostrokołu wzmoże jeszcze ich trwogę.

Nie zdziwił się, gdy jego wezwanie pozostało bez odpowiedzi, dzicy bowiem lękają się każdego głosu, dochodzącego ich w nocy spoza obrębu ich ostrokołów, przypuszczając, że to odzywa się diabeł lub inny niebezpieczny duch.

- Wpuśćcie mnie, przyjaciele! - wołał Tarzan. - Jestem białym wodzem, ścigającym innego białego, niedobrego człowieka, który tędy przeszedł kilka dni temu. Ścigam go by mu wymierzyć karę za zbrodnie, których się dopuścił wobec mnie i was.

- Jeśli wątpicie o mej przyjaźni, dowiodę wam jej, idę do drzewa, rosnącego z tamtej strony wioski i wypędzę do dżungli Szitę, zanim zjawi się pośród was. Jeśli mnie nie wpuścicie, jako waszego przyjaciela, pozwolę Szicie wskoczyć do was i pożreć was wszystkich.

Przez chwilę było milczenie, wreszcie głos starca zabrzmiał wśród ciszy spoczywającej wioski.

- Jeśliś naprawdę białym człowiekiem i przyjacielem wpuścimy cię, pierwszej jednak musisz wypędzić Szitę.

- Dobrze - odparł Tarzan. - Posłuchajcie tylko, jak Szita będzie uciekała przede mną.

Człowiek-małpa zawrócił spiesznie w stronę drzewa, tym razem z wielkim szelestem rozsuwał liściaste gałęzie, rycząc jednocześnie w przerażający sposób, tak aby słuchacze sądzili, iż Szita znajduje się tam jeszcze.

Wreszcie ją potrząsać gwałtownie drzewem, krzycząc na panterę, aby czym prędzej uciekała, inaczej bowiem spotka ją śmierć niechybna, przerywał swoją mowę groźnymi pomrukami i rykiem rozjuszonego zwierza.

Na koniec wpadł w dżunglę i przebiegł tam przestrzeń kilkudziesięciu kroków, naśladując ciągle ryk pantery, słabnący w miarę, gdy się oddalał od wioski. W parę minut później wrócił pod wrota wioski, przywołując znowu mieszkańców.

- Wypędziłem Szitę - rzekł - teraz kolej na was dotrzymać przyrzeczenia.

Przez chwilę słyhać było ożywioną rozprawę, wreszcie sześciu wojowników uchyliło nieco wrota, wyglądając z obawą na przybysza. Nie nabrali wielkiego zaufania, przemówił uspokajająco, zapewniając ich o swoich przyjaznych uczuciach, otworzyli wrota, wpuszczając go do wnętrza.

Skoro wrota zamknęły się znowu, dzicy nabrali pewności siebie i Tarzan, idąc główną ulicą do lepianki wodza plemienia, otoczony był gromadą ciekawych mężczyzn, kobiet i dzieci.

Dowiedział się od wodza, że Rokow przechodził tędy przed tygodniem, że z czoła wyrastały mu wielkie rogi i że towarzyszyło mu tysiąc diabłów. Później wódz opowiadał, że Rokow zatrzymał się z nimi cały miesiąc.

Chociaż żadne z tych opowiadań nie zgadzało się ze słowami Kawiriego, twierdzącego, że Rosjanin zaledwie trzy dni temu opuścił jego wioskę i że rozporządzał szczupłą gromadką ludzi. Tarzan niewiele sobie robił z tych widocznych przeciwieństw, będąc oswojonym z dziwnym funkcjonowaniem mózgu u dzikich.

Co go najwięcej obeszło to fakt, że znajdował się teraz na tropie wroga, był teraz pewien, że nie zdoła on mu już umknąć.

Po kilkugodzinnym badaniu i wypytywaniu, człowiek-małpa dowiedział się, że inna grupa podróżnych przeszła tędy na kilka dni przed Rokowem, grupa ta składała się z białego mężczyzny, białej kobiety i maleńkiego chłopczyka oraz z sześciu czarnych Mossulczyków.

Tarzan wytłumaczył wodzowi, że drużyna jego jedzie za nim czółnem i że powinna doznać u niego dobrego przyjęcia, gdyż Mugambi nie pozwoli małpom ani panterze na żadne wybryki, o ile wódz nakaże swoim ludziom traktować dobrze gości.

- A teraz - zakończył - położę się pod tym drzewem i usnę. Bardzo jestem zmęczony, nie pozwól, aby mi kto przeszkodził w tym wypoczynku.

Wódz proponował mu, aby się przespał w lepiance. Tarzan jednakże, znając z doświadczenia mieszkania tubylców, wolał pozostać na otwartym powietrzu, wodzowi zaś wytłumaczył, iż będzie lepiej, gdy pozostanie na drzewie, gdyż w ten sposób prędzej posłyszysz Szitę, na wypadek, gdyby chciała do wioski powrócić, wódz więc z radością pozostawił Tarzana pod drzewem.

Tarzan przekonał się nieraz, jak wielki mir zyskiwał u dzikich, wpajając w nich przekonanie o swoich nadprzyrodzonych siłach. Uważał więc, że nagle zniknięcie im sprzed oczu utrwalił trwogę, goszczących go wojowników, przed jego potęgą i dlatego, zaledwie cisza snu zapanowała w wiosce, zerwał się na nogi i wskakując na drzewo, pod którym leżał, zniknął wkrótce w tajemniczych mrokach nocy.

Przez noc całą człowiek-małpa odbywał dalszą wędrówkę, przeskakując z drzewa na drzewo, z taką pewnością siebie i tak szybko, że ani ja, ani wy mili czytelnicy, nie przechadzacie się z równą swobodą po szerokich ulicach naszych ludnych, cywilizowanych miast.

O świcie zatrzymał się, aby się pożywić i - przespawszy się kilka godzin - ruszył w dalszą pogoń około południa.

Dwa razy natrafił na osady dzikich i chociaż niełatwo było mu do nich dostąpić, zdołał za każdym razem uspokoić ich obawę i uśmierzyć wrogie zamiary, dowiedział się przy tym od nich, że był na właściwym tropie Rokowa.

Dwa dni później, idąc ciągle w górę rzeki Ugambi, doszedł do ludnej wioski. Wódz plemienia, wojownik o brzydkim wyrazie twarzy, z opiłowanymi zębami, zdradzającymi ludożercę, przyjął go z pozornymi oznakami przyjaźni.

Wódz objaśnił go, że biały brodacz opuścił jego wioskę poprzedniego ranka, co zaś do innej, mniejszej karawany, o którą dopytywał się Tarzan, to takiej nie było tu wcale.

Tarzan nie odniósł dobrego wrażenia z rozmowy z dzikiem, który pomimo pozornej uprzejmości, zdawał się okazywać pewną pogardę dla białego człowieka, na wpół nagiego i przychodzącego bez orszaku, z pustymi rękami, ponieważ jednak potrzebował wypoczynku i posiłku, tu zaś mógł łatwiej i prędzej zaspokoić swe potrzeby niż w dżungli, rozłożył się tedy w jednej z lepianek i wkrótce usnął kamiennym snem.

Wódz tymczasem, przekonawszy się, że przybysz śpi smacznie, przywołał do siebie dwóch swoich wojowników, którym szepnął kilka wskazówek na ucho. Chwilę później smukli czarni ludzie jęli biec szybko wzdłuż brzegu rzeki w kierunku wschodnim.

Wódz nakazał zachowywanie zupełnej ciszy w bliskości lepianki śpiącego, zabronił śpiewów, krzyków i przypatrywania się gościowi, tak był troskliwy, aby mu nie przerwano spoczynku.

Trzy godziny potem kilka czółen zjawilo się na rzece Ugambi. Czarni wioślarze pędzili szybko w stronę wioski. Na wybrzeżu stał wódz z włócznią wzniesioną nad głową, jak gdyby dając znak siedzącym w łodziach ludziom.

Chciał on tą postawą wyrazić, że cudzoziemiec, przybyły do jego osady, spał dotychczas spokojnie.

W jednym z czółen siedzieli dwaj czarni gońcy, wysłani przez wodza, hasło to zostało umówione między nimi, a wodzem, gdy się wybierali w drogę.

Wkrótce łodzie podjechały do zarośniętego wybrzeża, wyszli z nich czarni wojownicy, z nimi zaś sześciu białych.

Ci ostatni mieli wygląd wcale niezachęcający, lecz najnieprzyjemniejsze wrażenie czyniła postać brodatego człowieka o ponurej twarzy.

- Gdzie jest biały człowiek, o którego obecności donieśli nam twoi ludzie? - zagadnął brodacz.

- Tędy bwano - odparł dziki. - Nakazałem ciszę wszędzie, nie chcąc, aby się obudził przed twoim przyjazdem. Nie wiem, czy on cię szuka dlatego, aby cię skrzywdzić, ale to wiem, że wypytywał mnie starannie o ciebie, powierzchność zaś jego wydaje mi się być podobną do tego, któregoś zostawił na wyspie w dżungli. Gdybyś mi nie opowiadał o nim, nie byłbym go poznał i byłby mógł cię spotkać i zamordować. Jeśli okaże się on przyjacielem, nic się złego nie stało, bwano, lecz jeśli to wróg, pragnąłbym mieć strzelbę i naboje.

- Otrzymasz strzelbę i naboje - odparł biały - czy się okaże przyjacielem, czy wrogiem, bylebyś trzymał ze mną.

- Będę trzymał twoją stronę, bwano - zapewnił wódz - a teraz pójdź ze mną, zobaczyć cudzoziemca, który śpi.

To mówiąc, zaprowadził go do lepianki, w cieniu której Tarzan, nieświadomy niczego, spał jak zabity.

Za wodzem i za białym brodaczem szło pięciu białych wraz z czarnymi wojownikami.

Podniesione ręce wodza i białego naczelnika nakazywały tamtym milczenie.

Skoro się zbliżyli na palcach do lepianki, zjadliwy uśmiech ukazał się na twarzy brodacza, gdy spojrzął na śpiącego białego olbrzyma.

Wódz spojrzął na niego pytająco. Rokow odpowiedział twierdząco i, zwracając się do swoich ludzi, rozkazał im na migi, aby związali Tarzana.

Zanim człowiek-małpa zdołał się opamiętać, został pochwycony przez dwunastu czarnych, którzy go skrępowali tak szybko, że nie zdołał wykonać ani jednego ruchu w swej obronie.

Rzucili go następnie na ziemię, wówczas - rozejrzawszy się dookoła - rozpoznał złośliwe oblicze Mikołaja Rokowa.

Usta Rosjanina wykrzywił grymas szyderstwa. Zbliżył się do Tarzana.

- Durniu! - zawołał. - Czy doświadczenie nie nauczyło cię jeszcze schodzić z drogi Mikołajowi Rokowowi?

Tu kopnął bezwładnego człowieka w twarz.

- To na przywitanie - rzekł.

- Dziś w nocy, zanim moi przyjaciele Etiopowie spożyją cię na wieczerzę, opowiem ci, co spotkało już twoją żonę i dziecko i jakie żywień wobec nich zamiary.

ROZDZIAŁ VIII

TANIEC ŚMIERCI

Poprzez bujną, gęstą roślinność dżungli, w ciemnościach nocy, wielkie smukłe stworzenie śpieszyło szybko przed siebie, torując sobie drogę wśród splątanych krzewów i zarośli. Tylko żółtozielone płomyki pary skośnych ślepi migotały od czasu do czasu w blasku podzwrotnikowego miesiąca, który niekiedy przebijał swymi promieniami ruchomy, liściasty dach, spleciony z gałęzi drzew-olbrzymów.

Niekiedy zwierzę zatrzymywało się, węsząc uparcie naokoło siebie. Niekiedy śmiałym rzutem wskakiwało na drzewo, szukając czegoś pośród gałęzi. Subtelnym powonieniem rozróżniało ślady wielu mieszkańców dżungli, którzy by stanowili smaczny dla niego kęsek, rzecz dziwna jednak, zwierzę to, niepomne głodu, wędrowało noc całą bez przerwy, zatrzymując się tylko o świcie, aby zdobyć łup, który natychmiast pożarło.

O zmroku podeszło do ostrokołu, okalającego znaczniejszą osadę czarnych, obeszło go ostrożnie, obwąchując wszędzie, wreszcie wskoczyło na ogrodzenie, znikając w ciemnej przestrzeni pomiędzy płotem a lepianką, stojącą tuż pod ostrokołem.

Na ulicy wioski kobiety rozpałały ogniska i znosiły garnki z wodą, albowiem wielka uroczystość miała być obchodzona dzisiejszej nocy. Około grubego pala, wbitego w ziemię, kilku czarnych wojowników, umalowanych w białe, niebieskie i żółte pasy, rozmawiało pomiędzy sobą.

Wielkie kolorowe plamy widniały na ich ustach, na brwiach i pod oczami, na piersiach i na brzuchach, głowy zaś mieli przystrojone barwnymi piórami.

Tak to wioska przygotowywała się do uroczystości, w lepiance zaś, pod ścianą, leżała skrępowana ofiara, przeznaczona na ucztę ludożerców, oczekując na śmierć i to jaką śmierć!

Małpi Tarzan, wyprężając mięśnie, próbował uwolnić się z więzów, te jednak, na rozkaz Rosjanina, zostały tak ściśnięte, że nawet potężna siła olbrzyma nic im poradzić nie mogła.

Oto szła ku niemu śmierć.

Nieraz już zaglądał w oczy tej wielkiej, straszliwej łowczyni ludzkiego życia, a spotykał ją zawsze z uśmiechem.

I dziś byłby się zapewne uśmiechał, gdyby nie trwoga i niepokój o los najdroższych mu istot.

- Janina - myślał - nigdy się nie dowie, w jaki sposób życie zakończył. Dzięki Bogu, znajduje się ona w bezpieczeństwie, w wygodach, otoczona zacnymi przyjaciółmi, którzy będą jej pociechą w strapieniu.

Ale chłopiec!...

Tarzan zadrżał na myśl o nim. Jego synek. I oto on, potężny władca dżungli, Tarzan, król zwierząt, on, który jedynie mógł wydobyć dziecko ze szpon Rokowa, dał się schwytać jak bezradna istota.

Umrze teraz za parę godzin, a z jego śmiercią, zgaśnie ostatnia nadzieja ratunku dla syna.

Rokow przychodził do niego kilka razy, lecz mimo potoku obelg i okrutnych pogroźek, nie zdołał wydobyć słowa skargi lub prośby z ust białego olbrzyma.

Zostawił go tedy w spokoju, radując się zjadliwie na myśl, że w ostatniej chwili, zanim włócznie wojowników, zakłują na śmierć człowieka-małpę, powie mu, co się dzieje z Janiną.

Zmrok zapadł w osadzie i Tarzan słyszał przygotowania, czynione na nocną uroczystość, której miał być bohaterem. Wyobrażał już sobie w myśli taniec śmierci. Nieraz już oglądał podobny widok.

Nie przerażała go męka takiej śmierci, polegającej na tym, że tańczący naokoło niego wojownicy, mieli go umiejętnie, zakłuwac włóczniami, nie pozbawiając jednakże przytomności. Był on przyzwyczajony do znoszenia bólu fizycznego, do widoku krwi i okrutnych morderstw, jednakże przywiązanie do życia tkwiło w nim wielką mocą i dopóki jeszcze żył, nie tracił nadziei. Niechby tylko zaniechali czujności, bodaj na jedną chwilę, wiedział, że jego wrodzony spryt i potężne mięśnie znajdą jakiś sposób ratunku.

Podczas gdy leżał, rozmyślając uparcie nad sposobami ocalenia się, jego nozdrza, wrażliwe na wszelkie zapachy, zaleciała woń dobrze mu znana. Wprawne ucho rozróżniło niebawem jakieś odgłosy poza zewnętrzną ścianą lepianki.

Chwilę potem posłyszał kroki aksamitnych łap, podchodzących do ściany, żerdzie, stanowiące ścianę chaty, rozsunęły się nagle, przez otwór zaś wskoczyło wielkie zwierzę i podskoczyło ku niemu, tuląc swój chłodny pysk do szyi Tarzana.

Była to Szita - pantera.

Zwierzę jęło obwąchiwać leżącego człowieka, piszcząc z lekka. Rozmowa między nim a Tarzanem była ograniczona, ten ostatni nie był pewien, czy Szita zrozumie to wszystko, co jej się starał wytłumaczyć. Widziała ona, oczywiście, że był on skrupowany i bezradny, ale czy pojęła, że mogła mu się dziać krzywda, tego Tarzan nie mógł odgadnąć.

Co sprowadziło tutaj Szitę? Pojawienie się jej mogło mu być wielką pomocą, lecz gdy Tarzan starał się, by Szita przegryzła krępujące go więzy, wielkie zwierzę nie domyśliło się, czego od niej żąda, liżąc w zamian tego ręce i ramiona więźnia.

Wtem ktoś zbliżył się do lepianki. Szita wydała głuchy pomruk, chroniąc się w mroczną głębię chaty. Gość nie słyszał widocznie tego pomruku. Był to smukły, wysoki, czarny wojownik.

Podszedł do Tarzana i ukłął go włócznią, z ust człowieka-małpy wyszedł dziki, niesamowity odgłos, w odpowiedzi na który z ciemnego kąta chaty wybiegła szybko, zwinnie i niespodzianie - śmierć. Na pierś dzikiego człowieka wskoczyło ogromne zwierzę, zatapiając ostrza pazurów w czarne ciało a wielkie żółte kły w żylastą szyję.

Przerażający okrzyk bólu i trwogi, wydany przez czarnego człowieka, zmieszał się z tryumfalnym okrzykiem pantery nad trupem ofiary, następnie zapadło wielkie milczenie, przerywane tylko niekiedy trzeszczeniem kości ludzkich w potężnych szczękach zwierzęcia.

Hałas spowodował raptowną ciszę w osadzie, po czym słychać było szmer kilkunastu naradzających się między sobą głosów.

Tarzan i Szita usłyszeli zbliżające się kroki i ku zdumieniu pierwszego, wielki kot zerwał się sponad ciała wojownika i wyślizgnął się z chaty przez wywalony przez siebie otwór w ścianie.

Człowiek-małpa usłyszał wyraźnie, jak Szita przeskakuje przez ostrokół, potem zaś zaległa najzupełniejsza cisza, przerywana tylko odgłosami kroków od strony wioski.

Nie miał on wiele nadziei, aby Szita powróciła, gdyby zamierzała obronić go, byłaby pozostała

przy jego boku i czekała na przyjście wrogów.

Tarzan znał osobliwe działanie komórek mózgowych wielkich drapieżników dżungli, wiedział, że mogą być nieustraszone wobec wroga, a czasem najmniejsza rzecz, drażniąca ich nerwy, może uczynić je tchórzliwymi. Sądził, iż to właśnie zdarzyło się z Szita, która - spłoszywszy się - uciekła w dżunglę.

- A zresztą - myślał - co mi z tego, gdyby była ona zamordowała kilku czarnych, co innego, gdyby rozpętała moje więzy! Wówczas byłbym sobie dał radę, widocznie jednak nie była w stanie pojąć, czego od niej chciałem.

Dzicy tymczasem stali niepewni, z zapalonymi łuczywami przed chatą, krzyk ich towarzysza, zmieszany z rykiem pantery, tak ich wystraszył, że żaden z nich nie odważył się wejść do środka, w końcu jeden rzucił do wnętrza łuczywo i wówczas ujrzeli białego więźnia, skrepowanego jak przedtem oraz martwą i rozszarpaną straszliwie postać wojownika.

Na ten widok dzicy rzucili się do ucieczki, krzycząc bezładnie i roztrącając po drodze wszystkich.

Przez godzinę Tarzan słyszał wzburzone głosy, najwidoczniej czarni starali się dodać sobie odwagi, w końcu rozbrzmiał przeraźliwy wrzask, wydawany zwykle przez wojowników dla nabrania otuchy w chwili walki.

Zamiast dzikich, do chaty weszło dwóch białych ludzi z pochodniami i strzelbami. Tarzan nie zdziwił się, nie rozpoznając w żadnym z nich Rokowa, mógłby się założyć o zbawienie duszy, że ów wielki tchórz nie zdobędzie się na wejście do chaty.

Gdy tubylcy spostrzegli, że białym nic się nie stało, wtłoczyli się również do chaty, mówiąc między sobą przyciszonym głosem i spoglądając trwożliwie na ciało zabitego druha.

Biali starali się daremnie wydobyć wyjaśnienie od Tarzana, który tylko potrząsał głową, uśmiechając się znacząco i złowrogo.

Wreszcie nadszedł Rokow.

Zbladł, ujrawszy zakrwawionego trupa na ziemi. - Dalejże - zawołał na wodza - zabierzmy się do roboty i skończmy z tym diabłem, zanim będzie miał sposobność rozprawienia się w podobny sposób z którym innym z twoich wojowników!

Po długich ociąganiach się dwaj młodzi wojownicy zdecydowali się wyciągnąć Tarzana z chaty, poza obręb schronienia. Dziki szal radości ogarnął dzikich i jeśli przywiązywać go do pala, umieszczonego pośrodku rozpalonych ognisk.

Wówczas Rokow zdobył się na odwagę i podszedł do obezwładnionej ofiary. Pierwszy, wrywając włócznię z rąk jednego z dzikich, ukłuł olbrzyma w bok, krew wytrysnęła strumieniem, z ust jednakże nie dobył się żaden okrzyk bólu.

Pogardliwy uśmiech na jego twarzy zdawał się podniecać wściekłość Rosjanina. Miotając przekleństwa, skoczył do bezbronny więźnia, policzkując go bez litości i kopiać zawzięcie.

Wreszcie podniósł ciężką włócznię, aby mu przebić serce, a małpi Tarzan uśmiechał się tylko szyderczo.

Zanim Rokow mógł użyć broni, wódz - podskoczywszy do niego - odciągnął od więźnia.

- Stój, biały człowieku! - zawołał. - Jeśli nas pozbawisz tego więźnia i przyjemności tańca śmierci, sam pójdziesz na jego miejsce!

Pogróżka ta poskutkowała, Rokow oddalił się nieco od więźnia, nie przestając mu jednak rzucać obelżywych słów. Obiecywał, że sam spożyje jego serce i opisywał szeroko, jaki los czeka jego

syna.

- Myślisz, że żona twoja jest bezpieczna w Anglii - rzekł Rokow. - Biedny idioto! Jest ona obecnie w rękach człowieka niskiego pochodzenia, z dala od Londynu i od swoich przyjaciół. Nie chciałem ci tego powiedzieć, dopiero później, byłbym ci na wyspę w dżungli przywiózł pewne dowody na potwierdzenie moich słów. A teraz, skoro masz umrzeć najstraszniejszą śmiercią, jaką może spotkać białego człowieka, niechże ci doda goryczy do męki, jaką zaznasz, świadomość losu twojej małżonki.

Taniec rozpoczął się i wrzaski skaczących wojowników zagłuszały mowę Rokowa, dzicy o umalowanych ciałach, których barwy migotały w blasku ognia, stali teraz naokoło pala z bezbronną ofiarą.

Tarzan przypomniał sobie, kiedy to wyratował d'Arnota w podobnych właśnie okolicznościach. A jego kto wyratuje teraz?

Myśl, że te czarne potwory spożyją jego ciało po zamordowaniu, nie sprawiała mu przykrości, był wszakże do takiego widoku przyzwyczajony przez swój długi pobyt w dżungli.

Czyż on sam nie walczył o zdobycie części swego łupu, kiedy to, podczas tańca Dum-Dum, powalił dzikiego Tublata i zasłużył sobie na szacunek małp z Kerczakowego rodu?

Tańczący zacieśniali krąg naokoło niego. Włócznie zaczynały zadawać mu pierwsze bolesne ukłucia.

Teraz nie potrwa to już długo. Człowiek-małpa marzył o prędkim końcu.

Wtem, w oddali, z głębi dzikiej dżungli, rozległ się przenikliwy okrzyk.

Na chwilę dzicy zaniechali tańca i wśród ciszy, z ust związanego białego człowieka, dobył się długi taki sam okrzyk w odpowiedzi, straszniejszy jeszcze - i groźniejszy niż ten, który go wywołał.

Czarni wahali się przez parę minut, wreszcie na zachętę Rokowa i wodza podskoczyli znowu, by skończyć taniec, zanim jednak ostrze włóczni dotknęło ciała ofiary, stworzenie, siejące zemstę błyskiem zielonych ślepi, wyłoniło się nagle z chaty, w której był uwięziony przedtem Tarzan, Szita - pantera, stanęła znowu przy swoim panu.

Przez chwilę - tak biali ludzie, jak i czarni - stali oniemiały ze strachu. Oczy ich były wpatrzone w kły straszego kota.

Tylko małpi Tarzan zobaczył, co jeszcze wychodziło z ciemnego wnętrza chaty.

ROZDZIAŁ IX

RYCERSKOŚĆ CZY PODSTĘP

Z okna swojej kabiny na „Kincaidzie” Janina Clayton widziała, jak jej mąż został wywieziony na wyspę w dżungli, po czym statek ruszył w dalszą drogę.

Przez kilka dni nie widziała nikogo więcej prócz Swena Anderssena, ponurego i odrażającego kucharza załogi. Spróbowała zagadnąć go o nazwę wyspy na jakiej pozostał jej mąż.

- Widzi mi się, że ino patrzeć burzy - odpowiedział Szwed i było to wszystko, co z niego mogła wydobyć.

W końcu przyszła do wniosku, że nie umiał on nic innego powiedzieć po angielsku i zaniechała innych pytań, nigdy jednak nie omieszkała przywitać go uprzejmie lub podziękować mu za wstrętny posiłek, jaki jej przynosił.

W trzy dni od pozostawienia Tarzana na wyspie, „Kincaid” zarzucił kotwicę przy ujściu wielkiej rzeki i Rokow zjawił się w kajucie lady Greystoke.

- Przyjechaliśmy, moja droga - rzekł z odrażającym uśmiechem. - Przyszedłem, aby ofiarować pani bezpieczeństwo, wolność i wygody. Serce moje zmiękło wobec cierpienia pani i pragnąlbym, wedle możliwości, naprawić uczynioną jej krzywdę. Mąż pani był dzikim zwierzęciem, pani to wie najlepiej, wszak poznała go pani nagiego, w towarzystwie współplemieńców w jego rodzinnej dżungli. Ja zaś jestem dżentelmenem nie tylko z urodzenia, ale z wykwińskiego wychowania, jakie memu pochodzeniu przystoi. Tobie, luba Janino, ofiarowuję miłość kulturalnego człowieka i obcowanie z istotą o wyższym poziomie umysłowym, brak którego to obcowania, musiałaś zapewne odczuwać boleśnie w towarzystwie tej biednej małpy, którą przez twój wybryk dziewczęcy poślubiłaś tak nieopatrznie. Kocham cię, Janino! Powiedz tylko słówko, a cierpieniom twoim położę kres, nawet dziecko twoje zostanie ci zwrócone bez szwanku.

Pod drzwiami Sven Anderssen przystanął z obiadem, który miał podać lady Greystoke.

Małeńka główka, osadzona na żylastej szyi, przekręcona na bok, przymrużone oczki, odstające uszy, ba nawet żółte nastroszone wąsy, dawały jego osobie wyraz przebiegłej ciekawości.

Gdy Rokow zakończył swą przemowę, wyczekując pomyślnej odpowiedzi, zdumienie Janiny Clayton ustąpiło miejsca rzetelnemu obrzydzeniu. Wzdrygnęła się, cała przejęta wstrętem.

- Nie dziwiłabym się panie Rokow - rzekła - gdybyś mnie pan chciał przemocą zmusić do poddania się jego zachciankom. Nie byłabym jednak przypuszczała, że pan będziesz na tyle zarozumiały, aby myśleć, że ja, żona lorda Greystoke, zechcę dobrowolnie ulec panu. Znałam pana jako łotra, nie wiedziałam jednak, iż jesteś idiotą.

Żrenice Rokowa zmrużyły się ze złości, twarz oblała mu się rumieńcem. Postąpił krok naprzód w stronę młodej kobiety.

- Zobaczymy kto z nas będzie mądrzejszy - syknął - skoro cię nagnę do mej woli, przekonasz się pani, że twój pyszałkowaty, jankesowski upór pozbawi cię wszystkiego, co ci jest drogie, nawet życia twego dziecka! Na prochy świętego Piotra, zaniecham moich planów względem tego berbecia i wykroję mu z piersi serce w pani oczach. Nauczysz się, co znaczy urągać Mikołajowi Rokowowi!

Janina Clayton odsunęła się od niego, spoglądając apatycznie w przestrzeń.

- Na co się zdało panu - rzekła - rozwodzić się nad tym, do czego mściwa natura pana popchnąć go może? Nie wzruszą mnie pańskie pogroźki, ani jego zbrodnie. Dziecko moje nie może jeszcze sądzić za siebie, ja jednak, jako matka, przewiduję, iż gdyby mu dane było wyrosnąć na człowieka, z radością poświęciłby życie dla ocalenia czci swej matki. Pomimo to, że go kocham, nie okupiłabym nigdy jego życia takim kosztem. Gdybym tak postąpiła, przeklinałby on moją pamięć aż do zgonu.

Rokow wpadł w złość widząc, iż nie uda mu się nastraszyć młodej kobiety. Odczuwał względem niej nienawiść, przyszło mu jednak na myśl, że gdyby mógł ją zmusić do przychylenia się jego żądaniu w zamian za życie jej dziecka, czara zemsty zostałaby wypełniona po brzegi.

Podszedł znowu do niej z twarzą roznamiętnioną żądzą i wściekłością. Niby dziki zwierz rzucił się na nią i - chwytając za gardło - powalił ją na ziemię.

W tej samej chwili drzwi kajuty otworzyły się z hałasem. Rokow odskoczył od swej ofiary i - obejrzawszy się - spostrzegł kucharza Svena. W zazwyczaj chytrych oczach Szweda malował się teraz wyraz bezbrzeżnej głupoty. Zaczął pilnie krzątać się około stolika, rozstawiając naczynia z obiadem dla lady Greystoke.

Rosjanin rzucił na niego gniewne spojrzenie.

- Co ty sobie myślisz - zawołał - wchodząc tutaj bez pozwolenia? Wynoś mi się zaraz!

Kucharz spojrzał na Rokowa swymi wodnistymi, niebieskimi oczami, uśmiechając się idiotycznie.

- Widzi mi się, co będzie burza - rzekł, rozkładając znowu naczynia na stoliku.

- Precz mi stąd, durniu jeden! - zawołał Rokow, zbliżając się do Svena.

Anderssen uśmiechał się dalej głupkowato, ale jedna z jego szerokich, czerwonych rąk, chwyciła za rękojeść długiego noża, zwieszającego się mu u pasa.

Rokow zauważył ten ruch i zatrzymał się natychmiast, po czym zwrócił się do Janiny Clayton.

- Daję pani do jutra czas do namysłu nad moją propozycją - rzekł. - O ile pani trwać będzie w swoim uporze, wyślę pod jakim bądź pozorem załogę na wybrzeże, pozostaną tylko na statku: pani, dziecko, Paulwier i ja. Wówczas bez przeszkody będzie mogła pani być obecna przy śmierci swego syna.

Wypowiedział te słowa po francusku, tak aby kucharz nie domyślił się ich strasznego znaczenia. Wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami, unikając wzroku Svena, który przeszkodził jego niecnym zamiarom.

Po wyjściu Rokowa, Sven Anderssen zwrócił się do lady Greystoke. Wyraz bezmyślnej głupoty zniknął z jego twarzy, oczy błyszczały przenikliwie i chytrze.

- On myśli, że ja dureń - rzekł. - To on dureń. Ja umiem po francusku.

Janina Clayton spojrzała na niego zdumiona.

- Zrozumieliście zatem wszystko co mówił?

Anderssen uśmiechnął się.

- Oczywiście, że tak - odpowiedział.

- Usłyszawszy więc o jego zamiarach, przychodźcie mi z pomocą?

- Pani była dla mnie zawsze dobra - wyjaśnił Szwed. - On mnie traktuje jak psa. Niech no pani tylko poczeka, ja panią wyratuję. Byłem już nieraz w tych stronach i znam wybomie zachodnie wybrzeże Afryki.

- Ale jakże możecie mi pomóc, Svenie? - zapytała. - Kiedy oni wszyscy będą przeciwko nam?

- Widzi mi się, co będzie burza - rzekł Sven Anderssen i wyszedł z pokoju.

Rokow już się więcej nie pokazał tego dnia, tylko Sven przyniósł jej wieczorem posiłek.

Próbowała wyciągnąć od niego w rozmowie, jakie miał względem niej zamiary, nie mogła jednak nic wydobyć od niego, prócz zwykłego proroctwa co do pogody. Zdawało się, że pograżył się znowu w zwykły stan odrętwiałej głupoty.

Jednakże, opuszczając pokój, rzucił jej zaledwie dosłyszalnym szeptem: - Proszę się nie rozbierać i zwinąć derki w wałek, przyjdę tu po panią niedługo.

- Moje dziecko? - zapytała. - Ja nie mogę przecież iść stąd bez niego.

- Proszę mnie tylko słuchać - oburknął się Anderssen. - Jak powiedziałem, że pani pomogę, to znaczy, że pomogę, niech mi więc pani fochów nie stroi.

Skoro już wyszedł, Janina Clayton opadła na łóżko, cała pod wrażeniem słów Svena. Co miała począć? Podejrzenia, co do istotnych zamiarów Szweda napływały jej do głowy, czy nie pogorszy sprawy, oddając mu się teraz w ręce?

- Nie - pomyślała.

Nie mogło ją spotkać nic gorszego nad to, czego się mogła spodziewać od Mikołaja Rokowa, chociaż więc powtarzała sobie ciągle, że nie ruszy się z „Kincaidu” bez swojego dziecka, jednakże północ zastała ją ubraną i gotową do drogi. Niedługo potem posłyszała leciuchny szmer pod drzwiami. Otworzywszy je, ujrzała zakapturzoną postać Szweda. Na jednym ręku niósł zawiniątko, zapewne swoje derki, drugą ręką nakazywał jej milczenie.

Przybliżył się do niej.

- Proszę to wziąć - rzekł. - Niech pani się nie odzywa, to jest właśnie dzieciak pani.

Szybko wyrwała kucharzowi z rąk zawiniątko, przytuliła je do stęsknionego serca. Gorące łzy radości potoczyły się po jej policzkach.

- Za mną - rzekł Anderssen - nie mamy czasu do stracenia. Porwał jej kołdry, które już były zwinięte w wałek, biorąc je pod pachę, razem ze swoim pakunkiem, po czym wyprowadził ją na burtę statku, skąd pomógł jej zejść po sznurowej drabince do łodzi, przywiązanej do parowca. Chwilę później, odciawszy sznur, odbił łódź od statku i jął szybko wiosłować, obwiązany chustą wiosłami, w kierunku ujścia rzeki Ugambi.

Anderssen kierował łodzią z wielką pewnością siebie, gdy zaś w pół godziny później ukazał się księżyc, po lewej stronie napotkali niewielki dopływ rzeki Ugambi, w który skręcił Anderssen.

Janina Clayton zastanawiała się, czy opiekun jej znał cel podróży, nie wiedziała wcale, że tegoż właśnie popołudnia został wysłany jako kucharz załogi po zakupy do małej wioski, leżącej właśnie nad tym potokiem, gdzie nabył od mieszkańców potrzebne dla statku zapasy, i że obmyślił sobie z góry cały plan wyprawy.

Pomimo pełni księżyca, powierzchnia małej rzeczki była zupełnie ciemna. Olbrzymie drzewa, rosnące po obu stronach wybrzeża, stykały się ze sobą gałęziami, tworząc wspaniałe arkady. Mech zwieszał się w pięknych festonach z pni drzew, wielkie węże pełzały po najwyższych konarach, opadając po chwili na cichą, tajemniczą wodę.

Od czasu do czasu gładkość tafli wodnej zostawała zmacona pojawieniem się krokodyla lub też

hipopotama, dającego nurka w głąb rzeki.

Z otaczającej rzekę dżungli dobywały się przeraźliwe głosy nocne drapieżnych zwierząt, płaczliwe wycie hieny, chrząkające mruczenie pantery, ponure i groźne ryki lwa. Oprócz tych głosów słyhać było jakieś niesamowite, przerażające krzyki, tym straszniejsze, że nie można było rozeznąć, przez jakiego zwierza są wydawane.

Skulona w głębi łódki lady Greystoke, tuliła dziecko do piersi, przejęta całą niewysłowioną radością. Nie wiedziała, jaki los ją może czekać, cieszyła się chwilą obecną, czując w objęciach swój skarb. Pilno jej było doczekać się świtu, aby jej ukochany malec spojrział na nią swymi mądrymi, czarnymi oczkami. Starła się rozeznąć po ciemku jego rysy, uchylając nieco chustki, w którą był opatulony, widziała jednak tylko niewyraźne, mgliste kształty, musiała się więc zadowolić przytulaniem do serca małej, śpiącej istoty.

Było około trzeciej nad ranem, kiedy Anderssen dopłynął do małej zatoki, nad którą widniała wioska, otoczona kolczastym ogrodzeniem - bomą.

Anderssen z trudem doczekał się odpowiedzi na swoje krzyki,; wreszcie - przywiązawszy łódkę do krzaka - dopomógł lady Greystoke wylądować i udał się z nią, dźwigając pakunki w stronę bomy.

U wrót wioski czekała na nich żona wodza, którego pomoc Anderssen zapewnił sobie, opłacając go z góry. Chciała ich zaprowadzić do szałasów męża, Szwed jednakże oświadczył, że wolą spocząć na powietrzu i rozłożywszy derki dla lady Greystoke, sam przygotował sobie posłanie w pobliżu.

Janina Clayton, tuląc ciągle dziecko do piersi, usnęła twardo, wyczerpana ostatnimi przejściami. Gdy przebudziła się było już jasno.

Naokoło niej stało mnóstwo ciekawych krajowców, wada ta bowiem jest cechą szczególnie mężczyzn w tamtych stronach. Instynktownie młoda matka, przycisnęła mocniej dziecko do siebie, przekonała się jednak wkrótce, że nie żywili oni względem niej żadnych złych zamiarów.

Jeden z nich podał jej banię z mlekiem, brudną i zadymioną, ze śladami zakwaszonego mleka na brzegach, intencja jednak ofiarodawcy wzruszyła ją tak, że twarz jej rozjaśnił jeden z tych czarujących uśmiechów, które uczyniły jej piękność tak sławną w Baltimore i w Londynie.

Trzymała banię w jednej ręce, nie chcąc zaś sprawić Murzynowi przykrości, podniosła ją do ust, nie mogąc pomimo wysiłku przewyciężyć swego wstrętu do nieapetycznego naczynia. Wówczas przybył jej na pomoc Anderssen, który - odebrawszy jej z rąk flaszkę - sam wypił trochę mleka i oddał banię właścicielowi, wręczając mu w nagrodę sznur niebieskich paciorków.

Słońce świeciło jasno i, chociaż dziecko spało jeszcze, Janinie pilno było spojrzeć choć na chwilę na ukochaną buzię. Krajowcy cofnęli się nieco na rozkaz wodza, który teraz rozmawiał z Anderssenem u wejścia do swego szałasów.

Podczas gdy zastanawiała się, czy można uchylić rąbek chustki, nie narażając dziecka na blask słoneczny, posłyszwała, jak kucharz rozprawiał płynnie z Murzynem w afrykańskim narzeczu.

- Cóż to jest za nadzwyczajny typ - pomyślała.

Sądziła, że to pozbawiony wszelkiej inteligencji człowiek, a tu w ciągu dwudziestu czterech godzin przekonała się, że władał on nie tylko angielskim, ale francuskim i nawet, że znał on gwara Murzynów.

Osądziła go chytrym, okrutnym, nie zasługującym na zaufanie. Opierając się jednak na doświadczeniach dnia ubiegłego, musiała przyznać, iż okazał się on zgoła innym. Wydawało się to jej niemożliwe, aby chciał jej służyć przez poczucie rycerskości. Przypuszczała, że miał jakieś ukryte cele, których dotychczas nie wyjawiał.

Zastanawiała ją to, gdy zaś spojrzała na niego, na jego małe, kosę oczy, na odrażające rysy, zadrżała mimo woli, będąc przekonaną, że żadne szlachetniejsze pobudki nie mogły być ukryte pod taką powierzchownością.

Rozmyślając nad tym, posłyszała słabiuchne kwilenie spod chustki, przysłaniającej dziecko.

Maleństwo obudziło się! Teraz będzie mogła narozkoszować się nim do woli.

Szybko ściągnęła chustkę z twarzy dziecka.

Sven nie spuszczał jej przez ten czas z oka. Widział, jak zerwała się na nogi i jak przypatruje się dziecku, z wyrazem grozy w oczach, wreszcie posłyszał rozpaczliwy okrzyk, po czym lady Greystoke osunęła się zemdłona na ziemię.

ROZDZIAŁ X

SZWED

Skoro dzicy wojownicy, otaczający tłumnie Tarzana i Szitę, przekonali się, iż była to prawdziwa pantera, a nie straszna zjawa, nabrali nieco otuchy, gdyż nawet potężna Szita mogła być poskromiona ostrzami ich najeżonych włóczni.

Rokow nalegał na wodza, aby nareszcie dokończył rozpoczętego dzieła i ten miał już właśnie rzucić swoim ludziom hasło, gdy nagle, idąc za wzrokiem Tarzana, rzucił się z przeraźliwym okrzykiem do ucieczki, a za nim jego ludzie, bo oto z gąszczy dżungli wypadły na nich postacie, wyolbrzymione w świetle księżyca, wielkich małp Akuta.

W tej samej chwili, człowiek-małpa wydał okrzyk, w odpowiedzi na który Szita i małpy podążyły za uciekającymi, mordując na miejscu tych, którzy próbowali stawić im czoło.

Gdy już cała wioska opustoszała, Tarzan zwołał do siebie całą czeredę, lecz ku swemu zdziwieniu, przekonał się, że nawet myśliwy Akut nie mógł zrozumieć, iż pan ich pragnął być uwolniony z więzów, które go tak krępowały.

W końcu może zdoła im to wytłumaczyć, przez ten czas jednakże czarni nabiorą odwagi i wrócą do wioski, a wówczas biali z Rokowem na czele łatwo urządzą nagonkę na dzikie zwierzęta, które przy świetle dziennym wydadzą im się mniej przerażające.

Co do Szity, to wielkie kocisko okazywało się mniej pojętym niż małpy, w każdym razie jednak dało dowody niesłychanego przywiązania i zmyślności, Tarzan bowiem nie wątpił, że to właśnie Szita sprowadziła mu na pomoc Akuta i jego plemię. Szita była rzeczywiście prawdziwie rzadkim okazem wśród zwierząt!

Człowiek-małpa trapił się bardzo nieobecnością Mugambiego, próbował dowiedzieć się od Akuta o losie Murzyna, lękał się bowiem nieco, że dzika czereda pozostawiona samopas, rzuciła się na niego i może go pożarła. Akut jednakże uparcie wskazywał na dżunglę, nie umiając dać innego wyjaśnienia.

Tarzan spędził całą noc, przywiązany do pala, o brzasku zaś przewidywania jego sprawdziły się, czarni bowiem zaczęli się pokazywać na skraju dżungli, idąc w stronę wioski.

Niebawem człowiek-małpa posłyszał, jak przygotowują się do nowego ataku z krzykiem i tańcem wojennym, chcąc wprawić się w stan podniecenia. Jakoż wkrótce zjawili się u wrót wioski, szykując się do ataku, lecz na hasło Tarzana, drużyna jego zmusiła ich wnet do ucieczki.

Próby takie powtarzały się kilka razy. Tarzan był pewien, że w końcu muszą przewyciężyć strach i wtargnąć do wioski. Być już tak bliskim ocalenia i nie móc skorzystać ze sposobności jedynie dlatego, że jego biedne, dzikie druhy nie umiały mu dopomóc; było to po prostu okropne. Nie mógł jednak brać im tego za złe, gdyż przecież ze swej strony uczynili oni wszystko, co mogli, aby go

obronić.

Czarni przygotowywali się znowu do ataku. Tarzan czuł, że tym razem wybiła jego ostatnia godzina. Z żalem pomyślał o synku, serce mu się ścisnęło na myśl o cierpieniach Janiny. Oto ratunek nadszedł mu w potrzebie i nie może z niego skorzystać. Nie było już teraz żadnej nadziei!

Czarni wojownicy byli już na pół drogi od wrót wioski, gdy uwaga Tarzana została zwrócona przez zachowanie się jednej z małp, zwierzę to spoglądało uparcie na jedną z lepianek. Tarzan skierował również wzrok w tę stronę. Ku swojej wielkiej radości i uciechu ujrzał Mugambiego, biegnącego ku niemu wielkim pędem.

Czarny olbrzym, dysząc ciężko, jak gdyby na skutek wielkiego zmęczenia i podniecenia, podskoczył do Tarzana, skoro zaś pierwsi wojownicy wkroczyli do wioski, Mugambi rozciął ostatni sznur, krępujący Tarzana.

Na ulicy wioski leżały trupy Murzynów, poległych we wczorajszych walkach z małpami.

Tarzan wybrał włócznię i maczugę, należącą do jednego z nich i tak uzbrojony, wyszedł na spotkanie wojowników, mając przy boku Mugambiego, za sobą zaś zwierzęta.

Krwawą była walka, która się wywiązała pomiędzy przeciwnikami, dzicy jednakże zostali rozgromieni i uciekli w popłochu, przerażeni widokiem współplemieńca, walczącego ręką w rękę z białym wrogiem.

Jeden z wojowników dostał się w ręce Tarzana i, w zamian za obietnicę wolności, udzielił mu informacji o Rokowie.

Tegoż rana jeszcze wódz plemienia starał się namówić Rokowa, aby wraz ze swymi ludźmi powrócił do wioski i zarządził strzelanie do całej gromady zwierząt. Rokow jednakże lękał się więcej Tarzana i jego druhów niż sami dzicy, oparł się więc temu stanowczo.

Zebrawszy swoich podwładnych, uciekł z nimi w stronę rzeki, gdzie wykradli kilka czółen i odpłynęli w nich.

Małpi Tarzan i jego drużyna podjęli tedy raz jeszcze poszukiwania w dżungli.

Przez szereg dni odbywali długą wędrówkę, po to, aby się przekonać, że nie znajdują się na właściwym tropie. Orszak ich zmniejszył się nieco, ponieważ trzy małpy zginęły w potyczce z czarnymi.

Tarzan nie mógł się również dowiedzieć niczego o dziecku oraz o białym mężczyźnie i kobiecie, których gonił Rokow. Wreszcie po długim, bezowocnym krążeniu, natrafił na ślad Rokowa, który skierował się na północ, idąc przez dżunglę.

Dorozumiał się, że Rokow wyruszył, aby się połączyć z dwojgiem ludzi z dzieckiem, nie mógł jednakże dowiedzieć się niczego pewnego o tych właśnie ludziach, chociaż miał ciągle wiadomości o przejściu Rokowa szlakiem, na którym znajdował się obecnie ze swoją gromadą.

Trudno mu było co prawda, porozumiewać się z krajowcami, którzy, na widok towarzyszących mu małp i pantery, zmykali czym prędzej. Jediną radą na to było wyprzedzać nieco całą drużynę i natrafiwszy na jakiego tubylca, wypytywać go.

Pewnego dnia był zajęty śledzeniem czarnego wojownika, który właśnie w tej chwili kierował swoją włócznię na jakiegoś rannego białego, leżącego w krzakach. Tarzan jął przypatrywać się temu ostatniemu i rozpoznał go natychmiast.

Głęboko miał wpojone w pamięć owe odrażające rysy, kose oczy, chytry wyraz twarzy, obwisłe żółte wąsy.

Uświadomił sobie natychmiast, że człowieka tego nie widział w otoczeniu Rokowa, kiedy to

został uwięziony. Mogło być tylko jedno wytłumaczenie tej jego nieobecności: to on właśnie wyprzedził Rokowa z dzieckiem i z białą kobietą, którą nie był nikt inny jak Janina Clayton. Teraz zrozumiał dopiero znaczenie słów Rokowa, co do jego żony.

Twarz człowieka-małpy zbladła, skoro spojrzął na nalane oblicze Szweda, na którym znać było ślady zepsucia i pijaństwa. Blizna, którą otrzymał przed laty, walcząc o władzę nad małpami Kerczaka, zaszła mu krwią.

Człowiek ten był jego łupem, czarny wojownik nie powinien go dobijać, dlatego rzucił się na napastnika, zanim tenże dosięgnął włóczni białego. Szwed leżący w krzakach, był świadkiem walki, o jakiej mu się nigdy nie śniło: na wpół nagi, biały człowiek, szamotał się z na wpół nagim, czarnym krajowcem; przeciwnicy używali najpierw noży i włóczni, później zaś walczyli tylko gołymi rękami i zębami tak, jak w zamierzchłych czasach ich przodkowie.

Przez chwilę Anderssen nie poznawał białego, gdy w końcu zdał sobie sprawę, że olbrzym ten był mu znany, żrenice mu się rozszerzyły ze zdumienia, że ten charczący groźnie zwierz był owym wykwintnym, angielskim lordem, uwięzionym na pokładzie „Kincaidu”.

Angielski lord! Dowiedział się o pochodzeniu więźniów od lady Greystoke, podczas ich podróży po rzece Ugambi. Przedtem bowiem nie wiedział zupełnie, z kim miał do czynienia, tak jak zresztą nikt z załogi nie znał nazwiska tych pasażerów.

Walka skończyła się. Ponieważ czarny nie chciał się poddać, Tarzan zmuszony był go zabić. Stanąwszy na trupie przeciwnika, człowiek-małpa wydał swój znany okrzyk zwycięstwa.

Anderssen zadrżał, słysząc te odrażające dźwięki. Tarzan wówczas zwrócił się do niego. Wyraz jego twarzy był okrutny i zimny. Szwed wyczytał wyrok śmierci w jego stalowych oczach.

- Gdzie jest moja żona? - zawarczał groźnie człowiek-małpa. - Gdzie jest dziecko?

Anderssen starał się odpowiedzieć, ale nagły paroksyzm kaszlu przeszkodził mu w tym. W piersiach jego tkwiła zatruta strzała i krew rzuciła się ustami i nosem z rany w płucu.

Tarzan stał nad nim, chcąc przeczekać atak. Stał jak statua z brązu nad bezbronnyim człowiekiem, zamierzając wyciągnąć od niego wiadomości i zabić go natychmiast.

Kaszel i krwotok ustały i ranny starał się przemówić. Tarzan ukląkł przy nim, łowiąc uchem słowa, wymawiane ledwie dosłyszalnym głosem.

- Moja żona i dziecko - powtórzył - gdzie się znajdują?

Anderssen ręką wskazał szlak przebiegający dżunglę.

- Rokow ma ich w swych rękach - szepnął.

- W jaki sposób tu jesteś sam? - badał go dalej Tarzan. - Czemuś nie razem z Rokowem?

- Złapali nas - odparł Anderssen tak słabym głosem, że człowiek-małpa mógł zaledwie pochwycić słowa. - Złapali nas. Walczyłem, ale moi ludzie uciekli. Złapali mnie, skoro zostałem raniony. Rokow powiedział, że mnie tu zostawia na pastwę hienom. To gorzej niż śmierć. On zabrał pańską żonę i dziecko.

- Ale ty, coś z nimi robił, dokąd ich chciałeś zaprowadzić? - zagadnął Tarzan, spoglądając na Szweda wzrokiem pełnym wściekłej nienawiści i pragnienia zemsty. - Gadaj, jaką krzywdę wyrządziłeś mojej żonie i dziecku? Mów prędko, zanim cię nie zabiję! Polecaj się Bogu! Wyznaj mi najgorszą prawdę, bo inaczej rozszarpie cię własnymi rękami i zębami.

Widziałeś, że to potrafię uczynić!

Wyraz zdumienia odbił się na twarzy Anderssena.

- Jak to? - szepnął. - Ja przecie ich nie pokrzywdziłem. Ja chciałem ich wydobyć z rąk Rosjanina.

Żona pańska była dla mnie dobra na „Kincaidzie” i słyszałem, jak dziecko nie raz płakało. Ja sam mam też żonę i dzieciaka w Chrystianii i nie mogłem znieść tej myśli, że ta dobra pani jest rozłączona ze swym synkiem i że oboje są w mocy Rokowa. Ot i wszystko.

Czyż ja wyglądam na takiego, który by ich mógł skrzywdzić? - zapytał po chwili przerwy, wskazując na strzałę, która mu tkwiła w piersi.

Coś było w tonie mowy i w wyrazie twarzy Szweda, co przekonało Tarzana, że mówi prawdę. Co najważniejsze Anderssen wydawał się więcej urażony niż strwożony. Wiedział, że czeka go śmierć w każdym razie, pogrozki Tarzana niewielkie na nim wywierały wrażenie, widać było jednak, że chodzi mu o sprostowanie fałszywego mniemania, jakie miał o nim Anglik.

Człowiek-małpa ukląkł przy Szwedzie.

- Bardzo mi przykro - rzekł z prostotą. - Sądziłem, że tylko sami zbrodniarze otaczali Rokowa. Widzę, że się pomyliłem. To już należy do przeszłości, teraz chodzi o to, by dla was znaleźć odpowiednie schronisko, abyście mogli powrócić do zdrowia.

Szwed uśmiechnął się, potrząsając przecząco głową.

- Pan niech zaraz rusza na poszukiwanie żony i dziecka - powiedział. - Ja już i tak na wpół umarły, ale - tu zawahał się - wstrętną mi jest myśl o hienach... - Czyby mnie pan nie zechciał dobić?

Tarzan zadrżał ze wzruszenia. Przed chwilą jeszcze był zdecydowany zabić tego człowieka. Teraz byłby uczynił dla wyratowania go to, co uczyniłby dla najlepszego przyjaciela. Uniósł z lekka głowę Szweda, aby mu wygodniej było leżeć.

Wtem znowu pojawił się atak kaszlu i straszny krwotok. Po tym paroksyzmie Anderssen leżał chwilę z zamkniętymi powiekami.

Tarzan sądził, że biedak już przestał żyć, kiedy nagle ranny otworzył oczy i spojrzawszy na człowieka-małpę, westchnął i przemówił ledwie dosłyszalnym szeptem:

- Widzi mi się, co będzie burza - rzekł i zakończył życie.

ROZDZIAŁ XI

TAMBUDŹA

Tarzan wykopał głęboki grób dla kucharza z załogi „Kincaidu”, pod którego odrażającą powierzchnością biło rycerskie serce. Było to wszystko co mógł uczynić tu, w samej głębi dzikiej dżungli dla człowieka, który życie swoje położył w ofierze, chcąc ocalić jego żonę i synka.

Człowiek-małpa puścił się w pogoń za Rokowem. Teraz wiedział już, że białą kobietą była Janina oraz że wpadła znowu w ręce wroga. Pogoń była mocno utrudniona, gdyż na szlaku mnóstwo było śladów, przechodzących tamtędy krajowców.

Podczas tych poszukiwań nie mógł natrafić na krajowca, zatracił przy tym kontakt ze swoją czeredą, lękał się nawet, że trudno jej będzie odnaleźć go teraz, przez ten czas bowiem zerwała się ogromna burza i ulewa, trwająca cały tydzień. Spłukala ona wszelkie nierówności i ślady na szlaku.

Tarzan przeczekał burzę, schroniwszy się na drzewo, gdy zaś deszcz ustał i słońce zaświeciło znowu, znalazł się w rozpaczliwym położeniu, gdy po raz pierwszy zabłądził w dżungli.

Trapiła go myśl o cierpieniach, przez jakie muszą zapewne przechodzić jego żona i dziecko, znając bowiem Rokowa, wyobrażał sobie, jak straszną będzie jego zemsta nad Janiną za jej ucieczkę.

Zastanawiał się teraz, w jaką udać się stronę. Wiedział, że Rokow w pogoni za Anderssenem udał się w głąb dżungli, nie był pewien jednak, czy będzie on dalej szedł tym szlakiem, czy też powróci do rzeki Ugambi.

Z położenia miejscowości, w której zastał Anderssena, domyślił się, iż Szwed powziął śmiały zamiar dostania się z Janiną i dzieckiem aż do Zanzibaru lądem, nie mógł jednakże odgadnąć, czy Rokow przedsięwziął również zamiar tak niebezpiecznej podróży.

Być może, iż zniewolił go do tego lęk przed ścigającym go Tarzanem wraz z jego dziką drużyną.

W końcu człowiek-małpa postanowił iść na północny-wschód do niemieckiej Afryki, licząc, że natrafi na krajowców, u których będzie mógł zasięgnąć języka.

Na drugi dzień po ustaniu ulewy doszedł do wioski, której mieszkańcy - ujrzawszy go - pochowali się w gąszcze, wydając okrzyki przerażenia.

Tarzan przyłapał jednego z wojowników, który tak był przerażony, iż bezradnie wypuścił broń z ręki.

Z wielką trudnością Tarzan zdołał go uspokoić, dowiedział się wreszcie, że kilka dni temu przeszła tędy karawana białych. Ludzie ci opowiedzieli krajowcom, iż są ścigani przez strasznego, białego diabła, przestrzegając ich przed nim oraz przed drużyną szatanów, towarzyszących mu.

Murzyn poznał w Tarzanie opisanego upiora i wyczekał, czy rychło ukaże się za nim horda innych diabłów.

Tarzan poznał chytry pomysł Rokowa. Rosjanin starał się mu na ile mógł utrudniać podróż,

wzbudzając trwogę zabobonnych krajowców.

Murzyn powiedział jeszcze, że biały człowiek na czele karawany, obiecał bajeczną nagrodę temu, kto zdoła uśmiercić białego szatana. Mieli zamiar to uczynić, jak tylko im się sposobność nadarzy, skoro jednak zobaczyli Tarzana odwaga ich opuściła, gdyż, jak to im przepowiedzieli Murzyni, będący w służbie u białych z karawany, krew ich zamieniła się w wodę.

Przekonawszy się, że człowiek-małpa nie żywił wrogich względem niego zamiarów, krajowiec przyszedł do siebie i zaprowadził Tarzana do wioski, krzycząc z daleka: - Biały diabeł przyrzekł, że nic wam złego nie zrobi, jeżeli powrócicie do wioski i odpowiecie na jego pytania!

Jeden po drugim krajowcy jęli napływać do wioski, rzucając niespokojne spojrzenia na człowieka-małpę.

Tarzanowi szło głównie o rozmówienie się z wodzem. Był to tęgi, barczysty mężczyzna, o małpich ramionach i brzydkim wyrazie twarzy.

Tylko zabobonny lęk przed Tarzanem, wszczępiony przez opowiadania Rosjanina i jego ludzi, powstrzymał go od rzucenia się na człowieka-małpę i zamordowania go, tak on bowiem jak i jego ludzie byli ludożercami. Obawa jednakże, iż przybysz jest w istocie diabłem i że podwładni mu szatani przyjdą mu na pomoc, powstrzymała Mganwazama od wcielenia w czyn swoich chęci.

Tarzan wypytywał go starannie i porównując jego zeznania z tym, co usłyszał już od schwytanego przedtem wojownika, stwierdził, że Rokow wraz ze swymi ludźmi ucieka w kierunku wschodniego wybrzeża.

Wielu z tragarzy Rokowa opuściło go. W tejże samej wiosce kazał powiesić pięciu ludzi za kradzież i próbę ucieczki, ze słów czarnego sądzić było można, iż niedługo Rokow pozostanie zupełnie sam, gdyż cała karawana rozproszy się, pozostawiając go na pastwę dzikich zwierząt w dżungli.

Mganwazam zaprzeczał obecności białej kobiety z dzieckiem w karawanie. Kilka razy człowiek-małpa próbował badać go w tym względzie w rozmaity sposób, za każdym jednak razem Murzyn powtarzał uparcie to samo. Starał się wyciągnąć na słówka innych wojowników, osobliwie zaś młodzieńca, którego pochwyił w krzakach, ci jednak w obecności wodza usta mieli zamknięte.

W końcu przekonany, iż ludzie ci wiedzą daleko więcej o losie Taniny i dziecka, niż chcą to wyznać, Tarzan postanowił u nich przenocować, mając nadzieję wykryć coś na swoją rękę.

Skoro oznajmił swoje postanowienie wodzowi, zadziwił się, widząc zmianę w zachowaniu się tegoż, względem niego. Zamiast niechęci i obrzydzenia Mganwazam jął mu okazywać wielką uprzejmość i troskliwość.

Nalegał usilnie, aby gość zajął najlepszą chatę w całej wiosce, została z niej wyrzucona najstarsza żona Mganwazama, podczas gdy wódz poszedł na nocleg do jednej z młodszych małżonek.

Gdyby Tarzan był sobie przypominał o obiecanej przez Rokowa wielkiej nagrodzie, nietrudno przysłoby mu zrozumieć powód nagłej zmiany w Mganwazamie.

Biały olbrzym, śpiący spokojnie w jednej z jego chat, stanowił cenną zdobycz dla Mganwazama, za którą spodziewał się otrzymać nagrodę, dlatego też wódz nalegał, aby Tarzan, zmęczony uciążliwą podróżą, udał się wcześniej na spoczynek.

Pomimo iż człowiek-małpa nie lubił przyjmować gościny w brudnych, cuchnących chatach murzyńskich, postanowił uczynić to tym razem, mając nadzieję skusić którego z młodszych krajowców na pogawędkę, z której mógłby się może dowiedzieć potrzebnych mu szczegółów. Tarzan przyjął więc zaproszenie starego Mganwazama, prosząc jednakże, aby mu wyznaczili inną chatę,

gdyż przykrą mu była myśl, że pozbawia wygodnego noclegu starą, bezzębną żonę wodza.

Stara czarownica z uśmiechem przyjęła oświadczenie gościa, że zaś ten plan dogadzał zamiarom Mganwazama, który obmyślił, że umieści białego olbrzyma w innej chacie, z paroma wojownikami, łatwo mogącymi go uśmiercić podczas snu, zgodził się na to chętnie i Tarzan został zaprowadzony do chaty, znajdującej się na skraju wioski, tuż naprzeciwko wrót ogrodzenia.

Skoro tylko Tarzan znalazł się w przeznaczony dla niego pułapce, Mganwazam, zgromadziwszy kilku młodych krajowców, mających przepędzić noc z Tarzanem, jął im tłumaczyć, jak mają się zachować z białym diabłem. Przez cały czas ich rozmowy prowadzonej naokół ogniska, stara czarownica kręciła się koło nich, na pozór, aby dorzucać drewek do ognia, w istocie zaś, aby pochwycić wątek ich rozmowy.

Żaden z czarnych nie objawiał zbyt chęci obcowania z białym gościem, wola jednak Mganwazama była prawem, które musieli szanować.

Tarzan przespał około dwóch godzin; zostawiony był sam w chacie, gdyż jak mu to wytłumaczył Mganwazam, tego wieczoru miał się odbyć taniec wojenny i wszyscy zajęci byli przygotowaniem do uroczystości. Ogień wygasł prawie zupełnie i tylko parę węgielków tliło się na ognisku, człowiek-małpa swoim wprawnym słuchem wyczuł, jak ktoś zakrada się cichutko pod próg chaty.

- Kto jest? - zapytał się. - Kto skrada się do małpiego Tarzana, niby zgłodniały lew wśród ciemności?

- Zamilknij Bwano - odpowiedział drżący, starczy głos - jam jest Tambudza, w której chacie nie chciałeś nocować, aby jej samej nie narazić na chłód nocy.

- Czego chce Tambudza od małpiego Tarzana? - zagadnął człowiek-małpa.

- Tyś był dobry dla mnie, dla której nikt teraz nie ma życzliwego słowa, ja zaś przyszedłem cię ostrzec, aby ci dać dowód mojej wdzięczności.

- Ostrzec mnie, przed czym?

- Mganwazam wybrał już młodzieńców, którzy mają tam nocować dzisiaj. Słyszałam, jak ich pouczał, że skoro taniec będzie rozpoczęty, mają wejść do chaty. Jeśli nie będziesz spał, mają udać, że przyszedli na spoczynek, jeśli zaś zastaną cię śpiącym, mają cię zamordować.

Mganwazam chce otrzymać nagrodę, naznaczoną na twoją głowę przez twoich wrogów.

- Zapomniałem o nagrodzie - rzekł Tarzan półgłosem do siebie i dodał: - W jaki sposób Mganwazam może liczyć na otrzymanie nagrody, skoro biali wrogowie moi opuścili tę okolicę?

- O, nie odeszli zbyt daleko - odparła Tambudza. - Mganwazam wie, gdzie obozują, gońcy jego dognaliby ich szybko, karawana rusza się powoli.

- Gdzież oni są? - zapytał Tarzan.

- Czy chciałbyś do nich dojść? - odpowiedziała pytaniem Tambudza.

Tarzan skinął głową.

- Mogłabym cię do nich zaprowadzić, bwano - rzekła stara - jeśli takie byłoby twoje życzenie.

Tak byli zajęci rozmową, że nie zauważyli, jak niewielka postać stanęła przed progiem chaty, przysłuchując się pilnie temu, co mówili.

Był to mały Bunlao, synek jednej z młodszych żon wodza, niedobry, mały urwis, którego ulubionym zajęciem było szpiegować Tambudzę i skarżyć na nią przed ojcem.

- Idźmy zatem - postanowił Tarzan, ruszając się z miejsca. Mały Bunlao nie dosłyszał tych ostatnich słów, gdyż pobiegł do ojca na drugi koniec wioski, gdzie tenże wraz z inną starszą zapijał piwo, domowego wyrobu, i przypatrywał się ohydnemu tańcowi naokoło ogniska.

Skoro więc Tarzan i Tambudża wyruszyli ukradkiem w stronę dżungli, dwaj mali gońcy udali się w tę stronę, ale innym szlakiem.

Kiedy już znaleźli się poza obrębem wioski, Tarzan zapytał przewodniczki, czy w karawanie białych, uciekających przed brodatym człowiekiem, znajdowała się kobieta z dzieckiem.

- Tak bwano - odparła Tambudża - była z nimi kobieta i maleńki biały dzieciaczek, umarło maleństwo tu w naszej wiosce na gorączkę i tu zostało pochowane.

ROZDZIAŁ XII

CZARNY ŁOTR

Skoro Janina Clayton przysłała do siebie, ujrzała Anderssena, stojącego nad nią i trzymającego dziecko w objęciach. Wyraz bolesnego zawodu i cierpienia odbił się na jej twarzy, gdy spojrzała na nich.

- Co się stało? - zapytał Szwed. - Czy pani słabo?

- Gdzie jest moje dziecko? - zawołała, nie odpowiadając na pytanie.

Anderssen wskazał na dzieciaka, ona jednak kiwnęła przecząco głową.

- To nie moje dziecko - rzekła. - Wiedzieliście dobrze, że to nie moje. Taki sam z was diabeł jak i Rokow. Anderssen wybałuszył na nią zdumione oczy.

- Nie pani dziecko! - zawołał. - Mówiła przecież pani, że ten dzieciak na pokładzie „Kincaidu” to pani syn rodzony.

- Nie ten wcale - odparła Janina przygnębiona. - Mnie chodzi o moje własne dziecko.

Gdzie ono jest? Musiało ich być dwoje. Nic nie wiedziałam, że to maleństwo było tam również.

- Nie było tam żadnego innego. Myślałem, że to dziecko pani i bardzo mi przykro teraz.

Anderssen przestępował strapiiony z nogi na nogę. Widoczne było dla Janiny, że mówił prawdę.

W tej chwili maleństwo zaczęło kwilić żałośnie i wyciągnęło obie rączki do młodej kobiety, która nie mogąc się oprzeć temu wezwaniu, przycisnęła je do piersi.

Przez kilka minut płakała w milczeniu, tuląc twarz w brudną sukienkę dziecka. Po pierwszej chwili zawodu, doznała uczucia ulgi, że może jednak stał się cud jakiś i jej ukochany Jack uszedł rąk Rokowa, zanim „Kincaid” wyruszył w podróż.

- Czy nie macie pojęcia, czyje to dziecko? - zagadnęła Anderssena.

Potrząsnął przecząco głową.

- Nie wiem nic - odparł. - Jeżeli to nie pani dziecko, to nie wiem do kogo ono należy.

Rokow mówił, że to synek pani. Ja myślę, że on jest w tym mniemaniu. Cóż teraz z nim pocniemy? Ja nie mogę wrócić na pokład „Kincaidu”, zastrzeliliby mnie na miejscu. Pani może powrócić sama. Zaprowadzę panią z powrotem na wybrzeże, stamtąd który z czarnych podwiezie panią łodzią do statku.

- Nie, nie! Za nic na świecie! - zawołała Janina Clayton. - Wolałabym śmierć, aniżeli wpaść znowu w ręce tego człowieka. Idźmy dalej i weźmy ze sobą tę biedną istotkę. Jeżeli Bóg pozwoli, uratujemy się w ten lub inny sposób.

Znowu więc podjęli wędrówkę przez dzikie obszary dżungli, biorąc ze sobą sześciu czarnych Mosulczyków do niesienia zapasów żywności i namiotów, które Anderssen załadował na łódkę, uciekając z „Kincaidu”.

Dnie i noce ciągłej udręki wydawały się Janinie jedną przynębiającą marą. Straciła wkrótce miarę czasu, nie wiedziała czy podróżują tak lata, miesiące, czy tygodnie. Jedynym promyczkiem słońca, rozjaśniającym tę przepaść troski i smutku, było owo dziecko, do którego się przywiązała serdecznie, zastępowało jej bowiem w pewnej mierze ukochanego synka.

Przez jakiś czas postępowali naprzód bardzo powoli. Dowiadywali się od krajowców, napotkanych po drodze, że Rokow nie wpadł jeszcze dotychczas na ich ślad. To przeświadczenie oraz pragnienie uczynienia podróży jak najmniej uciążliwą dla lady Greystoke, nieprzywykłej do zmęczenia, sprawiało, że Anderssen odbywał drogę z przystankami, zużywając wiele czasu na odpoczynek.

Szwed upierał się zawsze, by nieść dziecko podczas podróży, przy tym w rozmaity sposób starał się skłonić Janinę Clayton do oszczędzenia sił. Bolał nad swoją pomyłką, skoro jednak młoda kobieta nabrała przeświadczenia, iż działał on li tylko z pobudek rycerskości, nie pozwoliła mu dłużej trapić się tą mimowolną pomyłką.

Każdego wieczora, po całodziennym wędrowcu pieszej, Anderssen zajmował się urządzeniem wygodnego schroniska dla Janiny i dla dziecka. Namiot jej był zawsze rozбитý w najodpowiedniejszym miejscu, ciernista boma bywała sporządzona jak najstaranniej przez Mosulczyków pod jego dozorem.

Posiłek, jaki dla niej przygotował, był sporządzany z najlepszych zapasów, jakie zabrali ze sobą, nierzadko bywała podawana zwierzyna upolowana strzelbą Szweda. Co jednakże najwięcej wzruszyło Janinę, była to jego ciągła troskliwa uprzejmość i głęboki szacunek, okazywany jej na każdym kroku.

Powoli Janina zapomniała o jego odrażającej powierzchowności, widząc tylko zalety charakteru i szlachetność serca, odbijające się w jego kosych, małych oczach.

Zacząli iść nieco zwawiej naprzód, gdy doszły ich wieści, że Rokow jest na ich tropie i znajduje się już w niewielkiej odległości. Wówczas Anderssen skierował się ku rzece, nabywając czołno od pewnego czarnego wodza, którego wioska znajdowała się w pobliżu rzeki Ugambi, nad jednym z jej dopływów.

Uciekinierzy mknęli po bystrych nurtach Ugambi, posuwali się zaś tak szybko, że wkrótce przestał ich dochodzić słuch o Rokowie. Wreszcie wylądowali znowu, zapuszczając się w dżunglę. Tu podróż stała się uciążliwą i niebezpieczną.

Na drugi dzień po wylądowaniu, dziecko zapadło na gorączkę. Anderssen wiedział, czym to grozi, nie mówił jednakże o swoich przypuszczeniach Janinie, widział bowiem, jak bardzo drogim stało się jej to maleństwo.

Ponieważ stan dzieciny był groźny i uniemożliwiał dalszą podróż, Anderssen cofnął się nieco z głównego szlaku, rozkładając obóz na polance, nad brzegiem niewielkiego strumienia.

Janina otaczała najtkliwszymi staraniami chore niemowlę, ale - jak gdyby czara jej gorczy nie była dosyć pełną - jak grom z jasnego nieba, spadła na nią wiadomość, przyniesiona przez jednego z Mosulczyków, który udał się na wywiad w dżunglę, że Rokow i jego banda obozują niedaleko.

Niepomni tedy na stan zdrowia dziecka rzucili się do ucieczki. Janina Clayton знаła zbyt dobrze Rosjanina, aby nie przypuszczać, iż rozłączy ją z dzieckiem, to rozłączenie zaś byłoby wyrokiem śmierci dla malca.

Jeden po drugim opuścili ich tragarze, idący dotychczas z nimi, strach ich bowiem przed Rokowem, o którego okrucieństwie słyszeli, był tak wielki, że bez namysłu opuścili białych

podróżników.

Szli przez cały dzień. Janina niosła dziecko, Anderssen bowiem torował drogę w splątanej gęstwinie dżungli. Późnym popołudniem spostrzegli się, iż niebezpieczeństwo jest blisko, z daleka bowiem posłyszeli odgłosy, zwiastujące nadejście karawany Rokowa.

Skoro przekonali się, że zostaną doścignięci za krótką chwilę, Anderssen polecił Janinie schować się wraz z dzieckiem za rozłożyste drzewo, które przykryło ją zupełnie swymi liśćmi.

- O milę stąd znajduje się wioska - rzekł do niej. - Mosulczycy wytłumaczyli mi jej położenie. Postaram się odciągnąć Rokowa w inną stronę, pani zaś pójdzie w kierunku wioski. Myślę, iż wódz tamtejszego plemienia życzliwy jest dla białych, tak mi powiedzieli Mosulczycy. W każdym razie, to tylko pozostaje nam do zrobienia. Trzeba, aby pani otrzymała od wodza przewodników, którzy doprowadzą ją do wybrzeża morskiego, gdzie na pewno nadpłynie jaki parowiec, zarzucając kotwicę u ujścia rzeki Ugambi. Wówczas pani sobie już da radę. Żegnam panią i życzę szczęścia!

- Ależ dokąd wy pójdziecie, Svenie? - zagadnęła Janina. - Dlaczego się również nie ukryjecie i nie pójdziecie ze mną w stronę morza?

- Muszę powiedzieć Rokowowi, że pani już nie żyje, aby pani nie szukał więcej - tu Anderssen wykrzywił twarz do uśmiechu.

- Dlaczego więc nie możecie dojść później, po powiedzeniu mu tego? - nalegała Janina. Anderssen potrząsnął głową.

- Nie chcecie chyba powiedzieć, że Rokow was zabije? - zagadnęła Janina, a jednak w głębi serca wiedziała doskonale, że ów łotr pomści się w ten sposób na Szwedzie za jej ucieczkę.

Anderssen nic na to nie odpowiedział, tylko nakazał jej milczenie, wskazując na ścieżkę, którą co tylko przyszli.

- Wszystko mi jedno - wyszeptała Janina. - Nie pozwolę, abyście przeze mnie mieli umrzeć. Dajcie mi wasz rewolwer, potrafię go użyć i wspólnie będziemy mogli ich przetrzymać, obmyślając sobie później jakiś sposób wyjścia.

- To by się na nic nie zdało, droga pani - odparł Anderssen. - Złapaliby nas oboje i wówczas nic bym pani nie mógł pomóc. Niech pani pomyśli o dziecku! Cóż by się z wami stało, gdybyście wpadli w ręce Rokowa! Dla dobra dziecka powinna pani mnie posłuchać.

Niech no pani weźmie tutaj moją fuzję i naboje, bo mogą się jeszcze przydać.

Położył przy niej fuzję i pas myśliwski i odszedł w stronę szlaku, na spotkanie przednich straży Rokowa. Wkrótce zniknął na zakręcie.

W pierwszej chwili chciała za nim podążyć, wypełzła już nawet ze schronienia, spojrzawszy jednak na dziecko, zauważyła nadmierne rumieńce na jego drobnej twarzyczce.

Znowu silniejszy atak gorączki! Janina Clayton jęła iść teraz szybko w kierunku wioski, zapominając o Anderssenie, o Rokowie, o własnym niebezpieczeństwie, zostawiając fuzję i naboje. Jedyne myśli, że dziecko ma gorączkę dżungli, oraz pragnienie przyniesienia mu ulgi, przejmowała ją całą. Miała nadzieję, że może w owej wiosce, o której wspomniał Anderssen znajdzie jaką życzliwą kobietę, która sama, mając dzieci, poradzi jej coś, by temu biedactwu przynieść ulgę.

Jak spłoszona antylopa jęła biec, w kierunku wskazanym przez Anderssena; w oddali dały się słyszeć krzyki, strzały, a potem zapadła cisza. Zrozumiała, że Anderssen spotkał się z Rokowem.

W pół godziny potem wpadła, wyczerpana biegiem, do wioski. Otoczył ją tłum krajowców, mężczyzn, kobiet i dzieci. Zaciekawieni zadawali jej mnóstwo pytań, z których nie mogła zrozumieć żadnego.

Pokazywała z płaczem tylko na dziecko, kwilące żałośnie w jej objęciu, powtarzając przy tym: - Gorączka! Gorączka!

Czarni spostrzegli powód jej troski, choć nie rozumieli jej słów. Jedna tedy z młodszych kobiet zaprowadziła ją do chaty i starała się wraz z innymi ulżyć biednemu dziecku.

Przyszedł czarownik-lekarz, rozniecił małe ognisko na wprost dziecka. Postawił tam garnuszek, napełniony jakimś odwarem, po chwili zaś wrzucił do odwaru ogon zebry i wymawiając przeróżne zaklęcia, prysnął parę kropli z tego płynu na twarz dziecka.

Po wyjściu czarownika, kobiety otaczające dziecko, rozpoczęły głośne lamentowanie.

Janinę owe jęki drażniły mocno, wiedząc jednak, iż czyniły to one z dobroci serca, cierpliwie wysłuchiwała ich przez długie godziny wieczorne.

Było już dobrze po północy, gdy zdała sobie sprawę z nagłego ruchu w obrębie wioski.

Dochodziły ją głosy krajowców, jak gdyby sprzecających się, nie mogła jednakże zrozumieć słów rozmowy.

Nagle przed progiem chaty, w której siedziała przy ognisku, piastując na kolanach dziecko, dały się słyszeć kroki. Dziecko leżało spokojnie z oczami w ślup.

Janina Clayton spojrzała strwożonym wzrokiem na drobną twarzyczkę. Nie była to przecież jej rodzona dziecina, a jednak jakże drogim stało się jej to małe, bezbronne stworzonko. Serce jej, pozbawione ukochanego synka, wylewało teraz cały zapas czułości macierzyńskiej, na tę biedną sierotkę, której koniec był już tak bliski. Chociaż przejęta była żalem na myśl o stracie, grożącej jej niedługo, jednocześnie modliła się w duchu, aby szybko nastąpił kres cierpień nieszczęsnej istotki.

Kroki zatrzymały się przed chatą, posłyszała rozmowę, prowadzoną szeptem i chwilę później, do wnętrza wszedł Mganwazam, wódz plemienia.

Mganwazam, któremu się teraz lepiej przyjrzała, był dzikim, o brutalnej, wstrętnej powierzchowności, przypominającym raczej goryla, niż człowieka. Starał się rozmawiać z nią, ale bez skutku, w końcu przywołał kogoś spoza chaty.

Na jego wołanie zjawił się inny Murzyn, tak od niego różny, iż Janina doszła do wniosku, że musiał on należeć do zgoła odmiennego plemienia. Ten człowiek grał rolę tłumacza, z pierwszego pytania, postawionego jej przez Mganwazama, Janina zrozumiała, iż dziki pragnie wyciągnąć od niej wiadomości dla jakichś ukrytych pobudek.

Uderzyło ją to, że tak się dziwnie interesuje jej zamiarami, szczególnie zaś, że wypytuje się, dokąd zamierzała się udać w chwili dojścia do wioski, w której zatrzymała się na postój.

Nie widząc powodów do ukrywania się przed nim, odpowiedziała mu prawdę, kiedy jednak zagadnął ją, czy spodziewa się spotkać męża u celu podróży, potrząsnęła przecząco głową.

Wyjaśnił jej wówczas, zawsze przez tłumacza, cel swoich odwiedzin.

- Dowiedziałem się właśnie, od kilku ludzi, zamieszkujących wybrzeże wielkiej wody, że mąż twój ścigał cię wzdłuż rzeki Ugambi przez kilkanaście mil, w końcu jednak zginął, zabity przez krajowców. Powiedziałem ci to, abyś próżno nie traciła czasu na długą podróż, chcąc spotkać męża u kresu, ale byś się wróciła do wybrzeża, skąd ci bliżej będzie do twojego kraju.

Janina podziękowała Mganwazamowi za jego troskliwość, choć serce jej ścisnęło się tępym bólem, na myśl o tym nowym ciosie. Wszystkie jej zmysły były jakby przyćmione i odrętwiałe, siedziała, patrząc uparcie na dziecko, bez ruchu i bez słowa. Mganwazam wyszedł z chaty. Nieco później posłyszała inne kroki, ktoś znowu przestąpił prób jej schronienia.

Jedna z kobiet, siedzących naprzeciw niej, rzuciła garść łuczywa na dogasające węgielki.

Łkanie ścisnęło jej gardło, głowa jej opadła w milczącej rozpaczynie nad małym stworzonkiem, które przytuliła do serca.

Przez chwilę panowała w chacie niczym nie zmacona cisza. Wreszcie jedna z kobiet zaczęła rozpaczliwie jęczeć.

Jakiś mężczyzna chrząknął tuż koło Janiny Clayton, wymawiając jej imię.

Wzdrygnęła się, podnosząc oczy, i wzrok jej spotkał się z ironicznym spojrzeniem Mikołaja Rokowa.

ROZDZIAŁ XIII

UCIECZKA

Przez chwilę Rokow stał, spoglądając szyderczo na Janinę Clayton, wreszcie wzrok jego padł na dziecko, Janina zasłoniła maleństwo chustką, w którą było otulone tak, iż można było przypuszczać, że śpi.

- Wiele niepotrzebnego trudu zadała sobie pani, sprowadzając aż tutaj dziecko - rzekł Rokow. - Gdyby pani była pilnowała swoich spraw, byłbym je tutaj sam umieścił. Jest to wioska, w której miałem je pozostawić. Mganwazam wychowa chłopca starannie, na tęgiego ludożercę, jeżeli zaś pani uda się kiedykolwiek powrócić w cywilizowane strony, będzie to zapewne dla niej wielką pociechą porównywać swoje zbytkowne życie z życiem, jakie syn pani prowadzić będzie pośród plemienia Mganwazamów. Dziękuję pani, że go tu przyniosła, oszczędzając mi kłopotu podróży pieszej z małym dzieckiem, poproszę jednak, aby mi je teraz oddała, muszę je bowiem zostawić pod opieką przybranych rodziców. - Tu Rokow wyciągnął ręce po dziecko, uśmiechając się drwiąco.

Ku jemu zdziwieniu, Janina Clayton powstała i bez słowa oporu podała mu maleństwo.

- Oto dziecko - rzekła. - Dzięki Bogu, nie leży już w pana mocy wyrządzić mu krzywdę.

Rokow, słysząc to, zerwał z przerażeniem chustkę z twarzy dziecka, stwierdzając swoją obawę. Janina Clayton przypatrywała mu się bacznie.

Przez czas podróży z Anderssenem, zastanawiała się, czy Rokow zna prawdę co do pochodzenia porwanego przez siebie dziecka. Jeżeli miała jeszcze jakie wątpliwości, to rozproszyły się one zupełnie na widok wściekłości, objawionej przez Rosjanina, który spoglądał na dziecko zawiedzionym wzrokiem, wyrażającym gniewną rozpacz na myśl, że nie będzie mógł zemścić się na Tarzanie, wychowując na ludożercę przysłego lorda Greystoke.

Niemal cisnął dziecko na kolana Janinie, miotając okropne przekleństwa i wygrażając jej zaciśniętymi pięściami. Pochylił się wreszcie nad młodą kobietą, przysuwając się tuż do niej.

- Śmiejesz się ze mnie pani - zawołał. - Myśli pani, że mnie zmogłaś, co? Nauczę panią, tak jak już nauczyłem tę wstrętną małpę, jej męża, co znaczy wchodzić w drogę Mikołajowi Rokowowi! Okradła mnie pani z dziecka. Nie mogę uczynić z niego syna wodza ludożerców, ale - tu zatrzymał się, chcąc nadać swym słowom większe znaczenie - mogę uczynić matkę jego żoną ludożercy! Dokonam tego z pewnością, tylko pierwszej skończę z nią sam obrachunki!

Jeżeli sądził, że wywołał objawy trwogi u Janiny Clayton, zawiódł się srodze, zmysły jej i nerwy były zbyt przytępione bólem i szalem cierpienia.

Ku jego zdziwieniu, leciuchny, nieomal radosny uśmiech ożywił jej lica. Szczęśliwa była, myśląc, że ciało maleństwa nie było ciałem jej dziecka i że Rokow najwidoczniej nie wiedział prawdy.

Chciała oznajmić mu to, powstrzymała się jednak. Pozostawiając go w błędzie, zapewniała tym samym bezpieczeństwo małego Jacka, gdziekolwiek bądź się znajdował.

Przyszła do wniosku, iż było zupełnie możliwe, iż któryś ze współników Rokowa ukrył dziecko, mimo jego wiedzy, zastępując je innym, a to w nadziei sowitego wykupu. Nie wątpiła, że jej liczni przyjaciele w Anglii, chętnie wykup ten ofiarują, było tedy prawdopodobne, że mały Jack już w tej chwili znajdował się pod dobrą opieką.

Rosjanin nie powinien się nigdy dowiedzieć, że mały zmarły nie był jej synem.

Wiedziała, że jej położenie było beznadziejne, skoro Anderssen i mąż jej nie żyją, uwierzyła bowiem Mganwazamowi co do śmierci Tarzana, nie wiedząc, iż oznajmił jej o tym, nauczony przez Rokowa, zanim wszedł do chaty, w której siedziała z dzieckiem.

Rozumiała, że pogrożki Rokowa nie są daremne. Była pewna, że spełnił albo będzie starał się spełnić to wszystko co jej obiecał, postanowiła zatem przygotować się do śmierci, którą sobie zada sama, choć nie wiedziała jeszcze w jaki sposób.

Potrzebowała jednak zebrać myśli, nie chciała bowiem odważyć się na ostateczny krok, nie uczyniwszy jeszcze próby ucieczki.

- Proszę stąd odejść - zwróciła się do Rosjanina - chcę pozostać sama z moim zmarłym. Czy pan nie sprowadził na mnie dość wielkiego nieszczęścia, byś miał się starać krzywdzić mnie jeszcze? Cóżem takiego uczyniła, by zasłużyć na podobne prześladowanie?

- Cierpi pani za grzechy małpy, którąś wybrała, zamiast przyjąć ofiarowane ci uczucie dżentelmena, Mikołaja Rokowa - odpowiedział łotr. - Na cóż się zda jednak rozprawiać nad tym dłużej? Pochowamy tutaj dziecko, dziś pójdziesz pani ze mną do mojego obozu, jutro zaś oddam cię w ręce małżonka, uroczego Mganwazama. Proszę za mną!

Wyciągnął ręce po dziecko, Janina powstała, odwracając się od niego:

- Sama pochowam dziecko - rzekła. - Proszę mi przysłać ludzi dla wykopania dołu poza wioską.

Rokowowi spieszo było skończyć z tym wszystkim i dostać się do obozu ze swą ofiarą.

Sądził po jej apatii, że pogodziła się ze swoim losem. Wyszedł z chaty, dając jej znak, aby szła za nim, i chwilę później towarzyszył jej ze swymi ludźmi do miejsca, gdzie pod wielkim drzewem, poza obrębem wioski, czarni wykopali dół, do którego Janina złożyła ciało dziecka, owinięte w derkę. Odmówiwszy modlitwy nad mogiłą sierotki, tak wielkie miejsce w jej uczuciach zajmującej, podniosła się bez płaczu, ale z sercem pełnym bólu, i poszła za Rosjaninem poprzez wąski szlak, wydeptany w gąszczach ciemnej dżungli, udając się wraz z nim do jego obozu.

Wokół, wśród nieprzeniknionych gęstwi krzaków, słychać było skradające się kroki wielkich drapieżnych zwierząt, grzmiąły ogłuszające ryki polujących na zdobycz lwów, wycie hien, dźwięczało sykanie węży.

Tragarze zapalili pochodnie i machali nimi, aby odstraszać zwierzęta. Rokow poganiał ich, aby szli prędzej, z drżącego brzmienia jego głosu, Janina wnioskowała, że jest on w wielkim strachu.

Te odgłosy dżungli przypomniały jej żywo chwile, spędzone w takichże obszarach leśnych, w towarzystwie leśnego bożka, niezwyciężonego Tarzana, który nie znał trwogi.

Jakżeby innym wydawało jej się wszystko, gdyby wiedziała, że znajduje się on w okolicy, że szuka jej. Niestety! Tarzan nie żył! Myśl ta wydawała jej się niemożliwą, a jednak była prawdą!

Wreszcie doszli do borny, ogradzającej obóz Rosjanina. Znaleźli tu wszystko w wielkim zamęcie. Nie wiedziała z jakiego powodu, zauważyła jednak, że Rokow wpadł w złość i z urywków rozmowy dorozumiała się, że kilku ludzi uciekło z obozu, wykradając najlepsze zapasy i sporo

amunicji.

Skoro wywarł swój gniew na pozostałym otoczeniu, wrócił do Janiny, będącej pod strażą dwóch białych majtków. Złapał gwałtownie za ramię, chcąc ją wepchnąć do swego namiotu.

Kobieta próbowała się opierać i bronić, podczas gdy marynarze przypatrywali się ze śmiechem rzadkiemu widowisku.

Rokow nie wahał się używać najbrutalniejszych środków dla osiągnięcia celu. Kilka razy uderzył Janinę w twarz, aż na wpół ogłuszona razami, została wciągnięta do namiotu.

Służący Rokowa zapalił jego lampę i, na dany mu znak, wycofał się za próg. Janina opadła na ziemię. Powoli przychodziła do siebie i rozglądała się bacznie po całym namiocie.

Rosjanin starał się ją podnieść i zaciągnąć w kąt, w stronę polowego łóżka. U pasa zwieszał się mu ciężki rewolwer. Oczy Janiny wpatrywały się uparcie w tę broń. Udała, że mdleje znowu, i gdy Rokow, słysząc hałas pod progiem, odwrócił od niej głowę, z błyskawiczną szybkością wyciągnęła rewolwer, chwytając go oburącz, w tej samej chwili Rosjanin zwrócił się do niej, uświadamiając sobie nagle niebezpieczeństwo.

Nie śmiała strzelać, lękając się, że hukem wystrzału zwabi ludzi Rokowa, którzy w razie jego śmierci nie obeszliby się z nią lepiej niż on sam. Wymierzyła mu tylko silny cios kolbą między oczy, który to cios z miejsca powalił go nieprzytomnego na ziemię.

Na razie była wolna od jego brutalnej przemocy. Posłyszała znowu jednak szmer, który zwrócił przedtem uwagę Rokowa. Lękając się, że to ktoś ze służby i że czyn jej zostanie wykryty, podbiegła do lampy i zgasiła ją szybko, pograżając namiot w ciemnościach.

Jęła się teraz zastanawiać nad swoim położeniem. Otoczona była wrogami w samym obozie, poza którego bomą była dżungla, zaludniona dzikimi zwierzętami oraz gorszymi jeszcze okrutnymi szczepami czarnych wojowników.

Nie było wiele nadziei, aby mogła przeżyć czyhające na nią zewsząd niebezpieczeństwa, świadomość jednakże, iż wyszła dotychczas z tylu ciężkich przejść bez szwanku oraz że gdzieś daleko mała dziecina kwili za nią z tęsknotą, dodała jej odwagi i postanowiła uczynić wysiłek, aby dokonać na pozór niemożliwej rzeczy: przejść przez tę krainę grozy i dojść do morza, tam zaś doczekać się ratunku.

Namiot Rokowa stał w samym środku obozu, otoczony namiotami jego drużyny i czarnych safari (przewodników). Przejść tamtędy i wyjść przez wrota bomy było przedsięwzięciem niemożliwym do wykonania, łatwo bowiem mogła być przyłapana i uwięziona na nowo.

Ostrożnie tedy wróciła do zemdlonego Rokowa i wyciągnąwszy mu długi kordelas myśliwski zza pasa, ostrzem wykroiła otwór w głębi namiotu, przez który wysunęła się ostrożnie.

Teraz, stąpając na palcach, doszła do kolczastego ogrodzenia; w ciemnościach rozbrzmiewał ryk lwów, śmiech hien i tysiączne odgłosy nocnego życia dżungli.

Przez chwilę zawahała się, drżąc od stóp do głowy. Myśl o tych okrutnych drapieżnikach, których lada chwila mogła stać się pastwą, napelniała ją trwogą.

Po chwili jednak, podnosząc dumnie głowę, chwyciła za kolczaste zapory bomy i po pewnym wysiłku zdołała wyłamać otwory, przez które wysunęła się na wolność. Delikatne jej ręce krwawiły od kolców, nie zważała jednak na to i stanąwszy poza bomą, odetchnęła z ulgą.

Poza sobą zostawiła los gorszy od śmierci, który ją czekał z rąk okrutnych ludzi. Przed sobą widziała śmierć, ale śmierć ta nie kładła piętna na jej kobiecą cześć. Bez żalu zatem opuściła obóz, chwilę potem zaś zniknęła w ciemnościach ponurej dżungli.

ROZDZIAŁ XIV

SAMOTNA W DŻUNGLI

Tambudza, prowadząc małego Tarzana w stronę obozu Rosjanina, poruszała się bardzo wolno, była bowiem już stara i gnębił ją srodze reumatyzm.

Gońcy zatem, wysłani przez Mganwazama, aby zawiadomić Rokowa, że biały olbrzym znajduje się w jego wiosce i że będzie zarżnięty tej nocy, dobiegli do obozu białych, zanim Tarzan i jego przewodniczka przebyli połowę drogi.

Gońcy zastali wielkie zamieszanie w obozie białego człowieka. Rokowa znaleźli jego ludzie tegoż ranka, ogłuszonego i zakrwawionego w namiocie. Skoro przyszedł do siebie, stwierdził ucieczkę Janiny Clayton, wściekłość jego nie miała granic.

Biegał po obozie z fuzją, mierząc do krajowców, którzy w nocy trzymali straż, aby zemścić się na nich za brak ich czujności, jego biali towarzysze jednak, świadomi tego, że położenie ich stawało się coraz gorsze, wobec ciągłej dezercji ze strony dzikich, zrażonych okrucieństwami Rokowa, rozbroili naczelnika, uniemożliwiając mu jego zamiary.

Zaledwie tedy posłowie Mganwazama udzielili białym tych ważnych wiadomości i Rokow przygotowywał się do udania się z nimi do wioski, nadbiegli inni gońcy, dysząc ze zmęczenia i oznajmiając, że biały olbrzym wydostał się z mocy Mganwazama i wyruszył w drogę, zapewne aby wyrzeć zemstę na swoich wrogach.

Straszliwy zamęt zapanował w obozie Rokowa. Czarni zostali porażeni trwogą na myśl, że biały olbrzym, którego orszak składa się z małp i panter, znajduje się niedaleko stąd.

Wszyscy, razem z gońcami Mganwazama, czmychnęli czym prędzej, nie omieszkując zabrać ze sobą wszystkich cenniejszych przedmiotów i zapasów.

I tak Rokow z siedmioma towarzyszami zostali okradzeni i porzuceni wśród dzikiej puszczy.

Rosjanin, wedle swego zwyczaju, zwrócił się z gniewnymi wymówkami do swych towarzyszy, przypisując im winę nieszczęść, które go spotkały, majtkowie jednak nie byli bynajmniej usposobieni do znoszenia jego humorów i obelg, jeden z nich wycelował do niego z rewolweru i, chociaż chybił, czyn ten tak przeraził Rokowa, że jął uciekać w stronę namiotu.

Biegając tam, dojrzał na skraju dżungli, poza kolczastą bomą, coś, co mu zmroziło krew w żyłach, każąc mu zapomnieć o strachu przed napaścią białych marynarzy, którzy, za przykładem pierwszego, strzelali raz po raz do uciekającego łotra. Zobaczył postać białego, na wpół nagiego olbrzyma, wyłaniającego się z gęstwiny.

Wpadłszy do namiotu, Rosjanin nie przystanął ani chwili, lecz wysunął się stamtąd otworem, uczynionym przez Janinę Clayton poprzedniej nocy.

Jak ścigany zając wypadł, doskakując do bomy, gdzie widniał ów wyłom, zrobiony przez młodą

kobietę i przeszedłszy tamtędy, zniknął w dżungli.

Skoro człowiek-małpa wszedł do bomy, ze starą Tambudzą, siedmiu białych marynarzy pierzchnęło w przerażeniu na jego widok, uciekając w przeciwną stronę.

Tarzan dostrzegł, że nie było między nimi Rokowa, nie próbował więc nawet ich doganiać, chodziło mu bowiem jedynie o ich wodza, udał się tedy do jego namiotu. Co do marynarzy był pewien, że odpokutują w dżungli swoje zbrodnicze postępowanie, jakoż przewidywania jego sprawdziły się, gdyż żaden z tych nieszczęśników nie powrócił do cywilizowanego świata.

Wszedłszy do namiotu Rosjanina, zastał tam pustki, chciał już tedy wyruszyć na poszukiwania. Tambudza jednakże poddała mu myśl, że Rokow udał się zapewne do wioski, zawiadomiony przez Mganwazama o bytności tam białego olbrzyma. Zawrócił tedy wraz ze starą do wioski, wyprzedzając ją znacznie. Całą jego nadzieją była myśl, że Janina jest jeszcze z Rokowem. W takim razie po pewnej walce uda mu się wydrzeć ją z rąk Rosjanina, żałował jednak, że nie ma przy sobie swojej drużyny, przewidywał bowiem, iż nie łatwą będzie sprawą wyrwać żonę z rąk dwóch takich łotrów jak Rosjanin i Mganwazam.

Gdy, ku swemu zdumieniu, nie znalazł w wiosce śladu ani Janiny, ani Rokowa, zawrócił natychmiast w stronę obozu, zanim stary Mganwazam zdołał uczynić jakikolwiek wysiłek, celem zatrzymania go u siebie.

Przeskakując z drzewa na drzewo, by sobie skrócić drogę, niebawem znalazł się na miejscu; teraz jego wyczulone powonienie dopomogło mu dojść do przekonania, że obie istoty, których szukał, niedawno temu zapuściły się w dżunglę, chwilę potem znalazł się na szlaku, tropiąc usilnie niewyraźne ślady.

Na kilka mil przed nim strwożona młoda kobieta szła ścieżką, wydeptaną przez dzikie zwierzęta, obawiając się, że lada chwila spotka się z drapieżnikiem lub dzikim człowiekiem.

Szła, instynktownie kierując się w stronę rzeki, skąd miała nieokreśloną nadzieję dostania się do morza, a stamtąd w cywilizowane strony, aż nagle stanęła na małej, znajomej sobie polance, na której to Anderssen oddał swe życie dla ocalenia jej, spotykając się z Rokowem.

Widząc drzewo, za którym Szwed ukrył ją i dziecko, przypomniała sobie fuzję i naboje, zostawione jej przez Anderssena, które tam właśnie rzuciła owej pamiętnej chwili. Miała wprawdzie przy sobie rewolwer, wyrwany Rokowowi, nie było tam jednak więcej jak sześć naboji, która to ilość nie mogła jej wystarczyć w zamierzonej wędrówce do oceanu.

Powstrzymując oddech, jęła gorączkowo szukać w dziupli drzewa, ukrytej tam broni, ku wielkiej jej radości, tak fuzja jak i naboje, leżały tam nietknięte. Przewiesiwszy broń przez ramię i opasawszy się pasem myśliwskim, czuła się niejako bezpieczniejsza i pokrzepiona na duchu.

Noc tę przespała na gałęzi drzewa, nazajutrz zaś, o brzasku, ruszyła znowu w drogę, nad wieczorem już, mając przejść przez niewielką łączkę, przeraziła się widokiem olbrzymiej małpy, wychodzącej z przeciwnej strony dżungli.

Wiatr dał silnie na łączce i Janina umieściła się za gęstym krzakiem pod wiatr, tak aby woń nie została odczuta przez wielkie zwierzę.

Małpa z wolna przechodziła przez łączkę, węsząc tuż przy ziemi, jak gdyby szukała czyichś śladów. Zaledwie uszła dwanaście kroków, gdy cztery podobne jej małpy, jedna po drugiej, zatrzymały się jakby dla wypoczynku.

Oglądały się przy tym w stronę dżungli, widocznie czekały na kogoś, jakoż po chwili nadbiegła olbrzymia pantera. Janina sądziła, że poluje ona na wielkie antropoidy, jakież jednak było jej

zdumienie, skoro wielki kot, widocznie w najlepszej komitywie z małpami, przysiadł przy nich, myjąc się starannie długim, chropowatym językiem.

Janina przypatrywała im się z ukrycia, drżąc o swoje bezpieczeństwo, wiedziała bowiem, że nic nie poradzi ze swą bronią, przeciw tak przeważającej liczbie wrogów, zdziwienie jej wzmogło się jednakże w dwójnasób, skoro ujrzała barczystego, czarnego wojownika, który wyszedł z dżungli, zbliżył się do całej gromady, przemawiając coś do niej. Po chwilce małpy, pantera i wojownik, przeszedłszy przez łączkę, zniknęli w przeciwnej stronie dżungli.

Z uczuciem niedowierzania i ulgi, Janina zerwała się na nogi i uciekła od tej zatrważającej czeredy, zapuszczając się w dżunglę, podczas gdy o pół mili za nią Rokow, idąc tym samym szlakiem, z trwogą śmiertelną przypatrywał się, ukryty za olbrzymim mrowiskiem, jak drużyna Tarzana, którą rozpoznał, przechodzi mimo niego. Skoro mu tylko zniknęli z oczu, puścił się pędem naprzód, aby się jak najwięcej oddalić od niej.

Gdy zatem Janina Clayton doszła do brzegu rzeki, która spodziewała się dostać do oceanu, Mikołaj Rokow był już niedaleko od niej.

Nad brzegiem rzeki spostrzegła wielkie czółno, wyciągnięte na wpół z wody i przywiązane do drzewa. Odwiązawszy sznur, Janina wyteżyła siły, aby spuścić czółno na wodę, było to jednak zadanie nie na jej wątłe ręce, wówczas przyszło jej na myśl, aby napełniwszy czółno balastem u steru, bujać tam i sam kabłąk łodzi i powoli wepchnąć ją na falę. Nie było pod ręką kamieni, zebrała tedy znaczną ilość suchych gałęzi i ku swej wielkiej radości przekonała się, że czółno powoli zaczyna ześlizgiwać się z zamulonego wybrzeża na wodę. Tak była zajęta osiągnięciem zamierzonego celu, że nie zauważyła człowieka, ukrytego za drzewem na skraju dżungli, z której co tylko wyszła sama, przyglądającego się jej pracy z okrutnym i szyderczym uśmiechem.

Chwyciła teraz za jedno z wiosł, leżących na dnie czółna, aby tym prędzej zepchnąć łódź na właściwe tory, wtem nagle wzrok jej padł na ową postać, która teraz wyszła z ukrycia. Z piersi jej dobył się rozpaczliwy okrzyk: poznała Rokowa.

Biegł teraz do niej krzycząc, aby czekała, gdyż inaczej wystrzeli, ponieważ jednak nie miał broni, nie było podobne sprawdzić czy będzie w stanie wykonać swe pogróżki.

Janina Clayton nie wiedziała, co zaszło po jej ucieczce z obozu, przypuszczała tedy, że ludzie Rokowa idą w ślad za nim.

Nie chciała jednakże wpaść w szpony tego łotra, jeszcze chwila a czółno znajdzie się na wodzie. Skoro już prąd uniesie ją wraz z czółnem, nic jej zatrzymać nie zdoła, gdyż Rokow zbyt był tchórzliwy, by rzucać się wpław w pogoni za nią, narażając się na pożarcie przez krokodyle.

Rokow ze swej strony postanowił skorzystać ze sposobności i wskoczyć do czółna, aby znaleźć się jak najdalej od Tarzana i jego czeredy. Był gotów wyrzec się z radością swoich zamiarów względem Janiny Clayton, gdyby była mu pozwoliła zająć obok siebie miejsce w czółnie. Byłby uczynił wszystkie możliwe obietnice, o ile by tego zaszła potrzeba.

Zorientowawszy się jednak w sytuacji przekonał się, że prośby i obietnice były tu zupełnie zbyteczne, ponieważ zdawało mu się, że do czółna mógł się dostać w każdym razie, ze względu na niewielką odległość dzielącą go od łodzi. Zanim jednak dobiegł, czółno, dzięki nadludzkim wysiłkom Janiny, wydostało się na rzekę, płynąc z wolna w stronę oceanu.

Nareszcie ocalona! Janina Clayton, szepcząc modlitwę dziękczynną, spostrzegła uśmiech tryumfu na twarzy Rosjanina. Skulona u steru czółna, uświadomiła sobie nagle, że oto znowu wpada w ręce okrutnego wroga. Rokow w błotnistym mule wybrzeża znalazł i podjął sznur, zwisający z czółna,

którym było ono przywiązane do brzegu, a który Janina zapomniała odciąć w swoim gorączkowym pośpiechu ucieczki.

ROZDZIAŁ XV

NA RZECE UGAMBI

Na pół drogi pomiędzy rzeką Ugambi a wioską Mganwazamów, Tarzan napotkał swoją drużynę, poruszającą się z wolna po jego śladzie. Mugambi z trudnością uwierzył, że Rosjanin i małżonka jego pana przeszli tak blisko nich, nie będąc zauważeni. Tarzan jednakże pokazał mu odciski ich kroków oraz miejsca, gdzie się chowali, aby uniknąć spotkania ze straszliwą gromadą.

Widoczne było, że Janina i Rokow szli oddzielnie. Tarzan przyszedł do tego wniosku, badając starannie ślady, doszedłszy jednak do wybrzeża rzeki, spostrzegł, że ślady te mieszały się teraz razem, ponieważ zaś na wybrzeżu nie było nikogo, dorozumiał się, że zapewne musieli odpłynąć czołnem w dół rzeki.

Wyprzedzając tedy swoją czeredę, popędził na przełaj do skrętu rzeki, gdzie zobaczył czołno, w którym u steru siedział Mikołaj Rokow.

Janiny w czołnie nie było. Na widok zajadłego wroga blizna na czole człowieka-małpy zaszła krwią i w przestrzeń rzucił swój straszliwy okrzyk triumfu.

Rokow zadrżał, gdy to złowrogie wezwanie zabrzmiało mu w uszach. Skulony na dnie czołna, z zębami szczękającymi ze strachu, patrzył na człowieka, którego lękał się najwięcej na całym świecie, biegnącego do brzegu wody.

Pomimo, iż Rokow czuł się na razie bezpiecznym, sam widok Tarzana pobudzał go do hysterii, przerażenie jego wzmogło się, gdy ujrzał, jak biały olbrzym rzuca się odważnie w niebezpieczne nurty podzwrotnikowej rzeki.

Potężnymi rzutami człowiek-małpa posuwał się w wodzie w stronę czołna. Rokow, chwyciwszy za jedno z wiosł, usiłował przyspieszyć bieg łodzi, zaś z przeciwnego brzegu zmarszczony krąg na powierzchni wody, świadczył o obecności nowego niebezpieczeństwa, posuwającego się ku na wpół nagiemu pływakowi.

Tarzan chwycił już za ster łódki. Rokow siedział skamieniały z przerażenia, niezdolny ruszyć ręką ani nogą, w oczekiwaniu strasznej Nemezys.

Wtem nagły zamęt w wodzie zwrócił uwagę pływaka, zrozumiał jego przyczynę, w tej samej chwili poczuł potężne szczęki, chwytające go za prawą nogę. Starał się z nich wydobyć i wskoczyć na łódkę. Byłoby mu się to udało, gdyby ta nagła przerwa nie była oprzytomniła Rokowa, który uderzył Tarzana wiosłem w głowę tak silnie, że człowiek-małpa zmuszony był puścić czołno.

Nastąpiła krótka walka na powierzchni wody, zamęt, chwilowe kołatanie się spienionych nurtów rzeki, po czym małpi Tarzan, pan dżungli, zniknął sprzed oczu ludzkich w bystrych wodach straszliwej i niezbadanej Ugambi.

Wyczerpany ze strachu Rokow siedział w łodzi, drżąc cały, nie wierząc jeszcze w szczęście,

jakie go spotkało, okrutny uśmiech ulgi i tryumfu ukazał się na jego twarzy i właśnie w chwili, gdy wieszował sobie śmierci wroga i możliwości bezpiecznego powrotu do siebie, straszliwy hałas na wybrzeżu zwrócił jego uwagę.

Wyjące dziko małpy Akuta, straszliwa pantera, błyskająca na niego zielonymi ślepiami, wreszcie barczysty, czarny wojownik, wygrażający mu pięścią, stali na wybrzeżu, skoro zaś łódź popłynęła dalej, oni popędzili równolegle z nią łądem, nie spuszczać jej z oka ani na chwilę. Zmora tej okropnej pogoni, towarzyszącej jego ucieczce uczyniła z Rokowa, człowieka w pełni sił, wygasłego, osiwiałego przedwcześnie starca.

Przeplątywał około ludnych wiosek, lecz gdy krajowcy chcieli mu udzielić gościnności, natychmiast zjawiała się straszna horda, rozpraszająca wszystkich i uniemożliwiająca mu wylądowanie.

Nigdzie nie mógł natrafić na ślad Janiny Clayton, od chwili, kiedy to chciał wtargnąć do jej czółna, ciągnąc do siebie zwieszający się sznur, i kiedy zagrożony przez nią śmiercią, uciekał przed lufą jej wycelowanej fuzji, nigdzie nie mógł już jej spotkać.

Wypuścił wówczas natychmiast sznur z ręki i widział, jak odpłynęła w łodzi, udał się tedy czym prędzej do pewnego dopływu rzeki, gdzie on i jego towarzysze ukryli swoje czółno, którym płynęli, ścigając Andersseną i lady Greystoke, a zasiadłszy w nim, jął płynąć w kierunku ujścia Ugambi. Drużyna Tarzana miała go ciągle na oku, osobliwie zaś pantera, ciskająca na niego z dala gniewne spojrzenia, napełniała go lękiem i grozą i byłby się zapewne chętnie wyrzekł swoich zawistnych planów względem rodziny Greystoke'ów, gdyby mógł sobie przez to zapewnić uwolnienie się od tak przerażającego towarzystwa.

Gdy znalazł się wreszcie przy ujściu rzeki, w serce wstąpiła mu nowa otucha, gdyż tam właśnie stał z zarzuconą kotwicą parowiec „Kincaid”; wylądowując, posłał go pod przewodnictwem Paulwiera po zapasy węgla, obecnie zaś zapewne statek oczekiwał tutaj na powrót swego wodza.

Jął wiosłować szybko w stronę statku, przerywając sobie od czasu do czasu głośnymi okrzykami i machaniem chustką na znak, że przybywa, aby zwrócić uwagę załogi. Nie słyszał jednakże żadnej odpowiedzi z parowca, który zdawał się opustoszały.

Z wybrzeża słyszał ryki i wycia czeredy Tarzana, tym więcej pragnął dostać się na pokład, by wyruszając w powrotną drogę, oddalić się stąd jak najprędzej.

Co się stało z załogą „Kincaidu”? Gdzie był Paulwier? Zadając sobie te pytania, płynął, wyteżając wszystkie siły, aż wreszcie łódź dziobem swoim zawadziła o burtę „Kincaidu”.

Rokow rzucił się do sznurowanej drabinki, zwieszającej się z burty, w tej samej jednak chwili posłyszał krzyk przestrogi, spojrzawszy zaś w górę, ujrzał wycelowaną ku sobie lufę karabinu.

* * *

Skoro Janina Clayton pozbyła się Rokowa z łodzi, grożąc mu śmiercią, płynęła bez przerwy, unoszona prądem rzeki i dopomagając sobie wiosłem, wreszcie po kilku dniach, dotarła do miejsca, w którym „Kincaid” zarzucił kotwicę.

Rokow nie płynął równie szybko jak ona, miał bowiem jedynie na myśli znalezienie się daleko od wybrzeża, po którym szły zwierzęta Tarzana, czółno jego wskutek tego natrafiło na mieliznę i na skały podwodne, dlatego to nadpłynął do ujścia Ugambi dopiero w dwie godziny po Janinie.

Lady Greystoke, zobaczywszy statek, ucieszyła się niezmiernie, przekonawszy się jednak, że był to „Kincaid” doznała bolesnego zawodu. Za późno było cofać teraz się, nie była dostatecznie silną, aby płynąć przeciw prądowi ciężkim czółnem, przyszło jej więc na myśl, że skoro Rokowa nie ma na

statku, łatwiej można będzie obietnicą sowitej nagrody, zmusić załogę do odwiezienia jej do Europy.

Czółno zbliżało się coraz więcej do pokładu statku, nikt stąd jednakże nie dawał znaku życia. Janina czuła, że niebawem prąd uniesie jej czółno poza obręb statku, o ile stamtąd nie spuszczą jej szalupy i nie pomogą jej wejść na pokład. Zaczęła głośno wołać pomocy, krzyki jej pozostawały jednakże bez odpowiedzi. Wreszcie, schwyciwszy za łańcuch kotwicy, przywiązała do niego sznur, wiszący u czółna, zdoławszy tym sposobem zatrzymać czółno i skierować go pod sznurowaną drabinę, po której z łatwością dostała się na pokład „Kincaidu”.

Przede wszystkim zwiedziła dokładnie statek, trzymając w pogotowiu fuzję, w razie niespodziewanego niebezpieczeństwa. Wkrótce odkryła przyczynę ciszy na statku. Załoga udała się zapewne na polowanie, zostawiając na straży dwóch majtków, którzy, zamknięci w kastelu statku, upiwszy się, spali teraz twardo. Z dreszczem obrzydzenia zeszła na dół i znalazła zapasy w spiżarni, pożywiła się nieco, po czym zasiadła na pokładzie, postanawiając, że nikt bez jej pozwolenia nie dostanie się na pokład „Kincaidu”.

Przez przeszło godzinę nie zauważyła nic, co by mogło grozić jej bezpieczeństwu, w końcu jednakże ujrzała z daleka czółno, a w nim siedzącego mężczyznę. Z łatwością poznała Rokowa i gdy starał się on wskoczyć na pokład, spotkał się z lufą nabitej fuzji, grożącej mu śmiercią.

Skoro Rosjanin zobaczył, kto chce mu przeszkodzić w dostaniu się na pokład, ogarnęła go wściekłość, nie szczędził młodej kobiecie przekleństw i obelg, widząc jednakże, iż taka taktyka nie popłaca, uderzył w pokorne prośby, na to wszystko otrzymał tylko jedną odpowiedź. Janina Clayton powtarzała ciągle, iż nigdy nie zgodzi się jechać na tym samym co on statku.

Ponieważ nie było innej rady, wielki ów tchórz wskoczył z powrotem do łodzi i z trudem dopłynął do przeciwnego wybrzeża rzeki, aby uniknąć czatujących na niego małp, pantery i czarnego wojownika.

Janina Clayton wiedziała, iż nie uda mu się tak łatwo samemu podpłynąć pod prąd do „Kincaidu”, nie lękała się tedy nowej napaści z jego strony. Poznała okropną czeredę, stojącą na wybrzeżu, jako tę samą, którą zauważyła, uciekając przez dżunglę, nie rozumiała jednak, w jakim celu doszła ona aż tutaj do ujścia Ugambi.

O zmierzchu strwożyły ją krzyki Rosjanina z przeciwległego brzegu, a chwilę później, kierując wzrok w stronę, w którą spoglądał Rokow, przeraziła się widokiem łodzi płynącej z prądem ku statkowi, w której - była tego pewna - mogli znajdować się tylko marynarze z załogi „Kincaidu”, wrogowie i gbury pozbawione serca.

ROZDZIAŁ XVI

W MROKACH NOCY

Skoro małpi Tarzan uświadomił sobie, że jego noga uwięziona została w potężnych szczękach krokodyla, nie stracił nadziei wyratowania się, jakby to miało miejsce z każdym zwykłym śmiertelnikiem.

Zanim wielki gad zaciągnął go pod wodę, zaczerpnął powietrza w płuca, nie przestając walczyć, aby się od niego wyzwolić, potwór jednakże, podniecony walką, płynął w dół coraz szybciej. Płuca Tarzana gwałtownie żądały powietrza. Czuł, że wystarczy mu życia dłużej jak na chwilę i oszalały z bólu zatopił ostrze swego kamiennego noża w pancerzu krokodyla.

Poczuł, że krokodyl zaciągnął go na błotniste leże na dno rzeki, był to rodzaj obszernego lochu, zdolnego pomieścić dwanaście podobnych legowisk. Ku swemu zdumieniu poczuł, że zwierzę szamocze się gwałtownie, jak gdyby oddychając z trudem, wreszcie silny dreszcz wstrząsnął potworem i po chwili opadł bez ruchu na błotnisty muł legowiska. Nóż kamienny trafił widocznie na drażliwe miejsce pomiędzy łuskami pancerza, pozbawiając życia zjadliwego krokodyla.

Pierwszą myślą Tarzana była ucieczka, wydawało się jednak bardzo nieprawdopodobnym, aby można było wypłynąć z owej nory, jakby jakiegoś podziemia, do której dostęp był starannie ukryty. Nawet o ile by doszedł do rzeki i wypłynął na jej powierzchnię, mógł być narażony na nowe niebezpieczeństwo, zanimby zdołał wylądować. Nie było jednak innej rady, Tarzan tedy, zaczerpnąwszy w płuca zgniłego powietrza podziemia, zaczął szukać po omacku drogi wyjścia.

Noga, za którą go pochwycił krokodyl, była mocno zraniona, kości jednak i mięśnie pozostały nienaruszone, cierpiał tylko ból dotkliwy, niewiele jednak sobie z tego robił, będąc przyzwyczajony do cierpienia.

Szybko pełzał i płynął przez ciemny korytarz, wychodzący z podziemia, w końcu zaś zdołał wydobyć się na nurty rzeki i odetchnął z ulgą. Nagle spostrzegł dwa łby krokodyli, płynących ku niemu. Z nadludzkim wysiłkiem tedy pochwycił oburącz, zwieszającą się nad rzeką, gałąź drzewa, rosnącego na wybrzeżu” i wciągnął się na nie ostatnim wysiłkiem - w samą porę - gdyż w tej samej chwili dwie, rozwarte żarłocznie paszczęki, znalazły się w bliskości drzewa i dwie pary ślepi spoglądały łakomie i żałośnie na zwierzynę, która im tak niespodziewanie uciekła.

Skoro wypoczął nieco i obwiązał sobie nogę chłodzącymi liśćmi, wybrał się znowu na poszukiwanie czołna; znalazł się teraz na przeciwległym brzegu rzeki, było mu to jednak bez różnicy ze względu na to, że z każdego brzegu mógł dojrzeć, co się na rzece dzieje. Ku swemu strapieniu przekonał się, że noga jego więcej ucierpiała od szczęki krokodyla, niż przypuszczał, tak że z trudem mógł chodzić, a już o przeskakiwaniu z drzewa na drzewo mowy być nie mogło.

Od starej Murzynki Tambudży Tarzan dowiedział się, że młoda, biała kobieta, choć rozpaczała

nad stratą dziecka, zwierzyła się jej na migi, że dziecko nie było jej rodzonym synkiem. Człowiek-małpa zatem przyszedł do wniosku, że może to była inna zgoła kobieta, która uciekła z Anderssenem i z dzieckiem, gdyż nie mógł sobie wytłumaczyć inaczej wypierania się przez nią pokrewieństwa z malcem.

Im więcej nad tym rozmyślał, tym wydawało mu się prawdopodobniejszym przypuszczenie, że żona jego pozostała bezpieczna w Londynie, nieświadoma strasznego losu, jaki spotkał jej pierworodnego.

Myśl ta sprawiła mu pewnego rodzaju ulgę, nie przestał jednak zastanawiać się nad ciężkimi krzywdami, jakie wyrządził Rokow jemu i jego najdroższym, nie mógł mu zwłaszcza darować tak okropnej śmierci synka. Rozmyślania te sprawiły, iż krew uderzyła mu do głowy, szrama na czole zaś zaczerwieniła się niby płomień. Mówił do siebie urywanymi słowami, pomrukiwał groźnie, wystraszając pomniejsze zwierzęta dżungli. Kilka razy wojownicy, zamieszkujący nadbrzeżne wioski, próbowali go napaść, lecz wówczas straszliwy okrzyk małpy-samca, wydawany przez Tarzana, rozpędzał ich w jednej chwili, przejmując ich zabobonną trwogą.

Pomimo iż zraniona noga dokuczała mu bardzo, Tarzan jednak znalazł się u ujścia Ugambi tylko parę godzin później od Rokowa i Janiny.

Rzeka i otaczająca ją dżungla tak były pogrążone w mrokach, że nawet Tarzan, którego oczy przywykły do ciemności, nie mógł nic rozpoznać, na przestrzeni dziesięciu kroków. Nie marzyło mu się oczywiście, aby jaki statek mógł mieć tu właśnie, w pobliżu zarzuconą kotwicę, nie mógł zauważyć „Kincaida”, gdzie wcale nie zostały zapalone światła tej nocy.

Uwaga jego została nagle zwrócona regularnym pluskiem w pewnej odległości od brzegu, prawie naprzeciw miejsca, gdzie się znajdował. Skamieniały jak posąg, wsłuchiwał się w te odgłosy, które nagle ucichły. Chwilę potem wprawne ucho człowieka-małpy rozróżniło inny odgłos, jak gdyby stąpanie nóg obutych w trzewiki skórzane po drabince sznurowej statku. A jednak nie było tam przecież żadnego parowca w pobliżu.

Gdy tak stał, chcąc wyczerpanym wzrokiem przebić mroki zachmurzonej i posępnej nocy, przez nurty wody echo przyniosło mu donośny odgłos wystrzałów i przeraźliwy krzyk kobiety.

Niepomny na swoją ranę ani na straszliwą przygodę, która go spotkała z rana, małpi Tarzan nie zawahał się ani chwili, słysząc ów krzyk przesycony lękiem. Jednym susem rzucił się w wodę i płynął w ciemnościach wśród bystrych nurtów rzeki, kierując się jedynie owym rozpaczliwym wezwaniem na pomoc, które rozległo się na krótką chwilę, zamierając niby senna złuda.

* * *

Łódź, która zwróciła uwagę Janiny, stojącej na straży na pokładzie „Kincaidu”, została spostrzeżona przez Rokowa z jednego wybrzeża, przez Mugambiego zaś i dziką horde zwierząt z drugiej. Nawoływania Rosjanina skierowały łódź w jego stronę, porozumiewszy się z nim, załoga czółna skierowała je w stronę „Kincaidu”, stamtąd jednak rozległy się dwa strzały i jeden z majtków, siedzących w łodzi, przewrócił się i wpadł martwy do wody.

Mimo to jednak łódź posuwała się z wolna w tym samym kierunku, cofnęła się dopiero, gdy po trzecim wystrzale drugi majtek osunął się martwy na jej dno, pozostali marynarze skierowali się tedy do wybrzeża, na którym znajdował się Rokow, gdzie pozostali aż do chwili gdy zapadł zmrok.

Dzika horda rozłożona na przeciwległym wybrzeżu, pozostawała pod kierownictwem Mugambiego. On jeden rozróżniał kto był wrogiem, a kto przyjacielem jego utraconego pana.

Gdyby mógł się dostać wraz ze zwierzętami do czółna lub na pokład „Kincaidu”, byłyby się one

szybko rozprawiły z każdą znaną tam istotą, czarne nurty Ugambi stanowiły jednakże nieprzebytą przepaść pomiędzy Mugambim i jego drużyną, a tymi, których śledzili.

Mugambi wiedział coś niecoś o przejściach Tarzana, o jego wylądowaniu na wyspie i pogoni za białymi po Ugambi. Wiedział, że jego dziki pan szuka swej żony i dziecka, porwanych przez niedobrego białego mężczyznę, za którym śledził bez ustanku.

Wierzył mocno, że ten sam niedobry biały zabił wielkiego, białego olbrzyma, którego Mugambi czcił i kochał tak, jak żadnego z czarnych swoich wodzów. Tak więc w zaciętym sercu dzikiego wojownika powstała namiętna żądza zemsty, którą wyrzucić pragnął na mordercy człowieka-małpy.

Gdy jednak ujrzał czółno, zbliżające się do przeciwległego brzegu i zabierające Rokowa, gdy zobaczył, że kieruje się ono w stronę „Kincaidu”, zrozumiał, że należy mu się czym prędzej wystarać o łódź, aby móc przewieźć zwierzęta na pokład parowca i tam rozprawić się z wrogiem.

Tak więc, zanim Janina Clayton wystrzeliła po raz pierwszy, mierząc do czółna Rokowa, Mugambi i zwierzęta Tarzana zniknęły w tajnikach dżungli.

Skoro Rosjanin i jego banda, składająca się z Paulwiera i kilku z załogi, pozostawionych na „Kincaidzie” celem zaopatrzenia go w węgiel, cofnęli się przed strzałami, Janina uświadomiła sobie, że zyskała tylko na czasie, że w końcu, skoro się wyczerpią naboje, zostanie bezbronna, postanowiła zatem zaryzykować ostatni śmiały krok, aby uwolnić się raz na zawsze od straszliwej przemocy Rokowa.

Mając ten cel na myśli, weszła w układy z dwoma majtkami, których to zastała w kastelu pokładu i których tam zamknęła, otrzymawszy zaś od nich obietnicę współdziałania, pod groźbą kary śmierci, wypuściła ich, skoro tylko zapadła noc, powlekając statek nieprzebitym mrokiem.

Z bronią w ręce, aby ją móc użyć w razie ich nieposłuszeństwa, wypuściła jednego po drugim, nakazując im podnieść ręce do góry, aby przekonać się, czy nie mają ukrytych rewolwerów. Uspokoiwszy się w tym względzie, zapędziła ich do roboty, przykazując im rozciąć sznury przywiązujące „Kincaid” do łańcuchów kotwicy, powzięła bowiem śmiały zamiar puszczenia się na pełne morze, woląc zdać się na łaskę żywiołów, niż wpaść w ręce przeklętego Rokowa.

Była przy tym możliwość, iż „Kincaid” zostanie spostrzeżony przez jakiś przepływający okręt, a ponieważ zapasów i wody było tam pod dostatkiem, wedle zapewnień dwóch majtków, okresy burz zaś na oceanie minęły właśnie, miała wszelką nadzieję, że zamiar jej zostanie uwieczniony pomyślnym skutkiem.

Ciemna noc, roztaczająca się wszędzie nad dżunglą i nad rzeką, nadawała się wybornie do urzeczywistnienia jej planu.

Wrogowie jej nie mogli dostrzec tego, co się działo na pokładzie, Janina więc spodziewała się, że zanim nadejdzie brzask, „Kincaid” zostanie uniesiony przez fale aż do prądu Benguełi, działającego wzdłuż północnego wybrzeża Afryki, ponieważ zaś przeważał wiatr południowy, miała nadzieję, że oddali się od ujścia Ugarnbi, zanim Rokow uświadomi sobie, że statek odpłynął.

Stojąc nad dwoma ludźmi, zajętymi odcinaniem sznurów, młoda kobieta odetchnęła z ulgą widząc, że ostatni pęka pod cięciem toporków i że chwila wyzwolenia jest już bliska.

Zawsze pod groźbą nabitego rewolweru wydawała im stosowne rozkazy, aż wreszcie - ulegając ich prośbom i zapewnieniom o gotowości wiernego jej służenia - pozwoliła im pozostać na wolnej stopie, nie zamykając ich w kastelu, wedle pierwotnego postanowienia.

Przez kilka minut „Kincaid” posuwał się szybko razem z prądem, zatrzymał się nagle, zawadziwszy o mieliznę, po paru minutach jednak wyruszył znowu naprzód.

Właśnie w tej chwili, gdy Janina Clayton zacierała ręce z radości na myśl o bliskiej nadziei ratunku, doszły ją strzały, rozbrzmiewające niedaleko wybrzeża i rozpaczliwy krzyk kobiety.

Dwaj majtkowie na odgłos strzałów nabrali pewności, że to ich naczelnik zbliża się ku statkowi, że zaś nie mieli najmniejszej ochoty odbywać podróży w tak uciążliwych warunkach, porozumiewali się szybko między sobą, aby obezwładnić młodą kobietę i wezwać Rokowa i jego towarzyszy na pomoc.

Zdawało się, że los im sprzyja, bo strzały odwróciły od nich uwagę Janiny Clayton, zapomniawszy więc o czuwaniu nad nimi, pobiegła na koniec pokładu, próbując daremnie rozpatrzyć się w ciemności, skąd pochodziły strzały i ów krzyk kobiecy.

Widząc, że porzuciła broń, dwaj majtkowie zakradli się cichaczem i - stanąwszy za nią - chwycili ją za ręce, pociągając przemocą na środek pokładu.

Spostrzegła za późno grożące jej niebezpieczeństwo, próbując zaś daremnie wyzwolić się z ich rąk, zauważyła ciemną postać mężczyzny, wskakującego na burtę „Kincaidu”.

Wówczas widząc, że wszystkie jej wysiłki spełzły na niczym, dzielna Amerykanka z głuchym jękiem wyrzekła się nierównej walki.

ROZDZIAŁ XVII

NA POKŁADZIE „KINCAIDU”

Skoro Mugambi zawrócił wraz ze swoją czeredą w stronę dżungli, miał określony cel na widoku. Chodziło mu mianowicie o wynalezienie czółna, w którym by można było przewieźć zwierzęta Tarzana na pokład widniejącego z dala statku.

O szarej godzinie znalazł czółno ukryte w gęstwinie u ujścia niewielkiego dopływu rzeki Ugambi, nie namyślając się wiele, usadowił się w nim wraz ze zwierzętami, nie zauważywszy, że na dnie czółna siedziała skulona i śpiąca czarna kobieta.

Dopiero gdy łódź już była w ruchu, Mugambi zauważył groźne pomruki jednej z małp, zbadawszy zaś ich przyczynę, z trudnością przeszkodził zwierzęciu w pochwyceniu za gardło wylęknionej Murzynki.

Wyłożywszy małpom i panterze, iż należało zostawić w spokoju tę ludzką istotę, Mugambi jął badać kobietę, która powiedziała mu z płaczem, że schroniła się w zarośla do czółna, uciekając z domu, rodzice jej bowiem chcieli ją zmusić do poślubienia starego wojownika, do którego czuła nieprzewyciężony wstręt.

Mugambiemu nie była na rękę jej obecność, że jednak nie miał chwili czasu do stracenia, postanowił płynąć, nie zważając na nieproszoną pasażerkę.

Dopływając do parowca, zdumiał się widząc, iż ten zdaje się cofać przed nim, jednocześnie spostrzegł inne, płynące ku statkowi czółno, człowiek stojący w kabłąku czółna jął go wyzywać obelżywie, nie rozpoznając jeszcze jakiego rodzaju podróżni zajmują łódź Mugambiego.

W odpowiedzi na obelgi dał się słyszeć groźny pomruk pantery i człowiek ten odczuł błyskające gniewem spojrzenie zwierzęcia, utkwione w nim z zaciętością.

Rokow, uświadamiając sobie niebezpieczeństwo, grożące jemu i załodze, wydał rozkaz strzelania, strzały te i krzyk przerażonej Murzynki usłyszeli jednocześnie Tarzan i Janina z dwóch przeciwległych krańców.

Tarzan płynąc na oślep w kierunku, skąd rozległ się krzyk, zdumiał się, spostrzegając nagle ciemny kadłub statku, tam gdzie spodziewał się zastać wolną przestrzeń rzeki. Skoro zwinny człowiek-małpa kilkoma rzutami znalazł się tuż przy burcie i wskoczył na pokład, posłyszał odgłosy szamotania się na drugim końcu pokładu. Skradając się na palcach w tę stronę, dostrzegł przy blasku księżyca, który w tej samej chwili właśnie wyłonił się spośród przysłaniających go gęstych chmur, dwie postacie męskie, szarpiące bezbronną kobietę.

Nie był zupełnie pewny, czy była to ta sama kobieta, której to towarzyszył Anderssen w ucieczce, podejrzewał jednak mocno, że tak być musi, jak również był pewien, że los zawiódł go znowu na pokład „Kincaidu”.

W każdym razie nie stracił czasu na próżne rozmyślenia, kobieta była narażona na przemoc dwóch gburów, to mu wystarczyło, aby stanąć w jej obronie, w mgnieniu oka zatem dwaj majtkowie poczuli ciężkie pięści człowieka-małpy i zostali odrzuceni od swej ofiary.

- Co to ma znaczyć?! - krzyknął.

Nie mieli czasu odpowiedzieć, gdyż na dźwięk tego głosu, młoda kobieta zerwała się z radością, rzucając się ku nowemu przybyszowi.

- Tarzan! - zawołała w uniesieniu.

Człowiek-małpa kopnął dwóch majtków na drugi koniec pokładu i z okrzykiem niedowierzania przycisnął do piersi małżonkę. Powitanie ich nie trwało jednak długo.

Zaledwie rozpoznali się wzajemnie, gdy oto sześciu ludzi wdrapało się na pokład „Kincaidu”. Na czele ich był Rosjanin. Skoro blask księżycy oświetlił pokład, Rokow poznał lorda Greystoke i gorączkowo zakomenderował: ognia!

Tarzan umieścił Janinę za kajutą, około której stali, i szybkim susem zbliżył się do Rosjanina. Dwaj ludzie, stojący za Rokowem, dali ognia, reszta jednakże zajęta była czym innym, albowiem po drabince sznurowej dostała się na pokład straszliwa czereda zwierząt, Najpierw szło pięć olbrzymich, skowyczących małp, za nimi wysoki, czarny wojownik, wymachujący włócznią, za nim zaś jeszcze Szita - pantera, z rozwartą paszczą i błyskającymi ślepiami. Strzały, wycelowane do Tarzana, chybiły, byłby się ponownie rzucił tedy na Rokowa, lecz ten zawołany tchórz, cofnął się za swoich ludzi, krzycząc wniebogłosy i chroniąc się do kastelu pokładu.

Tarzan nie mógł za nim pobiec, mając przed sobą dwóch majtków, z którymi się musiał rozprawić, około niego Mugambi, małpy i Szita siały spustoszenie i grozę śmierci wśród spłoszonej załogi. Czterech ludzi jednakże zdołało umknąć i schowało się w kastelu barykadując się. Tam znaleźli Rokowa i, oburzeni na niego za tchórzliwe porzucenie ich, skorzystali ze sposobności, aby się zemścić na znienawidzonym naczelniku za jego okrutne obchodzenie się z nimi podczas podróży, które wielce dało im się we znaki.

Mimo tedy jego próśb i błagań, wypchnęli go na pokład, rzucając go na pastwę okropnym wrogom, przed którymi sami znaleźli ucieczkę.

Tarzan spostrzegł, jak Rokow wyszedł ze swego ukrycia, inne oczy jednakże spostrzegły go pierwszej jeszcze i Szita, z rozwartymi żarłocznie szczękami, sunęła cicho ku oniemiałemu z trwogi Rosjaninowi.

Skoro Rokow ją spostrzegł, wołania jego o pomoc rozbrzmiały rozpaczliwie w przestrzeni, stał jak sparaliżowany przed okropnym potworem, skradającym się ku niemu.

Tarzan postąpił krok naprzód w stronę Rosjanina, żądza zemsty rozpałała mu krew.

Nareszcie dostał w swoją moc mordercę ukochanego dziecka, zada mu teraz śmierć, na jaką Rokow zasłużył od dawna. W tej samej chwili jednak spostrzegł, iż Szita ma zamiar pozbawić go łupu. Zwrócił się do niej z ostrym napomnieniem, Rosjanin zaś na dźwięk jego głosu nabrał nagle energii i jął uciekać na przeciwny koniec pokładu, za nim poskoczyła pantera - Szita.

Tarzan miał już zamiar gonić oboje, gdy poczuł dotknięcie miękkiej ręki na swoim ramieniu, obejrzał się, była to Janina. - Nie odchodź ode mnie - szepnęła - boję się zostać sama. Tarzan spojrzawszy poza nią, małpy Akuta zbliżały się ku niej, łuskając groźnie kłami i skowycząc z cicha.

Człowiek-małpa krzyknął na nie, rozkazując im się cofnąć. Zapomniał na razie, iż były to tylko zwierzęta, niezdolne odróżnić przyjaciół od wrogów, których dzikie natury podniecone zostały walką z załogą statku i obecnie każda ludzka istota wydała im się pożądanym kąsem.

Tarzan, spojrzawszy w stronę Rosjanina, stojącego w najodleglejszym krańcu statku i drżącego z trwogi i śmiertelnego lęku, spostrzegł, jak Szita zbliża się ku niemu, czołgając się na brzuchu i wydając dzikie pomruki. Rokow rozejrzał się dokoła, przekonując się, że nikąd nie może się spodziewać ratunku, gdyż oto w dolnej części statku czyhały na niego małpy Akuta, żadne uchwycić go w swoje łapy.

Rokow nie miał siły uczynić najmniejszego ruchu, był jakby sparaliżowany, kolana drżały pod nim. Wydał ostatni, rozpaczliwie brzmiący jęk i osunął się na ziemię, wówczas Szita rzuciła się na niego.

Gdy wielkie jej kły rozdzierały mu gardło i pierś, lady Greystoke odwróciła się ze wstrętem. Tarzan jednak spoglądał na ten straszny widok z zimnym uśmiechem zadowolenia.

Czerwona blizna, płonąca na jego czole przed chwilą, zbladła teraz, wracając do zwykłej barwy. Rokow bronił się bezskutecznie przeciw strasznej Nemezys, która w postaci Szity zadawała mu teraz zasłużoną karę za jego niezliczone zbrodnie. Gdy wreszcie legł bez ruchu, Tarzan zbliżył się do ciała, aby na prośby Janiny wyrwać je Szicie i pogrzebać na wybrzeżu, wielki kot jednakże nie dał się odciągnąć od łupu i wyszczerzył nawet kły na ukochanego pana, tak że Tarzan zniewolony był zamiaru zaniechać.

Przez całą tę noc pantera Szita siedziała nad trupem Mikołaja Rokowa. Pokład „Kincaidu” był zalany krwią. Wielkie zwierzę rozkoszowało się swoją biesiadą w świetle podzwrotnikowego księżycy, gdy nazajutrz zaś słońce wstało, tylko garść połamanych i poobgryzanych kości pozostała po największym wrogu Tarzana. Z załogi „Kincaidu” pozostało czterech uwieczonych marynarzy, reszta zginęła w szponach małp i pantery, brakowało również i Paulwiera, który gdzieś zniknął bez śladu. Tarzan postanowił przy pomocy pozostałych ludzi, pomiędzy którymi był i sternik, wyruszyć w stronę wyspy w dżungli, o świcie jednak wiatr, dmący silnie z zachodu, przeszkodził im w urzeczywistnieniu tego zamiaru i przez cały następny dzień statek pozostał przy ujściu rzeki. Dzika horda przechadzała się bez żadnych przeszkód po pokładzie w ciągu dnia. Tarzan bowiem i Mugambi nauczyli swą drużynę, iż nie wolno rzucać się na nikogo z „Kincaidu”, na noc jednak zamykali zwierzęta na dole, pod pokładem.

Tarzan nie posiadał się z radości, skoro żona opowiedziała mu, że dziecko zmarłe na gorączkę w wiosce Mganwezama nie było jego synkiem. Do kogo mogło ono należeć i co się stało z ich własnym niemowlęciem, tego nie umieli sobie wytłumaczyć, ponieważ zaś Rokow nie żył, Paulwier zaś zniknął sprzed oczu, musiało to na razie pozostać tajemnicą.

Doznawali jednak pewnego uczucia ulgi w przeświadczeniu, że mogli mieć nadzieję odzyskania synka. Jasne bowiem było dla nich, że mały Jack nie został sprowadzony na pokład „Kincaidu”. Anderssen byłby o tym wiedział, a przecież kilkakrotnie zapewniał Janinę, że niemowlę - przyniesione jej w noc ich ucieczki z „Kincaidu” - było jedynym dzieckiem, znajdującym się na statku od czasu wyruszenia tegoż z Dowru.

ROZDZIAŁ XVIII

PAULWIER KNUJE ZEMSTĘ

Gdy Janina i Tarzan stali na pokładzie statku, opowiadając sobie wzajem szczegóły nadzwyczajnych przygód, które ich spotkały od czasu rozstania się w Londynie, na wybrzeżu śledziła ich ukryta w zaroślach postać, obrzucając ich nienawistnym spojrzeniem mściwych oczu, wyglądających spod krzaczastych brwi.

W głowie Aleksandra Paulwiera, przypatrującego się z ukrycia niedoszłym ofiarom, roiło się od pomysłów zemsty, skierowanej głównie do człowieka, który w wyobraźni złoczyńcy, pozbawionej uczucia sprawiedliwości, był jedynym powodem nieszczęść Rokowa i Paulwiera, przyczyniając się przed kilkoma laty do wyjawienia ich przestępstw, obecnie zaś wymykając się z zastawionych na niego sidła. Za każdym nowym pomysłem, Paulwier przychodził do wniosku, że nic nie zdoła skutecznego działać, dopóki zdradliwe nurty rzeki Ugambi będą go oddzielały od przedmiotu jego nienawiści.

Postanowił zatem przewyciężyć swój strach przed niebezpieczeństwami dżungli, udać się do wioski Mosulczyków, leżącej w pewnej odległości od brzegu rzeki, tam zaś wystarawszy się o czołno, podpłynąć nocą do „Kincaidu” i zbuntować załogę, namawiając ją do pozbycia się ze statku Tarzana i jego straszliwej drużyny.

W kajucie, którą Paulwier zajmował podczas swego pobytu na statku, znajdowała się broń oraz naboje, była przy tym schowana w skrytce stolika jedna z tych maszyn piekielnych, budowa których zajmowała wiele czasu Paulwierowi, kiedy to należał do związku nihilistów rosyjskich, dopóki nie wydał swoich towarzyszy w ręce policji w zamian za złoto i obietnicę wolności.

Paulwier wzdrygnął się cały, przypomniawszy sobie przekleństwo, jakie jeden z towarzyszy, zdradzonych przez niego, rzucił w jego stronę, ginąc na szubienicy. Odrzuciwszy to przykre wspomnienie, jął rozmyślać nad sposobem dostania się do maszyny, której odpowiednie nakręcenie wystarczało, aby obrócić w perzynę cały „Kincaid” i pozostających na nim pasażerów.

Paulwier oblizał się z radości, radując się zawczasu tą myślą, popędził teraz szybciej, przewyciężając zmęczenie, aby móc uzyskać czołno i zjawić się na czas na wybrzeżu Ugambi, zanim „Kincaid” wyruszy stamtąd na pełne morze. Wszystko zależało oczywiście, od tego, kiedy „Kincaid” odjedzie. Rosjanin zdawał sobie sprawę, że może to nastąpić tylko w dzień, wiatr wschodni, dmący teraz silnie, stanowił poważną przeszkodę w podróży, jedynie z tego powodu statek nie opuszczał ujścia rzeki, jeżeli zaś wiatr ów potrwa, odjazd odwlecze się prawdopodobnie do następnego dnia z rana.

W tym wypadku zamiar Paulwiera miałby większe prawdopodobieństwo powodzenia. Południe minęło już dawno, gdy Paulwier doszedł do wioski Mosulczyków, leżącej nad

dopływem Ugambi. Tam został on przyjęty z niedowierzaniem i niechęcią przez wodza plemienia, któremu tak jak wszystkim, mającym do czynienia z Rokowem i Paulwierzem, dała się we znaki chciwość i dokuczyło okrucieństwo dwóch przestępców.

Skoro Paulwier poprosił o czółno, wódz wymamrotał słowa odmowy i rozkazał białemu opuścić natychmiast wioskę. Otoczony przez gniewnych wojowników, wyczekujących zda się sposobności, aby zakłuć go swymi włóczniami, Rosjanin zmuszony był wycofać się z owej osady. Dwunastu zbrojnych ludzi odprowadziło go do skraju polanki, dając przestrożę, aby nie odważył się więcej ukazać między nimi. Tłumiąc gniew, Paulwier zapuścił się w dżunglę, lecz skoro tylko stracił z oczu wojowników, zawrócił znowu w kierunku dopływu rzeki, mając ciągle nadzieję znalezienia jakiegoś czółna.

Obecnie, oprócz pragnienia zemsty, do wykonania której czółno było mu niezbędne, kierowała nim również konieczność samoobrony wobec niebezpieczeństwa, grożącego mu ze strony dzikich.

Położył się nad brzegiem rzeki w zaroślach wypatrując, czy nie zjawi się czółno, niezbędne mu do wykonania jego planów.

Rosjanin nie potrzebował długo czekać, gdyż niebawem od strony wioski zjawiło się czółno, którym kierował młody chłopiec z plemienia Mosulczyków.

Skoro czółno zbliżyło się do naturalnego kanału, łączącego dopływ z rzeką Ugambi, siedzący w nim chłopiec pozwolił się unieść prądowi, sam zaś zaprzestał wiosłować, rozciągnął się wygodnie na dnie łódki, kołysany przez fale.

Prąd unosił nieświadomego niebezpieczeństwa chłopaka, podczas gdy Paulwier, niby srogie fatum, szedł za nim krok w krok, czołgając się po ziemi w nadbrzeżnych zaroślach.

W odległości jednej mili od wioski, czarny chłopiec zanurzył znowu wiosła w wodę, kierując się ku wybrzeżu, i wreszcie przywiązał czółno do gałęzi, nachylającego się nad wodą drzewa. Ruchy chłopca były leniwe i ociężałe, tak jak gdyby zaraził się od leniwego biegu małej rzeczki, rzucającej się w czarne nurty Ugambi. Jak wąż czatujący na swą ofiarę, Rosjanin z ukrycia swego śledził nieświadomego niebezpieczeństwa chłopca. Wzrokiem mierzył postać właściciela czółna obliczając, czy będzie mu trzeba wiele siły zużyć na walkę z nim.

- Czyż ten bałwan nigdy nie wysiądzie z czółna? - pomyślał Paulwier, spoglądając zawistnie na czarnego, który tymczasem oglądał łuk, sprawdzał ilość strzał w kołczanie, ziewnął parę razy, wreszcie - spojrzawszy na słońce - wzruszył ramionami, jak gdyby stwierdzając, że ma dość czasu na polowanie i rozciągnął się na dnie czółna, przymykając powieki. Wkrótce regularny oddech i odgłosy chrapania przekonały Rosjanina, że pora do działania nadeszła. Ostrożnie, na palcach, skradał się do śpiącego, wtem na szelest poruszonej przez niego gałęzi, chłopiec drgnął we śnie. Paulwier przystanął, nastawiając rewolwer, wreszcie przekonawszy się, że stosowna chwila nadeszła, pociągnął za cyngiel. Rozległ się wystrzał i śpiący, trafiony w samo serce, zasnął na wieki z niewinnym uśmiechem, zarysowującym się na jego licach. Morderca nie zawahał się wcale w chwili stanowczej, nie wzruszył go widok bezbronego chłopca, którego tak niesprawiedliwie pozbawił życia.

Uniósłszy trupa, rzucił go w wodę, sam zasiadając na jego miejsce w czółnie i wiosłując gwałtownie, pędzony w kierunku Ugambi, jedną tylko myślą, dopłynięcia w porę do statku.

Tychczasem zmierzch zapadał, wkrótce Paulwier zmuszony był torować sobie drogę po ciemku, przez cały czas pozostając w niepewności, czy jeszcze zastanie parowiec na miejscu.

Toteż z prawdziwą ulgą rozeznał kontury „Kincaidu” przy mdłym świetle latarni, palącej się na

pokładzie.

Ostrożnie podjechał pod burtę statku i wspiął się na pokład po sznurowanej drabince.

Rozejrzał się z lękiem, obawiając się spotkania z dzikim zwierzem z czeready Tarzana, na pokładzie jednak nie było nikogo, tylko w górnym pomoście paliła się latarnia, tam wślizgnął się Paulwier i spostrzegł jednego z marynarzy, znanego rzezimieszka, na którego współudział bardzo liczył, czytającego książkę.

Podszedł do niego, wymawiając szeptem jego imię. Człowiek ów, oderwawszy oczy od książki, spojrzał zdumiony na pomocnika Rokowa, wymawiając przekleństwo:

- Tam do licha! - zawołał. - Skąd się pan tutaj wziąłeś? Sądziliśmy wszyscy, żeś pan poszedł tam, dokąd dawno diabeł powinien pana zabrać. Lord Greystoke będzie uszczęśliwiony ze spotkania pana!

Paulwier przybliżył się do majtk. Przyjazny uśmiech rozjaśnił mu twarz, wyciągnął do niego rękę, jak gdyby witając w nim odzyskanego przyjaciela. Majtek udał, że nie widzi wyciągniętej dłoni, nie odpowiedział też na uśmiech.

- Przyszedłem wam pomóc - jął tłumaczyć Paulwier - pomóc w pozbyciu się Anglika i jego bestii, wówczas wrócimy w cywilizowane strony. Możemy się wkraść do nich, podczas gdy śpią, to znaczy rozprawić się z Greystokiem, jego żoną i tym wstrętnym Mugambim, wówczas damy radę zwierzętom. Gdzież oni śpią?

- W kajutach na dole - odparł majtek - ale posłuchaj tylko, Paulwier. Nie masz najmniejszego prawa buntować nas przeciwko Anglikowi. Dostyc mieliśmy obcowania z tobą i z tamtym łajdakiem, który marnie zginął, przeczuwam, że taki sam koniec i ciebie czeka.

Obchodziliście się z nami jak z psami, jeżeli zaś sądzisz, że zasłużyłeś sobie za to na naszą miłość, wybij to sobie z głowy.

- Chcesz powiedzieć, że masz zamiar mnie wydać? - zapytał Paulwier.

Majtek skinął twierdząco głową, po chwili namysłu jednak dodał: - Chyba, że mi się opłaci wypuścić cię stąd, zanim Anglik spostrzeże twoją obecność.

- Czyżbyś chciał zapędzić mnie w dżunglę? - zagadnął Paulwier. - Wiesz przecież, że zginąłbym tam w ciągu paru dni.

- Tam przynajmniej miałbyś jakąkolwiek nadzieję zachowania życia, podczas gdy tu zamordowałyby cię niechybnie moje drapieżne druchy, które na twoje szczęście spoczywają teraz, nieświadome twej obecności.

- Oszalałeś! - zawołał Paulwier. - Czyż nie wiesz, że Anglik każe was wszystkich powiesić, skoro bowiem tylko powrócicie do Europy, wyda was w ręce władzy!

- Nic podobnego - odparł marynarz. - Powiedział już nam, że nic się nam złego nie stanie, ponieważ byliśmy tylko ślepyimi narzędziami w rękach twoich i Rokowa, rozumiesz?

Przez pół godziny Rosjanin prosił i groził, był już bliski płaczu, obiecywał majtkowi nadzwyczajne nagrody, to znowu straszyl go okropną karą, czekającą go z rąk Anglika.

Marynarz jednakże był niewzruszony.

Wyłumaczył dobitnie Rosjaninowi, że dwie drogi tylko stoją przed nim otworem: albo zostanie w tej chwili stawiony przed lordem Greystoke, albo musi okupić możliwość powrotu do dżungli, wyzbywając się każdego grosza na korzyść tego, którego chciał namówić do buntu.

- Musisz się prędko zdecydować w tę albo w tamtą stronę, bo nie mam czasu na ceregiele - dodał szorstko marynarz.

- Pożałujesz tego! - próbował go zbić z tropu Rosjanin.

- Milcz durniu! - krzyknął groźnie majtek. - Bo zobaczymy, kto czego pożałuje!

Paulwier nie miał bynajmniej ochoty wpaść w ręce Tarzana, lękając się śmierci, na którą aż nadto zasłużył. Obawa zatem przed niebezpieczeństwami dżungli wydawała mu się mniej straszną, niż znalezienie się przed obliczem człowieka-mały.

- Kto zamieszkuje w mojej kajucie? - zapytał.

- Stoi pustkami - odparł marynarz. - Lord i lady Greystoke zajmują tę największą, w drugiej śpi podszyper, twoja jest wolna.

- Pójdę tam po moje kosztowności, aby ci je wręczyć - poddał Paulwier.

- Będę ci towarzyszył, aby ci jaki wybryczek do głowy nie przyszedł - oświadczył majtek i sprowadził Paulwiera na dół aż pod próg kabiny, gdzie stanął na straży. Rosjanin jął zbierać swój dobytek, rozmyślając przez ten czas, w jaki sposób mógłby wyrzucić zemstę, której tak pragnął, przypomniawszy sobie wreszcie maszynę piekielną, jął gorączkowo szukać wiadomej sobie skrytki w stoliku. Los sprzyjał mu tym razem, skrytka była nienaruszona, pochyliwszy tedy małą, żelazną szkatułkę, zawierającą przyrząd śmierci, nakręcił jej mechanizm, podobny do mechanizmu zegarowego i nastawiwszy wskazówkę na pewną, oznaczoną godzinę, schował starannie szkatułkę, uśmiechając się zjadliwie na myśl o niechybnej katastrofie, jaka spotka „Kincaid” i jego pasażerów.

Trzymając w ręku garść nagromadzonych przedmiotów, a pod pachą zawiniątko z ubraniami, podał je oczekującemu go majtkowi.

- Oto moje rzeczy - rzekł - a teraz pozwól mi odejść.

- Poczekaj chwilkę braciszku - odparł tamten - muszę jeszcze dobrze przetrząsnąć ci kieszenie, znajdę tam może coś, co tobie będzie zgoła zbyteczne w dżungli, a co się wielce przydać może biednemu marynarzowi w Londynie. Ot i dobrzem zgadł! - zauważył, wyciągając z kieszeni kamizelki Paulwiera zwój banknotów.

Rosjanin zachnął się, próbując wyperswadować majtkowi, aby go nie ogałacał tak doszczętnie, nic jednak nie mógł wskórać, ustąpił zatem, pocieszając się jedynie myślą, iż człowiek ów nie będzie mógł użyć tych pieniędzy, czeka go bowiem niechybna śmierć.

Z trudem Paulwier powstrzymał się od zagrożenia majtkowi, jaki koniec czeka „Kincaid” i jego pasażerów, bojąc się jednak złych z tego dla siebie skutków, spuścił się cichaczem do czółna i odpłynął do wybrzeża.

Gdyby mógł przeczuć, jak okropne życie czeka go w dżungli, byłby z pewnością wybrał śmierć na otwartym morzu, niż narażanie się na lata tak strasznej udręki.

Marynarz, schowawszy starannie zdobyty łup, powrócił na pomost, podczas gdy w kajucie Paulwiera poruszał się regularnie w ciszy nocnej mechanizm małej szkatułki, zawierający zemstę Rosjanina, która miała dotknąć nieświadomych niebezpieczeństwa pasażerów „Kincaidu”.

ROZDZIAŁ XIX

OSTATNIE CHWILE „KINCAIDU”

Nazajutrz, już o świcie, Tarzan był na pokładzie, badając stan pogody. Niebo było bez chmurki, wiatr uspokoił się zupełnie, postanowił zatem ruszyć w stronę wyspy w dżungli, gdzie miał pozostawić zwierzęta, po czym zamierzał powrócić z żoną do ojczyzny!

Człowiek-małpa zbudził podszypra, oznajmiając mu, że mają wyruszyć natychmiast.

Pozostali członkowie załogi, na zapewnienie lorda Greystoke'a, że nie spotka ich kara za współdziałanie w występny postępowaniu dwóch Rosjan, wzięli się z zapalem do pracy.

Zwierzęta zostały wypuszczone na pokład, ku trwodze majtków. Musiały jednak poskromić swoje skłonności do spróbowania ludzkiego mięsa, pod czujnym okiem Tarzana i Mugambiego. Wreszcie statek opuścił wody Ugambi i znalazł się na kołyszących falach Atlantyku, poruszał się jednak wolno, zbyt wolno dla Tarzana, serce bowiem stęsknionego ojca biło z niepokojem na myśl o utraconym synu, pragnął też jak najprędzej rozpocząć poszukiwania dziecka.

Wkrótce wyspa zarysowała się na widnokręgu. Tymczasem w kajucie Aleksandra Paulwiera, mechanizm, zawarty w czarnej szkatułce, poruszał się miarowo, mała wskazówka wychodząca z jednego z kółek, zbliżała się coraz więcej do drugiej wskazówki, którą Paulwier ustawił w pewnym punkcie na tarczy mechanizmu. Za zetknięciem się tych dwóch wskazówek, maszyna cała miała ustać, na zawsze...

Janina i Tarzan stali na pomoście, spoglądając w stronę wyspy. Ludzie znajdowali się na pokładzie, patrząc w tę samą stronę. Zwierzęta spały w cieniu balustrady. Spokój i cisza panowały na pokładzie i na morzu.

Nagle dach nad kajutami wyleciał w powietrze, obłok czarnego dymu uniósł się nad „Kincaidem”, którym wybuch wstrząsnął od rufy do rufy.

Akut i jego towarzysze oraz Szita, jęli niespokojnie kręcić się po pokładzie, wyjąc i rycząc na różne tony. Mugambi drżał cały, tylko Tarzan i jego żona zachowali panowanie nad sobą: człowiek-małpa zabrał się do uspokojenia zwierząt, następnie zaś sprawdził wraz z przerażonymi majtkami, istotny stan rzeczy. Okazało się, że największe niebezpieczeństwo leżało w rozprzestrzeniającym się pożarze, którego - mimo wysiłków - nie udało się ugasić.

Cudem prawdziwym nikt z załogi nie został raniony przez wybuch, którego powód znany był jedynie majtkowi, postawionemu na straży ubiegłej nocy. Ten milczał, w słusznej obawie przed karą, jaka mogła go spotkać za wpuszczenie wroga na pokład statku.

W kwadrans po wybuchu statek został unieruchomiony i Tarzan, orientując się szybko w położeniu, wydał rozkaz spuszczenia szalup, w których usadowiła się załoga, jego groźna drużyna i on sam z żoną i Mugambim.

Skoro zwierzęta Tarzana poczuły powietrze rodzimej wyspy, jęły kręcić się niespokojnie w łodzi, gdy zaś czołna dobiły do brzegu, Szita i małpy wraz z Akutem zniknęły czym prędzej w zaroślach dżungli.

Smutny półśmiech ukazał się na twarzy człowieka-małpy.

- Żegnajcie przyjaciele - szepnął - byliście mi wiernymi i dobrymi sprzymierzeńcami, będzie mi was bardzo brak.

- Ależ one chyba wrócą? Nieprawdaż mój drogi - zagadnęła, stojąca obok męża, Janina.

- Mogą wrócić lub nie - odparł człowiek-małpa. - Bardzo było im nieswojo w tym masowym obcowaniu z tyloma ludzkimi istotami. Do mnie i do Mugambiego już przywykły, gdyż my obaj w najlepszym razie jesteśmy tylko ludźmi. Ty jednakże, tudzież inni członkowie załogi, jesteście zbyt cywilizowani dla moich zwierząt - uciekają one przed wami. Przypuszczam, że trudno im wytrzymać z widokiem tak dobrych kęsków, których im jednakże tknąć nie wolno, wolą tedy oddalić się, aby którego z was nie skosztować przez pomyłkę.

Janina roześmiała się wesoło.

- Myślę, że po prostu chcą się trochę wymknąć na swobodę - odparła. - Ty ciągle przecież zakazujesz im rozmaitych rzeczy, których to zakazów nie mogą pojąć. Z pewnością cieszą się jak małe dzieci, które uniknęły przed surowością ojca. Mam jednak nadzieję, że jeżeli wrócą, nie przyjdą tu do nas w nocy.

- A przede wszystkim najważniejsze, aby nie powróciły zgłodniałe - zaśmiał się Tarzan.

Po dwóch z górą godzinach od czasu wylądowania cała gromadka przypatrywała się tonącemu „Kincaidowi”, który wreszcie - wstrząśnięty silniejszym jeszcze wybuchem - pogrążył się w falach morskich, znikając im sprzed oczu.

Ten drugi wybuch nasi znajomi wytłumaczyli sobie pęknięciem kotłów, co jednak było przyczyną pierwszego, pozostało tajemnicą, nad którą przez długi czas łamali sobie głowę.

ROZDZIAŁ XX

ZNOWU NA WYSPIE

Pierwszą czynnością rozbitków było zaopatrzenie się w świeżą wodę i rozłożenie obozu, wiedzieli bowiem, że mogą być skazani na kilkumiesięczny, a może nawet kilkuletni pobyt na wyspie w dżungli.

Tarzan, jako znający okolicę, doprowadził ich do najbliższego źródła, tam też ludzie wzięli się do kłecenia szałasów i najniezbędniejszych sprzętów, sam zaś udał się na polowanie, zapuszczając się w dżunglę, zostawiwszy Janinę pod opieką wiernego Mugambiego i mosulskiej kobiety, nie dowierzał bowiem załodze „Kincaidu”.

Lady Greystoke cierpiała dotkliwie nad tym przymusowym postojem, pogrążona w niepokoju o los swego ukochanego dziecka.

Przez dwa tygodnie całe towarzystwo zajęte było przeróżnymi czynnościami. Od świtu do zachodu słońca na jednej z wysuniętych skał nadbrzeżnych stał strażnik, gotów za ukazaniem się na widnokręgu statku podpalić stos suchych gałęzi, przygotowany w tym celu, dając w ten sposób znać o pobycie na wyspie rozbitków. Czerwona koszula jednego z majtków, zawieszona na wysokiej tyce, służyła za prymitywny sygnał.

Żaden statek jednak nie zjawił się na dalekim widnokręgu, aby przynieść nieszczęśliwym rozbitkom nadzieję rychłego wybawienia.

Tarzan wreszcie podał myśl wybudowania czółna, które by ich mogło przenieść z powrotem do wybrzeża Afryki. Majtkowie tedy chętnie zabrali się do sporządzania potrzebnych na ten cel narzędzi pod kierunkiem człowieka-małpy.

W miarę jednak, jak czas upływał, ciężka praca dała im się we znaki, zaczęły się pomiędzy nimi kwasy i niesnaski, tak że Tarzan lękał się teraz więcej niż kiedykolwiek pozostawiać żonę samą z rozbestwionymi majtkami i niechętnie oddalał się na wycieczki po dżungli.

Niekiedy zastępował go Mugambi, strzały jednak i włócznia czarnego nie mogły dorównać w zdobywaniu zwierzyny, sznurowi i kamiennemu nożowi człowieka-małpy. W końcu robotnicy zaczęli się wedle możliwości wykręcać od pracy i wymykali się po dwóch naraz na polowanie i na wycieczki po dżungli.

Podczas gdy działo się coraz gorzej w obozie rozbitków, na wschodnim wybrzeżu dżungli, inny obóz rozstasował się na północnym jej brzegu.

W niewielkiej zatoce zatrzymał się mały skuner (statek o dwóch masztach), którego pokład przed kilkoma zaledwie dniami, zalany został krwią dzielnych oficerów i majtków załogi, poległych pod morderczymi ciosami Gusta, Szweda z pochodzenia, Momulli, Zelandczyka rodem i słynnego łotra Kai Shanga z Fachanu.

Mieli oni kilku pomocników między marynarzami statku, pochodzącymi z szumowin portowych miast Oceanu Spokojnego, razem liczba ich dochodziła do dziesięciu; Gust jednak, Momulla i Kai Shang rządili całą bandą, jako najchytrzejsi i najwięcej mający sprytu.

Kai Shang własnoręcznie zamordował kapitana, śpiącego w swojej kabinie, Momulla zaś rozprawił się z porucznikiem na warcie i kilkoma wiernymi majtkami, Gust wolał tylko wydawać rozkazy, nie będąc dość odważny, aby narażać się na opór ze strony napadniętej ofiary.

Wobec dokonanego dzieła Szwed teraz dążył do zapanowania nad towarzyszami, okazał się nawet na tyle bezczelnym, że przywłaszczył sobie rzeczy należące do zamordowanego kapitana i nosił jego mundur, zdobny w oznaki władzy. Kai Shang był mocno tym podrażniony, nie lubił czuć nad sobą przemocy i nie miał najmniejszego zamiaru poddać się przewadze prostego, szwedzkiego majtka.

Tak to zarzewie niezgody rzucone było wśród obozu buntowników z załogi skunera „Cowrie”, rozłożonej na północnym wybrzeżu wyspy. Kai Shang jednakże czuł, iż miał pojęcie o kierowaniu statkiem i mógł wyprowadzić go, opłynawszy przylądek Dobrej Nadziei na lepsze, gościnniejsze wody, gdzie z łatwością mogliby wyprzedzić łup, zdobyty morderstwem, w jednym z portów, bez narażania się na śledztwo.

Schronili się do owej zatoki na północnym wybrzeżu wyspy, dlatego tylko, że strażnik ujrzał zarysowujący się na widnokręgu statek wojenny, woleli tedy przeczekać dni kilka, aby nie wpaść w niepowołane ręce.

Teraz zaś Gust zwlekał z pusczeniem się w dalszą drogę, pod pozorem obawy napotkania statku, który ich zapewne szuka. Daremnie Kai Shang zbijał to jego twierdzenie mówiąc, iż nikt prócz nich samych, nie mógł być powiadomiony o tym, co się stało na pokładzie „Cowrie”. Gust upierał się przy swoim, w istocie zaś chodziło mu o to, aby łup swój powiększyć, przywłaszczając sobie część, przypadającą na Kai Shanga i Momullę, i uciec z kilkoma majtkami, pozostawiając dwóch swoich współników na pastwę losu w dżungli.

W tym celu urządzał dzień po dniu polowania. Kai Shang jednakże okazywał szczególne upodobanie w jego towarzystwie i nie opuszczał go ani na chwilę.

Pewnego dnia Kai Shang zwierzył się ze swoich przypuszczeń ciemnoskóremu Momulli, który oświadczył natychmiast gotowość przebicia serca zdrajcy swoim długim nożem. Kai Shang jednakże nie zgodził się na to, jeden tylko Szwed bowiem był w stanie kierować statkiem. Postanowił zatem nastraszyć Szweda i zniewolić go pod groźbą śmierci do natychmiastowego wyruszenia w drogę.

Skoro Momulla, wysłany przez Kai Shanga, zaczął nalegać na Gusta o natychmiastowy wyjazd, ten wspomniał znów o statku wojennym, śledzącym ich zapewne. Momulla przyjął to przypuszczenie z pogardą twierdząc, że przecież statek z takiej odległości nie mógł dowiedzieć się o zbrodniczym zamachu na kapitana skunera.

- Doprawdy! - zawołał Gust. - Widzisz, tu właśnie mylisz się, mój drogi. Powinieneś być rad, że obcujesz z tak wykształconym człowiekiem jak ja. Ty jesteś tylko biednym Murzynem, Momullo, nic więc nie wiesz o telegrafii bez drutu.

Momulla zerwał się na równe nogi, kładąc rękę na rękojeści noża. - Nie jestem wcale Murzynem! - krzyknął.

- Żartowałem sobie tylko - spiesźnie dodał Szwed - wszak jesteśmy przyjaciółmi, Momullo, nie powinniśmy się kłócić, bo stary Kai Shang gotów z tego skorzystać i zabrać sobie nasze wszystkie perły. Cała ta jego gadanina o wydostaniu się stąd jest powodowana tym, że ma on widocznie w

głowie pewien plan dla pozbycia się nas.

- Ale ten telegraf bez drutu? - zapytał Momulla. - Co ma telegraf bez drutu z naszym pobytom tutaj?

- Ach prawda! - rzekł Gust, drapiąc się w głowę i zastanawiając się, czy Zelandczyk jest na tyle głupi, aby uwierzył w bajkę, którą mu zamierzał opowiedzieć. - Prawda!

Widzisz, każdy statek wojenny zaopatrzone jest w aparat, za pomocą którego może rozmawiać z innymi statkami, od których dzieli go setki mil, oraz słyszeć co się na tych statkach dzieje. Skoro była ta cała awantura na „Cowrie”, krzyczeliście wszyscy, co się zmieści, nie ma więc wątpliwości, że ów statek słyszał to wszystko telegrafem bez drutu.

Dlatego też czatuje na nas i może znajdować się w pobliżu.

Skończywszy mówić Szwed, przybrał wyraz spokojny i przejęty, tak aby słuchacz nie mógł podejrzewać prawdy jego twierdzeń.

Momulla siedział przez chwilę w milczeniu, spoglądając na Gustę, wreszcie powstał.

- Wielki z ciebie kłamca - rzekł. - Jeżeli nie wyruszysz w drogę zaraz jutro, nie będziesz miał sposobności do kłamstwa, gdyż słyszałem jak dwóch z naszych ludzi mówiło, że chcieliby ci zanurzyć nóż w serce, jeśli będziesz ich dłużej trzymał w tej dziurze.

- Idź, zapytaj Kai Shanga, czy nie wie nic o telegrafie bez drutu, za pomocą którego statki mogą się porozumiewać pomimo odległości. Powiedz też tym dwóm, którzy chcieli mnie zamordować, że nie będą mogli wydostać się stad i wzbogacić się, sprzedając swoje łupy, gdyż ja tylko mogę dowieść statek do portu.

Momulla poszedł tedy do Kai Shanga i usłyszał odpowiedź twierdzącą co do istnienia telegrafu bez drutu, zdziwiło go to, chciał jednak koniecznie wyspę opuścić. - Gdybyśmy tylko znaleźli kogoś, kto umie statkiem kierować! - jęknął Kai Shang.

Tego popołudnia Momulla poszedł na polowanie z dwoma innymi Zelandczykami. Udali się w kierunku południowym i nie uszli jeszcze daleko, gdy posłyszeli dźwięki ludzkich głosów przed nimi w dżungli.

Wiedzieli, że nikt inny z ich obozu nie wyszedł tego dnia na łowy, będąc zaś pewni, że wyspa była bezludna, sadzili, że to może duchy zamordowanych oficerów z „Cowrie”, mieli więc wielką chętkę umknąć.

Momulla jednak był więcej ciekawy niż zabobonny, uspokoiwszy tedy towarzyszy, jał pełzać na czworakach w stronę głosów. Niebawem na skraju polanki zatrzymał się i odetchnął z ulgą, ujrzał bowiem dwóch żywych białych ludzi, siedzących na pniu drzewa i rozprawiających z przejęciem.

Jeden z nich to był Schneider, podszyper z „Kincaidu”, drugi Szmidt, jeden z majtków.

- Zdaje mi się, że się nam to uda, Szmidt - mówił Schneider. - Nie będzie nam trudno zbudować dobre czółno, trzech z nas mogłoby dopłynąć do wybrzeża Afryki w jeden dzień, przy spokojnym morzu. Nie warto czekać na ukończenie większej łodzi dla zabrania całej gromady, wszyscy są już pomęczeni tym ciągłym harowaniem niewolniczym. Co nam do tego, co zrobi Anglik? Niech sobie daje radę sam! - Zatrzymał się chwilę i spoglądał na towarzysza, aby zbadać wrażenie swych dalszych słów, dodał: - Moglibyśmy wziąć babę ze sobą. Szkoda byłoby zostawiać tak piękną kobietę w tak zatraconej dziurze jak ta przeklęta wyspa.

Szmidt spojrział na niego, uśmiechając się złowrogo.

- W tym cały sęk zatem, co? Dlaczegoś tego nie powiedział zaraz? Cóż ja na tym zyskam, jeżeli ci pomogę?

- Powinna nam dobrze zapłacić za ułatwienie jej powrotu w cywilizowane strony - objaśnił Schneider - ja zaś gotów jestem podzielić się z tym, który mi pomoże, całym zyskiem. Dostyc już sterczenia tutaj, cóż ty mówisz na to?

- Pasuje mi to nieźle - odparł Szmidt. - Nie umiałbym sam powrócić na ląd, wiem, że nikt inny prócz ciebie nie zna się na tym, więc wolę trzymać z tobą.

Mamulla nastawiał uszu. Rozumiał on po trosze wszystkie morskie gwary, kilkakrotnie już znajdował się na statkach angielskich, tak, że mniej więcej pojął treść rozmowy dwóch łotrzyków.

Powstał i wychylił się nagle z ukrycia. Schneider i jego towarzysz odruchowo wzdrygnęli się myśląc, że mają do czynienia ze zjawą. Schneider sięgnął po broń, Momulla zaś wyciągnął prawą rękę za znak, że ma pokojowe zamiary.

- Jestem przyjacielem - oznajmił. - Słyszałem waszą rozmowę, mogę wam pomóc i wy mi możecie udzielić pomocy - tu zwrócił się do Schneidera. - Ty umiesz kierować statkiem, ale nie masz statku. My zaś posiadamy statek, ale nie mamy sternika. Jeśli przystaniesz do nas, a nie będziesz zadawał pytań, my ci pozwolimy kierować statkiem i dopłyniemy do pewnego portu, którego nazwę podamy ci później. Możesz zabrać kobietę, o której wspomniałeś, my również nie będziemy cię o nic pytali. Czy zgoda?

Schneider chciał otrzymać więcej szczegółów i Momulla udzielił mu ich bardzo oględnie.

Wówczas Zelandczyk zaofiarował się zapoznać ich z Kai Shangiem. Poprowadził ich teraz w pobliże obozu buntowników, pozostawiając ich pod strażą dwóch Zelandczyków, sam zaś przyprowadził Kai Shanga, któremu przez drogę opowiedział o niezwykłym szczęściu, jakie ich spotkało. Chińczyk, porozmawiawszy chwilę z Schneiderem, przekonał się, że ma do czynienia z równie sprytnym łotrem jak i on sam, łatwo więc przyszli do porozumienia.

Schneider i Szmidt odetchnęli teraz z ulgą, kierując się w stronę swego obozu, nareszcie widzieli sposobność opuszczenia wyspy na prawdziwym statku, bez potrzeby mordowania się nad wybudowaniem tratwy czy czółna. Postanowili obmyślić jakiś sposób, aby dać sobie radę z kobietami, na żądanie bowiem Momulli mieli zabrać wraz z Janiną Clayton i mosulską kobietę.

Kai Shang i Momulla, wracając na swoje leże, byli zdecydowani pozbyć się Gusta, skierowali się więc wprost do jego namiotu licząc, że go tam zastaną o tej porze.

Zdarzyło się właśnie, że Gust znajdował się w owej chwili w namiocie kucharza, o parę kroków od swego własnego namiotu. Usłyszał zbliżające się kroki Kai Shanga i Momulli. Nie przypuszczając nic złego, wychylił się z namiotu.

W ruchach ich jednakże zauważył coś zdradliwego, gdy zaś zabłysnął mu w oczach długi nóż, który Momulla chował za plecami, uprzytomnił sobie całą prawdę i bez namysłu wybiegł z namiotu kucharza, podczas gdy dwaj jego wrogowie wchodzili do jego szałas.

Zrozumiał natychmiast, że to po jego życie przyszli dwaj współnicy, widocznie zaszła okoliczność, której nie znał, a która spowodowała, że już nie był niezbędny, jako sternik statku.

Nie zatrzymując się ani chwili, Gust wpadł w dżunglę. Obawiał się jej tajemniczego wnętrza, więcej jednakże lękał się Kai Shanga i Momulli. Widział, jak ongiś Kai Shang związał i powiesił człowieka w mieście Pai-sha, w okolicy Loo Kotai, więcej trwogi budził w nim sznur, narzędzie tortury, niż ostry nóż Zelandczyka, dlatego to wolał zagłębić się w przerażającą głębię dziewiczej puszczy.

ROZDZIAŁ XXI

PRAWO DŻUNGLI

W obozie Tarzana, dzięki jego energii zachęcającej do pracy opieszających majtków, zobaczyć można było rąb wielkiej łodzi, będącej już na ukończeniu.

Podszyper Schneider nie przestawał narzekać na robotę, w końcu jawnie porzucił pracę, udając się ze Szmidem na polowanie do dżungli. Twierdził, że potrzebny mu jest odpoczynek i Tarzan, nie chcąc dawać mu sposobności do jawnego buntu, pozwolił obydwóm oddalić się bez słowa nagany.

Nazajutrz jednakże Schneider udał wyrzuty sumienia i brał się z energią do roboty przy łodzi. Szmidt również poszedł za jego przykładem i lord Greystoke wieszował sobie po cichu, że nareszcie ludzie ci pojęli korzyść, jaka wypłynie dla całej gromady, gdy łódź zostanie szybko wykończona.

Toteż z uczuciem pewnej ulgi wyruszył na polowanie, zagłębiając się w dżungłę, w kierunku południowo-zachodnim, tam bowiem Schneider miał zobaczyć poprzedniego dnia stado młodych jeleni.

Podczas gdy Tarzan oddalał się od obozu, z północy sześciu mężczyzn, o podejrzanym wyglądzie skradało się przez zarośla puszczy, jak gdyby przygotowując jakąś zasadzkę.

Sądziło się, że nikt ich nie zauważył, skoro jednak tylko opuścili obóz, wysoki drab zaczął iść ich śladem. Dlaczego to Kai Shang i Momulla wraz z innymi dążyli tak ukradkiem na południe?

Co się tam spodziewali zastać? Gust potrząsnął głową zakłopotany. Musi się o tym przekonać, pójdzie za nimi i odkryje ich zamiary, których zniszczeniu postara się oczywiście przeszkodzić w miarę możliwości.

Z początku sądził, że może to jego poszukują, niebawem jednak doszedł do przekonania, że nic by im z pochwycenia go nie przyszło teraz, gdy się go pozbyli z obozu.

Gromadka zatrzymała się na szlaku, ukrywając się w gęstych liściach drzew. Gust wspinał się na drzewo, siadając na gałęzi i postanawiając uważać pilnie na wszystko. Nie czekał długo, niebawem bowiem ukazał się nieznajomy biały człowiek, który przystanąwszy na szlaku, jął się rozglądać na wszystkie strony.

Na widok przybysza Momulla i Kai Shang wyszli z kryjówki, witając go z zadowoleniem.

Gust nie zdołał posłyszeć treści ich rozmowy, zauważył jednak, że wkrótce człowiek ów zawrócił w kierunku skąd przyszedł.

Był to Schneider, zbliżając się do swego obozu, okrążył go i wybiegł prędko z przeciwnej strony cały zadyszany.

- Prędko! - zawołał, zwracając się do Mugambiego. - Te wasze małpy złapały Szmida i zamordują go, jeśli nie pośpieszymy mu na pomoc. Ty jeden potrafisz je odwołać.

Weź ze sobą Jonesa i Sulliwana, mogą ci się przydać, zostawiłem go na południowym szlaku o

miłą drogą stąd. Ja tutaj zostanę, zanadto się wyczerpałem biegiem, teraz nie mogę złapać tchu! - tu podszyper „Kincaidu” rzucił się na ziemię, dysząc ciężko, jak gdyby był bliski agonii.

Mugambi był niepewny, jak mu należało postąpić, został przecież tutaj na straży kobiet, tu jednakże Janina Clayton przysłała nieświadomie z pomocą Schneiderowi.

- Nie zwlekaj proszę - odezwała się. - Nic nam się tu złego nie stanie. Pan Schneider zostanie z nami, idź zaraz Mugambi, trzeba przecież ratować biednego człowieka.

Szmidt, leżący opodal w zaroślach, zachichotał do siebie z cicha. Mugambi, posłuszny rozkazom swej pani, ruszył w kierunku południowym, a za nim Jones i Sulliwani.

Zaledwie zniknęli mu z oczu, Schmidt zerwał się i przybiegł na skraj polanki, wołając Kai Shanga i Momullę.

Janina Clayton i kobieta mosulska siedziały u progu namiotu, odwrócone plecami do zbliżających się zbiorów, którzy nagle stanęli przed nimi.

- Chodźcie! - rzekł Kai Shang, nakazując dwóm kobietom, aby powstały i szły za nim.

Janina Clayton zerwała się na równe nogi, rozglądając się za Schneiderem, który stał wraz ze Szmidtem za przybyszami i uśmiechał się szyderczo w odpowiedzi na jej pytający wzrok.

Zrozumiała wówczas, iż wpadła w zasadzkę.

- To znaczy, że znaleźliśmy statek i że możemy teraz wydobyć się z wyspy - brzmiała odpowiedź.

- Dlaczego pan wysłał w dżunglę Mugambiego i tamtych? - pytała dalej.

- Oni nie pojedą z nami, tylko pani, ja i ta czarna pokraka mosulska.

- Proszę za mną! - powtórzył Kai Shang i złapał za rękę Janinę Clayton.

Jeden z ciemnoskórych zelandczyków schwycił Mosulkę za ramię, skoro zaś próbowała krzyknąć, uderzył ją silnie w usta pięścią. Mugambi pędził przez dżunglę w kierunku południowym, pozostawiając w tyle za sobą Jonesa i Sulliwana, uszedł już dobrą milę, śpiesząc na ratunek Szmidtowni, nie mógł dostrzec jednakże ani śladu majtka, ani żadnej z małp Akuta.

Wreszcie przystanął i krzyknął, naśladując dzikie wezwanie Tarzana, którym sprowadzał zawsze swą drużynę, skoro zaś i to nie odniosło skutku, zrozumiał nagle całą prawdę i pomknął pędem, niby chyży jelen z powrotem do obozu, gdzie przekonał się o słuszności swych przypuszczeń, stwierdzając zniknięcie lady Greystoke, Mosulki tudzież Schneidera i Szmidta.

Skoro Jones i Sulliwani nadeszli z kolei, Mugambi byłby się na nich rzucił w swym oburzeniu, gdyby nie ich pokorne zapewnienia, że nic o przygotowanym zamachu nie wiedzieli. Gdy tak stali, rozmyślając nad porwaniem kobiet, małpi Tarzan pojawił się na gałęzi jednego z drzew i zeskoczywszy na ziemię, przebiegł przez polankę, kierując się ku nim.

Z daleka już widział jakieś zamieszanie w obozie, skoro zaś postyszał opowiadanie Mugambiego, zgrzytnął zębami, marszcząc brwi w zamyśleniu i zastanawiając się nad tym, co mogło skłonić Schneidera do uprowadzenia Janiny i Murzynki i narażenia się na pościg i jego zemstę, które były łatwe do skutecznego wobec szczupłości obszaru wyspy.

Niebawem jednak uświadomił sobie, że Schneider musiał widocznie mieć współników, którzy mogli mu dostarczyć pomocy przy opuszczeniu wyspy.

- Idźmy - powiedział wreszcie człowiek-małpa - musimy wytropić ich, idąc ich śladem.

Zaledwie skończył, wyłoniła się z dżungli wysoka postać podejrzanego mężczyzny, który podchodząc ku nim, przystąpił od razu do rzeczy.

- Wasze kobiety zostały porwane - rzekł. - Jeśli chcecie zobaczyć je jeszcze, pośpieszcie za mną. Jeśli się nie zawiniemy prędko, skuner „Cowrie” wypłynie na pełne morze, zanim dojdziemy do

miejsca, gdzie zarzucił kotwicę.

- Ktoś ty zacz? - zapytał Tarzan. - Skąd wiesz o porwaniu mojej żony i czarnej kobiety?

- Posłyszałem jak Kai Shang i Momulla, Zelandczyk, umawiali się z dwoma ludźmi z twojego obozu. Chcieli mnie zabić obaj, lecz zdołałem im uciec, teraz chcę wyrównać z nimi rachunki. Idźmy zatem!

Gust prowadził czterech ludzi z obozu „Kincaida”, wszyscy pędzili spiesznie w kierunku północnym, skoro już doszli do skraju dżungli i wyjrżeli na małą zatokę, stwierdzili, że los wypłatał im okrutnego figla, albowiem oto „Cowrie” poruszał się z wolna, wypływając na otwarte morze.

Co mieli począć? Barczysta pierś małpiego Tarzana falowała wzruszeniem. Wobec tego strasznego ciosu nadzieja opuściła go po raz pierwszy w życiu, skoro ujrzał statek, unoszący żonę, od której dzieliła go tak niewielka, a jednak nie do przebycia, odległość.

Stał w milczeniu, wpatrzony w oddalający się statek, który skręciwszy na wschód, zniknął za wystającymi skałami wyspy. Wówczas Tarzan bezradnie opadł na ziemię i ukrywszy głowę w dłoniach, leżał bez ruchu.

Było już ciemno, gdy lord Greystoke z czterema towarzyszami powrócił do obozu „Kincaidu” na wschodnie wybrzeże wyspy. Noc była parna i gorąca. Najłżejszy podmuch wiatru nie poruszał liśćmi drzew, tafla Atlantyku była gładka jak powierzchnia zwierciadła.

Tarzan stał na skraju wybrzeża, spoglądając w stronę Afryki, pełen przygnębienia i rozpaczliwych myśli, gdy oto z dżungli, tuż za obozem, rozległ się niesamowity skowyt pantery.

Było coś mu znanego w tym okrzyku, i prawie że machinalnie, Tarzan odwrócił głowę i odpowiedział w ten sam sposób. Chwilę później cętkowana postać pantery zamajaczyła koło niego, w bladym świetle migocących gwiazd. Dzikie zwierzę w milczeniu stanęło przy człowieku-małpie. Tarzan dawno już nie widział wiernej towarzyszki, łagodne jednak mruczenie jej, dowodziło mu wymownie, że Szita nie zapomniała węzłów, łączących ich wspólnie.

Lord Greystoke wodził ręką pieścizliwie po miękkim futrze zwierzęcia, które tuliło się do niego niby zadomowiony kot, patrzył przy tym uparcie w mroki, roztaczające się nad oceanem.

Nagle wzdrygnął się cały i krzyknął na swoich ludzi, którzy spoczywali na rozłożonych derkach, paląc fajki. Przybiegli do jego boku, jeden tylko Gust pozostał na uboczu, spostrzegłszy towarzyszkę Tarzana.

- Patrzenie! - zawołał Tarzan. - Światło! Światło na jakimś statku? To musi być „Cowrie”! Został zatrzymany przez ciszę morską, możemy go dopędzić - dodał z nową otuchą w głosie. - Czólno nas tam dowiezie z łatwością.

Gust jął oponować. - Tamci na statku są tego uzbrojeni - przestrzegł. - Nie moglibyśmy zdobyć statku sami, wszak nas jest tylko pięciu.

- Teraz jest nas sześcioro - rzekł Tarzan, wskazując na Szitę - w pół godziny możemy mieć więcej pomocników. Szita jest warta dwudziestu ludzi, inni zaś, których tu zaraz sprowadzę, zastąpią nam stu tęgich siepaczy. Nie znasz ich jeszcze.

Tu człowiek-małpa, zwróciwszy się twarzą w stronę dżungli, rzucił w przestrzeń przeraźliwy okrzyk zwycięski małpy samca, na który niebawem otrzymał w odpowiedzi nie mniej dzikie wyzwanie. Gust zdrzął z przerażenia. Między jakie straszne istoty rzucił go okrutny los? Czyż nie było lepiej pozostać z Kai Shangiem i Momullą, niż wpaść w ręce białego olbrzyma, który pieścił bezkarnie panterę i wzywał na pomoc zwierzęta z dżungli?

W kilka minut potem małpy Akuta nadbiegły na wybrzeże wielkim pędem, przez ten czas zaś

pięciu mężczyzn, dzięki nadludzkim wysiłkom, zdołało wytoczyć czółno na wodę. Wiosła dwóch czółen „Kincaidu”, które służyły jako podpórki do podtrzymywania namiotów, zostały wyciągnięte natychmiast i cała gromada, wraz z małpami Akuta i Szitą, za wyjątkiem Gusta, który lękał się bliskiego obcowania z drapieżnikami dżungli, zasiadła w czólnie, kierując się w stronę widniejącego z dala światła.

Senny majtek nietęgo sprawował straż na pokładzie statku „Cowrie”, na dole zaś, pod pomostem, Schneider przechadzał się wzburzony tam i sam, usiłując przekonać Janinę Clayton do ustąpienia jego woli. Lady Greystoke znalazła rewolwer w stoliku, w kajucie, w której została zamknięta i teraz trzymała w pewnej odległości od siebie podszypra „Kincaidu”, pod groźbą śmierci. Mosulka klęczała za nią, Schneider zaś stał pod drzwiami prosząc, grożąc, przeklinając, wszystko jednak na próżno, dzielna kobieta za każdym razem, gdy się zbliżał, wystawiała na niego lufę morderczej broni.

Wtem z nagła krzyk i wystrzał na pokładzie odwróciły uwagę Janiny, korzystając z tego Schneider rzucił się na nią.

Strażnik, drzemiący na pomoście, został zbudzony nagle przez zjawienie się obcego człowieka na burcie statku. W tej samej chwili powstał on z krzykiem, mierząc z rewolweru do nieznanego, hałas ten spowodował, że Janina spuściła z oka Schneidera.

Na pokładzie cisza i bezpieczeństwo zamieniły się wkrótce w istne piekło. Załoga statku, uzbrojona w noże, rewolwery i karabiny, rzuciła się do obrony, jednakże za późno, albowiem zwierzęta Tarzana znajdowały się na pomoście wraz ze swym władcą i dwoma majtkami z „Kincaidu”.

Wobec tak strasznych zjaw odwaga opuściła załogę, Zelandczycy próbowali szukać schronienia na masztach, stamtąd jednakże wyciągnęły ich z łatwością małpy Akuta, które - nie poskramiane przez Tarzana - używały sobie z dziką rozkoszą.

Szita tymczasem śledziła Kai Shanga, który schował się do swojej kajuty i nie zdołał na czas zatrzasnąć drzwi przed nią, wkrótce też pazury i kły straszego drapieżnika położyły kres zbrodniczemu życiu Chińczyka.

Zaledwie Schneider doskoczył do Janiny Clayton i zdołał jej wyrwać rewolwer z ręki, gdy biały człowiek, na wpół nagi, wszedł cicho do kajuty i - podchodząc do szamoczącego się z Janiną - chwycił go za kark żelaznymi palcami. Schneider starał się krzyczeć, wołać o litość, lecz nie był w stanie wydobyć głosu i tylko wybałuszonymi oczami wzywał łaski.

Janina Clayton próbowała odciągnąć rękę męża od gardła konającego człowieka.

- Nie, moja droga - rzekł spokojnie - nie mogę pozwolić, aby taki nędznik żył i narażał cię znowu na niepokój i cierpienie. - Tu wykręcił nagłym ruchem kark podszypra, aż dał się słyszeć chrzęst zgruchotanej kości kręgosłupa i wróg leżał na ziemi bezwładny i unieszkodliwiony na zawsze. Z gestem obrzydzenia, Tarzan odtrącił trupa i wraz z żoną i Mosulka udali się na pokład.

Utarczka na statku skończyła się już na dobre. Momulla i Szmidt schronili się do kastelu na górny pomost, ocalając sobie w ten sposób życie. Reszta załogi zginęła okropną, lecz zasłużoną śmiercią! Wschodzące słońce rozświetliło okropny obraz spustoszenia na skunerze „Cowrie”, tylko że tym razem krew, która lśniła na białych deskach pokładu, była krwią zbrodniarzy, nie zaś niewinnych ofiar.

Szmidt i Momullą zostali przez Tarzana wyciągnięci z kastelu i zmuszeni pod groźbą śmierci do pracy na statku. „Cowrie” popłynął ku wyspie w dżungli, gdzie Tarzan pożegnał się z Szitą i małpami, które też zniknęły wkrótce w puszczy.

Jeden tylko Akut, okazujący więcej sprytu od innych, rozumiał widocznie, że Tarzan ich opuszcza, stał tedy długo na wybrzeżu, śledząc za małą łódką, odwożącą na statek jego dzikiego pana i władcę.

Tarzan i Janina, stojąc na pokładzie, widzieli długi czas samotną postać wielkiego antropoida, stojącą nieruchomo na piaszczystym wybrzeżu wyspy.

W trzy dni później „Cowrie” spotkał się z wojennym statkiem angielskim „Shorewater”, na którego pokład pasażerowie się przesiedli, tam lord Greystoke za pomocą telegrafu bez drutu, dowiedział się, ku wielkiej radości swojej żony, że mały Jack znajdował się w ich pałacu w Londynie.

Powróciwszy do domu, dowiedzieli się o dziwnym zbiegu okoliczności, za pomocą którego dziecko zostało ocalone.

Okazało się zatem, że Rokow, lękając się przenieść dziecko w biały dzień na pokład „Kincaidu”, umieścił je chwilowo w przytułku podrzutków, zamierzając zabrać je na statek, skoro się ściemni.

Jego współnik i adiutant, Paulwier, na myśl o znacznym wykupie, jaki można by za dziecko otrzymać od rodziny, wtajemniczył w jego pochodzenie dozorczynię zakładu i z jej pomocą podstawił na jego miejsce inne niemowlę wiedząc, że Rokow nie odkryje tej zamiany, chyba wówczas, gdy będzie za późno złu zaradzić.

Kobieta owa obiecała przetrzymać dziecko, aż do powrotu Paulwiera do Londynu, jednakże skuszona ogłoszoną w dziennikach nagrodą, weszła w porozumienie z adwokatem lorda Greystoke i po zapłaceniu znacznego wykupu i stwierdzeniu tożsamości dziecka przez starą Murzynkę, Esmeraldę, piastunkę Jacka, która wróciła właśnie z wakacji z Ameryki, malec został odwieziony do domu rodzicielskiego. Tym sposobem największa i ostatnia podłość Mikołaja Rokowa, nie tylko że obróciła wniwecz jego zbrodnicze zamiary, ale jeszcze spowodowała jego śmierć, zabezpieczając lordowi i lady Greystoke tak upragniony spokój, którego nigdy nie mogli używać w całej pełni, póki wróg ich żył jeszcze na tym świecie.

Rokow żyć przestał, co zaś do Paulwiera mieli wszelkie powody przypuszczać, że padł ofiarą niebezpieczeństw w dżungli. Tak więc mogli sądzić, że na zawsze już zostali uwolnieni od tych wrogów, których lękał się małpi Tarzan, gdyż uderzali na niego podstępnie, trafiając w jego najczulszą strunę, to jest w jego przywiązanie do najdroższych mu istot.

Dzień powrotu był zaiste radosnym dniem dla rodziny Greystoke, gdy Tarzan i Janina znaleźli się znowu w wygodnych apartamentach swojej willi w Londynie. Mugambi i Mosulka towarzyszyli im również. Tarzan miał zamiar odesłać ich po paru miesiącach do swoich dóbr w Waziri, za pierwszą sposobnością.

Może ujrzemy ich wszystkich znowu w pełnym uroku otoczeniu dzikiej dżungli i wielkich przestrzeni, wśród których małpi Tarzan tak lubi przebywać.

Może... kto wie?

* mila angielska - nieco ponad 1 kilometr.

* Trzy noce.